

Albert Sánchez Piñol

Chłodny dotyk

(Przełożyła: Anna Sawicka)

Nigdy nie jesteśmy wystarczająco daleko od tych, których nienawidzimy. Na tej samej zasadzie przypuszczalnie nigdy nie będziemy dostatecznie blisko tych, których kochamy. Kiedy wsiadałem na statek, znałem już tę straszną prawdę. Ale są zasady zasługujące na naszą uwagę i takie, z którymi nie warto dyskutować.

Po raz pierwszy wyspa ukazała się nam o świcie. Trzydzieści trzy dni temu delfiny przestały płynąć za rufą; od dziewiętnastu dni wypuszczaliśmy obłoki pary przy każdym oddechu. Szkoccy marynarze włożyli długie do łokcia rękawice i gęste futra, w których wyglądali jak morsy. Senegalczycy w tych zimnych szerokościach geograficznych przeżywali prawdziwe katusze. Kapitan pozwalał im smarować czoło i policzki ochronną warstwą tłuszczu, który później dostawał się do oczu. Kapały im łzy, ale nigdy się nie skarżyli.

– Oto pańska wyspa. Niech pan patrzy, tam na horyzoncie – powiedział kapitan.

Nie mogłem jej dostrzec. Widziałem tylko ciągle to samo zimne morze, przysłonięte tu i ówdzie chmurami. Choć byliśmy daleko na południu, jak dotąd nie pojawiły się groźne zarysy gór lodowych i nie urozmaiciły nam podróży. Ani śladu brył lodu, żadnego dryfującego kolosa, żadnego widowiska natury. Znosiliśmy niedogodności południa, a ono nie chciało do nas przemówić wielkim głosem. A więc mój cel znajdował się na nieprzekraczalnej granicy wiecznego lodu. Kapitan podał mi lornetkę. A teraz? Widzi pan? Tak, teraz ją widziałem. Ziemia wciśnięta pomiędzy szarość oceanu i szarość nieba, otoczona pierścieniem białej piany. Tylko tyle. Musiałem czekać jeszcze godzinę. Później, w miarę jak się zbliżaliśmy, kontury stawały się coraz lepiej widoczne.

Oto moje przyszłe siedlisko. Wyspa na długość mierzyła najwyżej półtora kilometra i miała kształt litery L. Na północnym krańcu, na granitowej skale, wznosiła się latarnia morska, wysoka jak dzwonnica. Sama w sobie nie wydawałaby się może imponująca, ale niewielkie rozmiary wyspy nadawały jej masywność budowli megalitycznej. Na południu, u podstawy litery L, znajdowało się nieco mniejsze wzniesienie, a na nim stacja meteorologiczna, czyli mój dom. Między tymi dwoma budynkami rozciągało się coś w rodzaju wąskiej doliny, porośniętej roślinnością lubiącą wilgoć. Drzewa rosły w stadzie, jak zwierzęta, które się cisną, szukając dla bezpieczeństwa bliskości sąsiednich ciał. Porastał je dziwny mech, gęstszy niż dzikie zarośla, wysoki do kolan, który brudził drzewa plamami w trzech kolorach: niebieskim, fioletowym i czarnym.

Wyspa była otoczona rafami, wystającymi gdzieniegdzie z wody. Z tego powodu nie można było rzucić kotwicy w odległości mniejszej niż trzysta metrów od jedynej na tej wyspie plaży, rozciągającej się przed samym domem. Nie pozostawało więc nic innego, jak załadować się z całym dobytkiem do szalupy. Kapitan wyświadczył mi całkiem bezinteresowną uprzejmość, wychodząc ze mną na ląd, choć nie musiał tego robić. Podczas długiej podróży udało nam się jednak osiągnąć ów bliski stopień zażyłości, jaki czasem pojawia się między przedstawicielami różnych pokoleń. Pochodził z którejś z portowych dzielnic Hamburga, choć później wybrał sobie na ojczyznę Danię. Jego znakiem szczególnym były oczy. Kiedy wpatrywał się w kogoś, wszystko inne traciło znaczenie. Ludzi oceniał z wnikliwością entomologa, a sytuacje ze znawstwem eksperta. Niektórzy brali to za surowość. Mnie się wydaje, że w ten sposób wprowadzał w życie zasady tolerancji, głęboko ukryte w zakamarkach duszy. Nigdy by nie wyznał miłości

bliźniego słowami, ale poświęcał mu wszystkie swoje czyny. Zawsze mnie traktował z uprzejmością zawodowego kata. Gdyby mógł coś dla mnie zrobić, zrobiłby to na pewno. Kimże ja w końcu byłem? Mężczyzną raczej młodym niż dojrzałym, oddelegowanym na małą wyspę, smaganą polarnymi wiatrami. Miałem tam spędzić dwanaście miesięcy w samotności, jak wygnaniec, z dala od cywilizacji, wykonując pracę równie monotonną, co nieistotną, polegającą na zapisywaniu siły, kierunku i częstotliwości wiatrów, zgodnie z międzynarodowymi umowami żeglugi morskiej. Owszem, pensja była całkiem niezła. Ale nikt by się nie podjął takiej pracy dla pieniędzy.

Dotarliśmy na plażę z kapitanem i ośmiu marynarzami w czterech szalupach. Wyładowanie aprowizacji na cały rok, a do tego jeszcze skrzyń z moimi rzeczami, musiało trochę potrwać. Miałem sporo książek. Wiedziałem, że czasu będę miał aż nadto, i chciałem zająć umysł lekturami, na które nie mogłem sobie pozwolić w ostatnich latach. No, to jesteśmy – powiedział kapitan, kiedy już zorientował się, że wyładunek nie pójdzie tak szybko. Wyszliśmy obaj na piaszczystą plażę. Do domu prowadziła wspinająca się pod górę ścieżka. Poprzedni mieszkaniec z braku lepszego zajęcia wyposażył ją w poręcz z wypolerowanych kawałków drewna, wyrzuconych na morski brzeg, wbijając je po prostu w ziemię. Tak, to było logiczne skojarzenie. Trudno uwierzyć, ale dopiero ten szczegół naprowadził mnie na myśl o moim poprzedniku. Tamten człowiek był kimś konkretnym; widziałem właśnie jeden z efektów jego oddziaływania na świat, nieważne, że dość przypadkowy. Myśląc o nim, powiedziałem:

– To dziwne, że poprzedni meteorolog nie wyszedł nam na spotkanie. Powinien być zadowolony, że go zastąpimy na posterunku.

Jak zwykle w moich rozmowach z kapitanem i tym razem zaraz musiałem ugryźć się w język – jego myśli zawsze o moment wyprzedzały moje. Staliśmy już przed domem. Spadzisty dach, pokryty łupkowymi dachówkami, i ściany z czerwonej cegły składały się na konstrukcję pozbawioną wdzięku i proporcji. W Alpach tak mogłoby wyglądać górskie schronisko albo leśna pustelnia czy wartownia.

Kapitan stał nieruchomo, nie podejmując na razie żadnego działania. Tylko wzrokiem dokonywał inspekcji, jakby wietrzył niebezpieczeństwo. Zdałem się całkowicie na jego inicjatywę. Poranny wiatr poruszał gałęziami drzew, rosnących przy czterech rogach domu, kanadyjskich dębów czy czegoś w tym rodzaju. Dokuczał mi chłód, choć nie było mrozu. Rzucił się w oczy stan opuszczenia, mimo że trudno byłoby sprecyzować, na czym polegał. Problem był nie w tym, co tam widzieliśmy, ale w tym, czego brakowało. Gdzie mógł się podziewać oficer? Czy zajmowały go właśnie teraz jakieś obowiązki zawodowe gdzieś w okolicy? Może wybrał się na spacer? Powoli zaczynałem dostrzegać złe znaki. Okna były małe, kwadraty szyb – dużej grubości. Otwarte drewniane okiennice kołysały się na wietrze. Nie robiło to dobrego wrażenia. Okrążając dom z tyłu, zauważyliśmy ślady po ogrodzie, którego krańce wyznaczały wkopane do połowy głązy. Ale większość roślin nie przeżyła – można by pomyśleć, że stratował je tabun słońi.

Kapitan wykonał dobrze mi znany gest, unosząc w górę brodę. Chyba go lekko uwierał kołnierz niebieskiego szynela. Potem pchnął drzwi, które zazgrzytały z gniewem, jakby broniły przed profanacją grób faraona. Gdyby mogły mówić, ten zgrzyt oznaczałby: „Wejdźcie, jeśli chcecie, ale na własną odpowiedzialność”. Dobrze, weszliśmy.

To, co się ukazało naszym oczom, było jak ilustracja kronik odkrywców Afryki – trzeba by inwazji armii mrówek tropikalnych, żeby tak dokładnie usunąć wszelkie ślady życia, pozostawiając same przedmioty. Jednoizbowe pomieszczenie przedstawiało obraz

raczej opuszczenia niż zniszczenia. Łóżko stało na swoim miejscu, również kominek i stos drewna, tylko stół się przewrócił. Ocalał barometr rtęciowy, a znikły narzędzia kuchenne. Nie wiem, czemu akurat ten szczegół wydał mi się niezwykle intrygujący. Nie widać było ani rzeczy osobistych mojego poprzednika, ani narzędzi pracy. Jednak ten brak był raczej efektem jakiegoś dziwnego szaleństwa niż kataklizmu natury. Pomimo opłakanego stanu miejsce nadawało się do zamieszkania. Z zewnątrz dochodził szum fal.

– Gdzie mamy zostawić rzeczy pana oficera od klimatu i wiatrów? – zapytał Senegalczyk Sow, jeden z marynarzy, którzy właśnie dotarli z plaży z moim bagażem.

– Tu, w środku, wszystko jedno gdzie – odpowiedziałem energicznie, starając się ukryć przestach spowodowany zaskoczeniem. Kapitan wyładował na marynarzach swoje niezadowolenie z powodu zastanej sytuacji:

– Sow, dopilnuj, proszę, żeby chłopcy szybko uprzątnęli ten bałagan.

Podczas gdy mężczyźni zajmowali się ustawianiem i porządkowaniem skrzyń, kapitan zasugerował, żeby przejść się do latarni.

– Może tam znajdziemy pańskiego poprzednika – powiedział, kiedy już się upewnił, że nie mogą nas usłyszeć marynarze.

Słyszał, że latarnia jest zamieszкана. Nie pamiętał dokładnie, czy należy do Holendrów, do Francuzów czy do jeszcze jakiejś innej nacji, ale na pewno ktoś się do niej przyznawał. Latarnik był sąsiadem meteorologa i byłoby logiczne, gdyby w tych okolicznościach nawiązali przyjacielskie stosunki. Ale to tylko przypuszczenie, a nie nadzieja. Próba odnalezienia nieobecnego oficera, niewyjaśniająca jednak opłakanego stanu domu. Tak czy inaczej, należało tam pójść.

Pamiętam niepokój, jaki odczuwałem podczas owej krótkiej wędrówki. Przypuszczam, że jego główną przyczyną był mój ówczesny stan ducha. Na dodatek las, przez który przechodziliśmy, nie bardzo pasował do tego, co się zwykło rozumieć przez to pojęcie. Ścieżka wydeptana przez człowieka prowadziła prosto do latarni. Skręcała tylko w miejscach, gdzie zdradziecki mech krył błotniste dziury i czarne kałuże. Zaraz za drzewami zaczynało się morze, którego szum dosięgał nas monotonnym rytmem. Najgorsza była cisza, a raczej brak dźwięków. Nie słyszeliśmy odgłosów, które zwykle kojarzą się z lasem; nie było tu ptaków ani brzęczących owadów. Pnie drzew, całkiem pokaźnych rozmiarów, rosły wykrzywione podmuchami wiatru. Oglądany z perspektywy statku, las sprawiał wrażenie zbitej masy, ale często z powodu odległości mylnie oceniamy zagęszczenie ludzi czy roślin. Tym razem nie było to złudzenie. Drzewa rosły tak blisko siebie, że chwilami trudno było rozstrzygnąć, czy to dwa konary wyrastają z jednego pnia, czy chodzi o dwa różne drzewa. Drogę utrudniały sączące się tu i ówdzie niewielkie strumyki, skutek roztopów. Można je było przesadzić jednym susem.

Wierzchołek latarni wyłonił się nagle, odcinając się ponad koronami najwyższych drzew. Droga urwała się tuż za lasem. Zobaczyliśmy gołą granitową skałę, na której wznosiła się budowla. Z trzech stron otaczał ją ocean. Przy silnym przypływie fale musiały ją gwałtownie atakować. Ale nieznanemu architektowi wiedział, co robi. Okrągła, masywna powierzchnia dzielnie stawiająca opór uderzeniom morza, wąski balkon otoczony zardzewiałą balustradą, pięć równomiernie usytuowanych otworów strzelniczych, jak w średniowiecznej fortecy, i ostro zwieńczona kopuła. Nie wiadomo tylko, do czego służyły dodatkowe konstrukcje wokół balkonu – ustawione na sztorc kołki i kije. Rusztowanie do remontu? To nie był odpowiedni czas, żeby się dłużej nad tym zastanawiać.

– Halo! Halo! Halo! – wykrzykiwał kapitan, uderzając pięścią w żelazne drzwi. Nie słyszeliśmy żadnej odpowiedzi, ale pod naciskiem solidne żelazo ustąpiło. Jak się okazało, drzwi nie były zamknięte. Wyglądały bardzo solidnie – grube na szerokość dłoni, a jeszcze do tego wzmocnione stalowymi nitami. Ciężkie i wielkie, stawiały opór i trzeba było siły nas obu, by dostać się do środka. Przenikające przez szczeliny słabe światło, odbijające się od smug białego wapna na wklęsłych ścianach, nadawało wnętrzu charakter katedry. Wreszcie dostrzegliśmy prowadzące w górę kręte schody, blisko kamiennego muru. Najwyraźniej dolne pomieszczenie pełniło funkcję magazynu, w którym zgromadzono sporą ilość zapasów i narzędzi.

Kapitan mruknął pod nosem coś niezrozumiałego i zdecydowanym krokiem zaczął wchodzić na górę. Dziewięćdziesiąt sześć stopni kończyło się drewnianą klapą, która stanowiła część podłogi następnego poziomu. Wystarczyło ją podnieść i już byliśmy w środku.

I rzeczywiście, znajdowało się tam pomieszczenie, całkiem ciepłe i przyzwoite. Środek tej niemal doskonale okrągłej przestrzeni zajmował piec z kominem w kształcie dzwonu. Jedna tylko ściana z drzwiami zakłócała sferyczność tego miejsca. Za nią mogła być kuchnia. Dalszy ciąg schodów prowadził do kolejnego pomieszczenia na górze, gdzie musiał się mieścić mechanizm latarni. Jak dotąd wszystko było do przyjęcia; niepokojący był sam sposób uporządkowania tego miejsca.

Nie wiedzieć czemu, przedmioty, które zwykle kładzie się na półkach lub w szufladach, tu ułożone były na podłodze, wzdłuż ścian. Na każdej skrzynce, otwartej czy zamkniętej, leżał osobny przycisk. Na przykład: buty w zamkniętym pudełku, a na pudełku jeszcze kawałek węgla. Albo: okrągła, półmetrowej wysokości bańka po ropie, wypełniona brudną bielizną, a na niej polano jako przycisk. I węgiel, i drewno nie bardzo się sprawdzały w roli przykrywki – nie tłumiły smrodu, jeśli taki był cel. Można by pomyśleć, że właściciel bał się, by zawartość tych pojemników nie uniosła się w górę, jak chmara ptaków, lekceważąc siłę ciężkości, i dlatego chronił swoje skarby, obciążając je okazałym ciężarem.

I wreszcie łóżko. Stare, z żelaznymi prętami u wezłowia. Na nim, pod trzema grubymi kocami, leżał człowiek.

Było oczywiste, że przerwaliśmy mu sen. Kiedy wchodziliśmy, miał już oczy otwarte, ale nie zareagował. Obserwował nas małymi krecimi oczkami, nie mrużąc powiek. Koce przykrywały go po sam nos. Wyglądał pod nimi jak niedźwiedź. Pokój sprawiał schludne wrażenie, on sam – niekoniecznie. Było w nim coś, co oscyloowało między bezbronnością, niedbalstwem i dzikością. Pod łóżkiem stał nocnik, wypełniony po brzegi zimną uryną.

– Dzień dobry, techniku sygnałów morskich. Przywieźliśmy nowego oficera, który ma zastąpić meteorologa, pańskiego sąsiada – kapitan od razu przeszedł do rzeczy, po czym dodał, wskazując w kierunku domu: – Nie wie pan, gdzie on się podział?

Słowa kapitana uświadomiły mi, że pokonaliśmy półtora kilometra od plaży, na której wylądowaliśmy. Miałem wrażenie, że ta odległość jest większa niż cały dystans dzielący wyspę od Europy. Uświadomiłem też sobie, że kapitan za moment odpłynie.

Z łóżka podniosła się owłosiona ręka, robiąc nieokreślony gest, ale wycofała się w połowie drogi. Otepiałość tego człowieka rozwścieczyła kapitana:

– Nie rozumie mnie pan? Nie rozumie pan mojego języka? Mówi pan po francusku? Albo holendersku?

Mężczyzna tylko uważnie się w niego wpatrywał. Nawet nie zdecydował się odkryć twarzy.

– Na litość boską! – ryknął kapitan, zaciskając pięści. – Odbyłem właśnie ważną misję handlową. Jestem na służbie! Na życzenie korporacji morskiej zboczyłem z kursu, żeby dowieźć tu tego człowieka i zabrać jego poprzednika. Czy to do pana dotarło? A tu, proszę, nigdzie nie ma oficera meteorologa. Nie ma i już. Czy może mnie pan poinformować, gdzie go szukać?

Latarnik przyglądał się na zmianę to jemu, to mnie. Nic więcej. Zamroczony wściekłością, kapitan aż poczerwieniał i ciągnął dalej:

– Jako kapitan jestem upoważniony postawić pana przed sądem za odmowę informacji koniecznych do ochrony ludzi i mienia! Powtarzam po raz ostatni: gdzie jest meteorolog pełniący służbę na tej wyspie?

– Niestety, nie mogę odpowiedzieć panu na to pytanie.

Zapadła cisza. Kiedy już prawie zwątpiliśmy w możliwość dogadania się z tym indywiduum, on nagle nas zaskoczył swoim akcentem austriackiego artylerzysty. Kapitan odezwał się już innym, nieco spokojniejszym tonem:

– No, tak już lepiej. Czemu nie może pan odpowiedzieć? Ma pan jakiś kontakt z meteorologiem? Kiedy go pan widział po raz ostatni?

Jednak dziwny osobnik znów odgrodził się od nas milczeniem.

– Proszę wstać! – nagle rozkazał kapitan.

Tamten usłuchał, ale bez pośpiechu. Odsunął koce i spuścił nogi. Był imponującej postury. W ruchu sprawiał wrażenie drzewa bez korzeni, które właśnie uczy się chodzić. Siedział na łóżku i wpatrywał się w ziemię. Był nagi. Nie obchodziło go, że widzimy go w tym stanie, ale kapitan odwrócił wzrok, powodowany wstydem, uczuciem całkowicie obcym latarnikowi. Jego klatkę piersiową pokrywał kobierzec włosów, które kępami zachodziły na ramiona jak dzikie chwasty. Na południe od pępka gęstość owłosienia przechodziła w dżunglę. Dostrzegłem jego sflaczały, a mimo to gigantyczny członek. Przeraziłem się, widząc, że też był zarośnięty, i to prawie do napletka. Co tam robią twoje oczy, upomniałem sam siebie i przeniosłem wzrok na twarz naszego rozmówcy. Miał brodę pustelnika, długą i zaniedbaną. Należał do ludzi, u których gęste włosy zaczynają rosnać tuż ponad brwiami – też gęstymi w jego przypadku. Siedział na materacu, opierając wyprostowane ręce na kolanach. Oczy i nos zbiegały się na środku twarzy, pozostawiając wokół wolną przestrzeń z mongolskimi, wystającymi kośćmi policzkowymi. Przesłuchanie nie zrobiło na nim wrażenia. Trudno było powiedzieć, czy był tak zdyscyplinowany, czy raczej nie do końca rozbudzony. Jednak przypatrując się uważnie, zaobserwowałem tik świadczący o ukrytej nerwowości – otwierał i zamykał usta jak nietoperz, ukazując kilka rzadko rozstawionych zębów. Kapitan pochylił się, aż jego twarz znalazła się tuż przy uchu tamtego:

– Zwariował pan? Czy zdaje pan sobie sprawę, za co pan odpowiada? Sabotuje pan misję, której celem jest realizacja traktatów międzynarodowych! Nazwisko, proszę!

Mężczyzna spojrzał na kapitana:

– Czyje?

– Pańskie! Przecież to z panem rozmawiam! Jakie nazwisko figuruje w pańskich dokumentach?

– Batís. Batís Caffó.

– Pytam po raz ostatni, panie Caffó, techniku sygnałów morskich: gdzie jest meteorolog?!

Nie patrząc w jego stronę, mężczyzna po chwili wahania odpowiedział:

– Nie jestem w stanie udzielić panu odpowiedzi.

– Zwariował, po prostu zwariował – kapitan poddał się wreszcie, miotając się po izbie jak zwierzę w klatce. Przestał zwracać uwagę na jej mieszkańca, wężąc z policyjnym zapamiętaniem wśród jego rzeczy. Kiedy przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, zauważyłem leżącą koło łóżka książkę. Podobnie jak wszystko inne, przygnieciona była kamieniem. Wziąłem ją do ręki, żeby przekartkować. Spróbowałem nawiązać rozmowę na jej temat:

– Ja też znam dzieła doktora Frazera, choć nie mam na jego temat ugruntowanej opinii. Nie wiem, czy *Złota gałąź* to dzieło geniusza myśli, czy efekciarski popis.

– Ta książka nie jest moja i ja jej nie czytałem.

Co za dziwna logika. Tak to powiedział, jakby musiał istnieć jakiś związek między tymi dwoma faktami. I do tego się ograniczył. Nie udało mi się go nakłonić, żeby jeszcze coś dodał. Patrzył na mnie anemicznym wzrokiem zjawy i nie zdjął nawet rąk z kolan.

– Niech go pan zostawi – przerwał mi kapitan, którego poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. – Ten osobnik nie przeczytał w życiu nawet regulaminu własnej służby. Działa mi na nerwy.

Nie pozostawało nam nic innego, jak wrócić do stacji meteorologicznej. Jednak w połowie drogi, w lesie, kapitan zatrzymał mnie, chwytając za rękaw:

– Najbliższy ląd to wyspa Bouvet, do której zgłaszają pretensje Norwegowie, w odległości sześciuset mil morskich. – I dodał po dłuższej, znaczącej przerwie: – Czy jest pan pewien, że chce tu zostać? Mnie się nie podoba ten zagajnik na środku najrzadziej odwiedzanej części oceanu, na wysokości pustkowi Patagonii. Mogę pana usprawiedliwić przed każdą komisją administracyjną, zaświadczać, że to miejsce nie spełnia podstawowych warunków. Nikt nie będzie miał do pana pretensji. Ma pan moje słowo.

Czy powinienem był zawrócić? Wszystko na to wskazywało. Ale w sytuacjach takich jak ta człowiek działa według trudnej do wytłumaczenia logiki. Myślę, że zadecydował lęk przed ośmieszeniem – nie po to przemierza się pół świata, w drodze do celu, żeby z niego zrezygnować tuż po przybyciu na miejsce.

– Stacja meteorologiczna jest w dobrym stanie, mam zapasy na rok i nic nie stoi na przeszkodzie, żebym wypełniał codzienne obowiązki. Jeśli chodzi o pozostałe sprawy, najprawdopodobniej mój poprzednik przez przypadek uległ jakiemuś wypadkowi, który okazał się śmiertelny. Może to było samobójstwo, kto wie. W każdym razie nie miałbym o to pretensji do tamtego. On jest niebezpieczny tylko dla siebie. Samotność pomieszała mu zmysły, a na dodatek boi się, żebyśmy go nie oskarżyli o zniknięcie mojego kolegi. Tym bym tłumaczył jego zachowanie.

Kiedy skończyłem mówić, sam byłem zdziwiony, że udało mi się tak trafnie podsumować sytuację. Pomiąłem tylko dwa aspekty – moje uczucia i przeczucia. Kapitan obrzucił mnie spojrzeniem kobry. Lekko balansował ciałem, kołysząc się to na jednej, to na drugiej nodze, z rękami splecionymi na plecach. – Niech się pan mną nie przejmuje – nalegałem. – Musiał się tu znaleźć z powodu jakiegoś rozczarowania – stwierdził kapitan. Ja na to, że kto to może wiedzieć, a on: – Tak, tak, na pewno przygnał go tu jakiś problem. – Rozpostarł ramiona jak magik, który chce pokazać, że nie ucieka się do żadnej sztuczki, gestem wycofującego się gracza. Ten gest oznaczał: Nic więcej nie mogę dla pana zrobić.

Dotarliśmy na plażę. Ośmiu marynarzy czekało tylko na rozkaz, żeby jak najszybciej wrócić na statek. Wyczuwało się ich podskórne napięcie, nieuzasadnione żadną konkretną przyczyną. Senegalczyk Sow, łysy Murzyn z białą brodą, poklepał mnie po ramieniu, chcąc dodać mi otuchy. Puścił do mnie oko i powiedział:

– Niech pan nie zwraca na nich uwagi. To rekruci z nowego poboru, z wyżyn Szkocji. Pierwszy lepszy kaktus z Jukatanu lepiej się zna na tajemnicach i legendach morza niż oni. Nawet nie są biali, tylko czerwoni. Wszyscy wiedzą, że ich rasę prześladują przesady z tawerny rodem. Niech się pan dobrze odżywia, dużo pracuje, zagłąda do lusterka, żeby siebie nie zapomnieć, rozmawia sam ze sobą, by nie stracić mowy, i zajmuje umysł prostymi sprawami. To wszystko. Jak się dobrze zastanowić, czym jest rok naszego życia w porównaniu z nieskończoną cierpliwością dobrego Boga?

Potem wsiedli do szalup i chwycili za wiosła. Marynarze patrzyli na mnie z mieszaniną współczucia i przerażenia. Przyglądali mi się jak dzieci, które pierwszy raz w życiu zobaczyły strusia, albo jak spokojni obywatele mijający kolumnę rannych powracających z wojny. Statek oddalał się powoli, dostoyny jak powóz. Nie spuszczałem go z oka, aż się zamienił w mały punkcik na horyzoncie. Ten punkt, który zniknął, oznaczał niepowetowaną stratę. Czułem, jak żelazna obręcz ścisnęła mi czaszkę. Nie wiedziałem, czy to tęsknota za cywilizacją, odkrycie kondycji skazańca czy zwykły strach.

Pozostałem jeszcze chwilę na plaży. Zatoka miała wyraźny kształt półksiężyca. Z prawej i lewej strony ograniczały ją wulkaniczne skały – ostre, wystające kamienie, podziurawione jak ser, które musiały być lżejsze, niżby na to wskazywała ich wielkość. Piasek wyglądał jak popiół z kadzielnicy, szary i zbity. Małe, okrągłe wgłębienia pozwalały się domyślać obecności skorupiaków. Skalna bariera sprawiała, że fale docierały tu z osłabionym impetem, a cienka warstwa białej piany znaczyła granicę między morzem i ziemią. Odpływ pozostawił na plaży około tuzina wbitych w ziemię pali, wypolerowanych i okorowanych. Były wśród nich korzenie wiekowych drzew, teraz powalonych. Można było docenić efekt artystycznej pracy przypływów, podziwiając skomplikowane układy ich rzeźbionych kształtów. Niebo pokrywały gdzieniegdzie brudnosrebrne lizaje chmur, ciemniejących miejscami jak rdza starego pancerza. Słońce wielkości pomarańczy zawisło w połowie nieboskłonu, ukryte za przywartymi do firmamentu obłokami, przepuszczającymi niewiele światła. Na tej szerokości geograficznej nigdy nie osiągnie zenitu. Nie można polegać na moim opisie. Ja to widziałem. Ale pejzaż dostrzegany przez człowieka na zewnątrz na ogół jest tylko odbiciem tego, co jego wewnętrzne oczy widzą w środku.

Czasami zdarza nam się targować z przeszłością o przyszłość. Siedząc na krawędzi skały, zastanawiałem się, jak osiągnąć kompromis pomiędzy tym, co było – moimi wielkimi klęskami – i tym, co dopiero ma nadejść, a na razie jeszcze tonie w mroku. Miałem nadzieję, że suma czasu, refleksji i odległości dokona cudu. Wyłącznie z tego powodu znalazłem się na wyspie.

Resztę owego nierzeczywistego poranka poświęciłem na rozpakowywanie, klasyfikowanie i rozkładanie mojego bagażu, podchodząc do tego zajęcia z gorliwością świeckiego mnicha. Bo właściwie czym miało być moje życie na wyspie jak nie doświadczeniem prawdziwego pustelnika? Większość książek zmieściła się na półkach odziedziczonych po moim koledze, który nie pozostawił po sobie żadnych innych śladów. Poukładałem worki mąki, konserwy, solone mięso, kapsułki z eterem – na wypadek nagłych boleści, i tysiące tabletek witaminy C, nieodzownej w walce ze szkorbutem. Dobrze zniosły podróż instrumenty miernicze, różnego rodzaju termometry, oba barometry rtęciowe, trzy modulatory diachroniczne i znakomicie zaopatrzona apteczka. Skrzynia 22-E, w której trzymałem listy i dokumenty, zawierała parę ciekawostek. Zainteresowałem się próbami wciągnięcia mnie do współpracy przez różne organizacje naukowe i społeczne.

Z okazji mojego wyjazdu do tego niegościnnego miejsca Rosjanie z uniwersytetu w Kijowie zachęcali mnie do wykonania pewnego eksperymentu biologicznego. Z jakichś dla mnie niejasnych powodów położenie wyspy sprzyjało rozmnażaniu się drobnych gryzoni. Uczeni proponowali mi, żebym zajął się hodowlą karłowatej odmiany długowłosych królików syberyjskich, idealnie przystosowanych do tutejszego klimatu. Gdyby się to udało, docierające tu statki mogłyby się zaopatrywać na wyspie w świeże mięso. W tym celu załączali parę książek, które z całym bogactwem szczegółów instruowały fachowców, jakich zabiegów wymagają długowłose króliki. Ale nie miałem ani klatki, ani królika; ani długowłosego, ani nawet łysego. Jedyne królik, z jakim dotychczas miałem do czynienia, to pozycja w karcie dań na statku, a i to nie na pewno, bo kucharz podejrzanie się uśmiechał, gdy któryś z nas gratulował mu gulaszu pod nazwą „królik rosyjski w sosie kijowskim”.

Towarzystwo geograficzne z Berlina zaopatrzyło mnie w piętnaście pojemników z formaliną. W dołączonej instrukcji zalecano, bym z łaski swojej wypełnił te słoiki „ciekawymi okazami endemicznych owadów, ale tylko należących do rzędu wodolubnych *Hydrometridae Halobates* lub *Chironomidae Pontomyia*”. Z typowo germańską praktycznością ktoś umieścił instrukcję w nieprzemakalnym przezroczystym opakowaniu, a na wypadek, gdyby moja kultura poliglotyczna nie była wystarczająco rozległa, ta sama treść została zredagowana w ośmiu językach, wśród których był fiński i turecki. Ponurą gotycką czcionką ostrzegano mnie, że słoiki z formaliną są własnością państwa niemieckiego i że „jakiegokolwiek uszkodzenie, częściowe lub całkowite, jednego lub kilku pojemników” pociąga za sobą odpowiednie sankcje administracyjne. Kamień spadł mi z serca, kiedy na dołączonym w ostatniej chwili dopisku przeczytałem, że status współpracownika naukowego zwalnia mnie z wszelkiej odpowiedzialności prawnej. Co za ulga. Niestety, nigdzie nie zostało wyjaśnione, jak miałyby wyglądać owe *Hydrometridae*

Halobates czy *Chironomidae Pontomyia*, czy to były motyle, czy karaluchy; które osobniki mogły być ciekawe i z jakiego powodu.

Jakieś przedsiębiorstwo handlowe z Lyonu, współpracujące z marynarką handlową, zabiegało o moje usługi w zakresie mineralogii. Do pisma dołączony był mały zestaw przyrządów do badań i analiz, wraz z instrukcją obsługi. Jeślibym odkrył tu złoża złota o czystości przekraczającej sześćdziesiąt pięć procent, ale nie mniejszej, byłiby zobowiązani, gdybym ich o tym powiadomił „z największą gorliwością i pośpiechem”. Jasne. To się samo przez się rozumie – gdybym odkrył kopalnię złota, w te pędy poleciałbym do biura w Lyonie, żeby oni mogli ją zarejestrować jako swoją własność. Na koniec jeszcze katolicki misjonarz prosił mnie, posługując się wytworną kaligrafią, bym wypełnił „z należytą uwagą i świętą cierpliwością” kwestionariusze na temat tubylców. „Gdyby książęta Bantu na wyspie okazali się bojaźliwi, proszę nie tracić nadziei” – doradzał. „Najlepiej służyć dobrym przykładem i na kolanach odmawiać różaniec. To ich natchnie do wstąpienia na drogę wiary”. Niewątpliwie misjonarz był niedoinformowany co do miejsca mojego przeznaczenia, w którym trudno było znaleźć królestwo czy choćby tylko republikę Bantu. I kiedy zostały mi do rozpakowania już tylko dwie skrzynie, nieoczekiwanie pojawiła się ta koperta, a w niej list.

Chciałbym móc powiedzieć, że go porwałem, nie czytając. Nie mogę. Mimo upływu dni pamiętam dokładnie przebieg wydarzeń. Dlaczego? Ponieważ ten głupi list do tego stopnia wyprowadził mnie z równowagi, że zapomniałem otworzyć ostatnie dwie skrzynie. Nie sprawdziłem ich zawartości, a już za chwilę mogłem zapłacić za to zaniedbanie własnym życiem.

Napisali go moi dawni towarzysze broni. Najbardziej zirytowało mnie to, że list nie zawierał żadnej informacji. Jego autorzy postarali się, by nie było w nim luk, w które mogłaby się wdrzeć prawda; nie było w nim również żadnych impertynencji. Nie chcieli mi dawać powodów do nienawiści, nie przypuszczając nawet, że taka postawa sama w sobie jest nienawistna. Najgorszy był ten ich dyskretny nacisk, bym zachował milczenie. Tylko jedno ich obchodziło – że mógłbym robić w przyszłości przeciw nim to samo, co w przeszłości robiłem z nimi. Jak zwykle ubolewali nad moją dezercją. Chcieli mnie nawet zrehabilitować, gdybym zdecydował się do nich wrócić. Oni naprawdę sądzili, że powodowałem się urażoną ambicją! To nie był list, to był prawdziwy popis małoduszności. Naubliżałem im z odległości dziewięciu tysięcy kilometrów, przyznając się. Ale nie byłem idiotą. Pomimo wzburzenia przeklinałem nie ludzi, lecz uczucia, które mnie jeszcze łączyły z przeszłością. Nie byłem więźniem wyspy; więziła mnie tylko moja pamięć. Znalazłem się tu jednak z powodu mojej politycznej przeszłości, która dziwnym zrzędzeniem losu zaczęła się od pewnego listu, a teraz kolejny list wyznaczał jej kres.

* * *

Przy odrobinie szczęścia irlandzkie sieroty trafiały do Instytutu Blacktorne. Anglia widzi we wszystkich osieroconych Irlandczykach potencjalne niebezpieczeństwo, bunt w zarodku. Zadaniem Blacktorne było zrobienie z nas niegroźnych i potulnych proletariuszy, najchętniej marynarzy. To odpowiedni zawód: w ten sposób można było pozbyć się podejrzanych od urodzenia, wysyłając ich na pełne morze i umieszczając w angielskiej flocie jak w pływającym więzieniu. Wyróżniającym się wychowankom Blacktorne pozwalało zdobyć średnie wykształcenie. W moim przypadku oznaczało to tylko tytuł

technika logistyki morskiej, TLM, całkiem przeciętny, choć według dyplomu był to tytuł pierwszorzędny, *first class*, jak zapewniał Jej Łaskawy Majestat. Nauczycielom z Blacktorne trzeba oddać sprawiedliwość – nie byli beznadziejni. Nauczyli nas podstaw oceanografii i meteorologii oraz komunikacji morskiej. To chyba była jedyna zaleta angielskiej okupacji – pomimo że podawałem się za katolika, wolałem alfabet Morse'a od łaciny. Angielska bezczelność przekraczała jednak wszelkie granice. Anglia uważa, że może traktować mieszkańców kolonii jak sfore psów. I jeszcze z całą perfidią oczekuje od psów lojalności, rzucając im okruchy ze stołu. Nas chcieli wysłać w morze, podczas gdy cała Irlandia tonęła! Chcieli, byśmy obserwowali pogodę i patrzyli w niebo, podczas gdy oni kradli nam naszą ziemię i nieśli ze sobą burzę. I nie rozumieli, czemu się buntowaliśmy.

Dwa razy w tygodniu jeździłem z Blacktorne do miasta, gdzie się zapisałem na kurs gaelickiego. Bogiem a prawdą, nigdy nie wyszedłem poza alfabet tego języka. Ale kurs był tylko przykrywką. Dzięki niemu mogłem być łącznikiem republikańskim. Razem ze mną jeździł chłopak, który miał na imię Tom. Cierpiał na nieuleczalną chorobę, co mu nie przeszkadzało być najweselszym dzieckiem w całym sierocińcu.

– Jestem największym patriotą spośród wszystkich irlandzkich gruźlików – lubił mówić o sobie. I śmiał się.

Przewoziliśmy meldunki. Na rowerach wyglądaliśmy na to, czym byliśmy – dwójkę ubogich uczniów, sierot z Blacktorne, jadących na zebranie kółka folklorystycznego. Czasem zatrzymywał nas patrol żołnierzy, których mundury w kolorze gęszej kupy kłóciły się z zielenością okolicy. Zapamiętałem szczególnie jednego sierżanta o spojrzeniu wołu.

– Stać! Rowerzyści, do raportu! Ilu was jest, pieprzeni Irlandczycy? – pytał, jakby nie potrafił zliczyć do dwóch.

– My dwaj – odpowiadał niezmiennie Tom.

Rewidowali nam tornistry, zeszyty do gaelickiego, wełniane czapki, nawet buty i długie skarpety. Nigdy niczego nie znaleźli. Ale ktoś musiał na nas donieść. Pewnego dnia stanęliśmy przed patrolem i od razu poczułem, że coś się święci. Poza żołnierzami i wołowym sierżantem był jeszcze angielski oficer. Sztywny jak kołek, patrzył na nas szarym przezroczywym wzrokiem i mówił słodkim głosem pełnym okrucieństwa. Typowy angielski oficer.

– Stać! Rowerzyści, do raportu! Ilu was jest, pieprzeni Irlandczycy? – zapytał jak zwykle sierżant.

– My dwaj – odpowiedział Tom.

– Nie – odparł oficer. – Wy dwaj i dwa rowery.

Natychmiast rozłożyli je na części. W ramie mojego roweru znaleźli list. Nic ważnego, notatka o odwołaniu tajnego zebrania republikańców. To wystarczyło.

Sąd był jak teatr. Peruki, aksamitna toga sędziego, mahoniowy stół – a wszystko to dla dwóch gówniarzy. Barokowa forma miała chyba rozgrzeszyć trybunał sędziowski z wydanego wyroku. Miałem dużo szczęścia, na które nie zasłużyłem. Adwokat, opłacony przez Blacktorne, nadmienił, że były dwa rowery, a tylko jeden gryps. Z czego wynikało, że jeden z oskarżonych musiał być niewinny. To nie była linia obrony, ale raczej prośba skierowana do sędziego, apelująca do jego wielkoduszności. O dziwo, poskutkowało. W tamtych czasach Blacktorne uważane było jeszcze za instytucję wzorowo współpracującą z władzą. Nie chciano podważać rangi tego ośrodka, skazując jego wychowanków. Jeśli o

mnie chodzi, sędzia zadowolili się publicznym upokorzeniem. Zmuszając mnie do zaprzaństwa, spytał, jakie mam zdanie w kwestii irlandzkiej.

– Pozytywne – odpowiedziałem. – Uważam, że Irlandia powiązana jest z Anglią liniami izobarycznymi na wieki wieków, amen.

– Widzi pan, panie sędzio? – improwizował adwokat. – Oto wspaniały wychowanek Blacktorne, przyszły technik logistyki morskiej. Nie możemy dopuścić, by błąd młodości złamał jego karierę.

Tom był bardziej dobitny:

– Ja uważam, Wysoki Sądzie, że nawet izobarami nie da się przywiązać Irlandii do Anglii.

Adwokatowi nie pozostawało nic innego, jak nieśmiało powołać się na okoliczność łagodzącą – chorobę Toma. Mnie ukarali grzywną, żeby mi nie uszło całkiem na sucho. Ale Tom został skazany na dwa lata ciężkiego więzienia w Deburgh, gdzie zmarł na skutek powikłań choroby płuc. To takie typowe dla cywilizowanych tyranii. Najpierw grozi się dwu niewinnym ludziom stosem, następnie jednego wypuszcza na wolność, stwarzając pozory ulaskawienia, którego *de facto* nie ma. Z tego procesu zapamiętam na zawsze zachowanie Toma. Oświadczył, że był właścicielem feralnego roweru. Czyli to on był winny. Wiedział, że nie wyjdzie żywy z więzienia, a jednak po procesie był na mnie wściekły. O co? Że moją idiotyczną odpowiedzią mogłem rozzłościć sędziego, a wtedy jego ofiara poszłaby na marne.

– Jestem największym gruźlikiem spośród wszystkich irlandzkich patriotów – oświadczył w przeddzień procesu, przekręcając swoje stare hasło. On był nieuleczalnie chory, ja mogłem się jeszcze okazać pożyteczny. Trudno dyskutować z tak dobitną argumentacją. Jego ciało stanowiło tylko przyczynek w Sprawie, więc można je było poświęcić. Tom, podobnie jak wielu innych, traktował swój własny los jak broń w walce – byle tylko dobrze wycelować. A w naszych czasach wspaniałomyślność to rodzaj amunicji. Spoglądając wstecz, widzę dwa nieopierzone koguciki ze łzami w oczach. Ale prawdziwi bojownicy powinni zachowywać w sobie coś z dziecka. Mieliśmy wtedy po dziewiętnaście lat.

Kiedy opuściłem Blacktorne, nie byłem jeszcze formalnie pełnoletni, dlatego przyznano mi kuratora z urzędu. Kuratorzy wywodzili się zazwyczaj z ubogich rodzin i chodziło im głównie o subsydlum otrzymywane w zamian za przygarbienie absolwenta, dopóki się nie usamodzielniał. Tym razem los znów się do mnie uśmiechnął. Miałem tytuł TLM i pewnie już na zawsze pozostałbym typowym wychowankiem Blacktorne, gdyby nie mój opiekun.

Był to dość szczególny osobnik – mason, astronom, świetnie tłumaczył z rosyjskiego i pisał okropne wiersze. Od pierwszej chwili zorientował się, że siedzi we mnie niezły kawał buntownika. Dlatego zaangażował wszystkie swoje siły, by mi bardzo subtelnie wyperswadować przyszłość w armii republikańskiej. Czy był po stronie Anglików? Nie. Był cichym patriotą, jednym z tych ludzi, dla których przemoc jest świeckim świętokradztwem.

Nie pozwolił mi szukać pracy przed ukończeniem specjalnego programu nauki, jaki sam dla mnie opracował. Niektóre z zadawanych przez niego ćwiczeń były kuriozalne, i to jeszcze jak! Wśród rozprawek politycznych zdarzały się na przykład takie tematy: „Ludzka głupota jako usprawiedliwienie władzy cesarzy, carów, kajzerów i parlamentaryzmu brytyjskiego” czy: „Proszę podać sześć powodów, dla których Belgowie

nie zasługują na państwo, i sześć powodów, dla których mieszkańcy Quebecu na nie zasługują, i na odwrót” lub: „Historia imperium Monomotapa, czyli jak oberwać guza”. Nigdy jednak nie mówił wprost o Irlandii.

Nauka nie ograniczała się do zadań pisemnych – dużo było ćwiczeń praktycznych wymagających samotności. Na przykład kazał mi siedzieć dokładnie sześć minut i trzydzieści sekund na łące. W tym czasie miałem rejestrować w pamięci wszystkie przejawy życia w małym prostokącie, ogrodzonym taśmami. Początkowo widziałem tylko trawę, ale powoli zacząłem dostrzegać zdumiewające ilości owadów wypełzających spod ziemi, wspinających się i latających. Wszystko było pełne życia, poruszane wiatrem, i tworzyło jedną całość, którą trudno by opisać słowami. Mój opiekun po zakończeniu ćwiczenia powiedział: Minęło sześć minut i trzydzieści sekund. Proszę przedstawić na piśmie, jak wyglądałaby trzydziesta pierwsza sekunda. Tytuł wypracowania: „Elementy zawarte w obserwowanym prostokącie”. Nie było przypadku, żebym nie zaliczył jakiegoś zadania, najwyżej musiałem je powtórzyć. Ale, niestety, czasem to powtarzanie ciągnęło się w nieskończoność. Nad ostatnim wypracowaniem na przykład siedziałem trzy miesiące. Poprawiałem i poprawiałem, aż w końcu pewnego pięknego dnia napisałem tylko: „Jedynym elementem składowym prostokąta jest sam prostokąt”.

Potem przyszła kolej na chwasty rosnące w prostokącie. Miałem je usunąć, ale ostrożnie. Poleciał mi odseparować rośliny pożyteczne od zielska. Nie znałem się na tym, więc musiałem zasięgać jego opinii przy każdej roślinie. To nie jest chwast, mówił o jednej z nich. Można gotować liście tej rośliny i pić wywar. Tego też nie trzeba wrywać, to dzikie szparagi. Są jadalne, wyśmienite! Ta też nie. Jak mogłaby być uznana za chwast, skoro w maju wypuszcza piękne kwiatuszki?

W końcu została tylko jedna roślinka. Do niczego się nie nadawała, nie miała żadnych tajemnic. Parę ciemnych, ostro zakończonych, trujących listków; twarda, brzydka łodyżka. Westchnął: tak, to najgorszy przypadek, ale jeśli ją usuniemy, czy inne rośliny będą tu potrzebne? Nie – odpowiedziałem. – Jaki możesz z tego wyciągnąć wniosek? – Że nie istnieją chwasty. – Ćwiczenie zostało zaliczone.

Inne zadanie: przez całe dwa dni śledzić dowolnie wybraną przez ucznia osobę, notując każde jej słowo, każdą opinię, odruch, zachowanie w sytuacjach intymnych itd. Z infantylną złośliwością zdecydowałem się na niego. Nie protestował. Potem kazał mi krytycznie ocenić wybraną osobę. Odpowiedziałem, że jeśli się zna kogoś aż tak dobrze, nie można być jego sędzią. Możesz uznać zadanie za zaliczone, podsumował.

Nauczył mnie przede wszystkim, że na świecie są tylko dwie postawy: opcja życia i opcja śmierci. Ktoś może być ostatnim z tragarzy i wybrać życie; ktoś inny może być najsłynniejszym pisarzem swego kraju i swojej epoki, i wybrać drogę śmierci. Pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy. Pamiętam, że zmarł trzy dni po osiągnięciu przeze mnie prawnej dojrzałości. Pożegnał się ze mną na łożu śmierci, z nonszalancją kogoś, kto się wycofuje z dobrego interesu. Mówił o swojej chorobie jak krytyk oceniający cudze dzieło. Na koniec poprosił:

– A teraz opowiedz mi, przyjacielu, o twoich planach na przyszłość.

– Jak może pan zadawać mi takie pytania, sam będąc na łożu śmierci? – protestowałem, zalewając się łzami.

– A kto ci powiedział, że ludzie tacy jak ja umierają? – brzmiała riposta.

Tego dnia obaj wyszliśmy z domu tymi samymi drzwiami, żeby już nigdy nie powrócić.

W pewnym sensie wysiłki tego człowieka z góry skazane były na niepowodzenie, i to na obu frontach. Wszystkie lektury towarzyszące zadaniom, mające mnie chronić przed niegodziwością świata, tylko bardziej uwrażliwiły moją i tak zbyt delikatną skórę. To nie jego wina. Dzięki niemu nie byłem już tym młokosem, który opuścił Blacktorne. Ale Irlandia była ciągle taka sama, a na to nie miał wpływu. Jaki z tego pożytek, gdy najbardziej światły z ludzi nocą rozprawia o słońcu? Jego metody wychowawcze płynęły pod prąd rzeczywistości. Tak więc mimo wszystko przystąpiłem do republikańskiej Sprawy, poświęcając jej całą swoją miłość, bezprzedmiotową po śmierci Toma.

W armii republikańskiej za dużo było rąk, a za mało mózgów. Chociaż byłem młody, miałem wykształcenie, a do tego jeszcze dość szczególną kulturę humanistyczną. Dowództwo zdecydowało, że będę bardziej przydatny w logistyce niż w walce. Zawsze uważałem, że w sytuacjach dramatycznych ironia losu odwraca świat do góry nogami: z technika logistyki morskiej z Blacktorne, pierwszorzędnego TLM, *first class*, stałem się technikiem logistyki wywrotowej, TLW, może nie pierwszorzędnym, ale z pewnością całkiem nieprzeciętnym. Znalazłem się w konspiracji. Przez lata całe Anglicy wyznaczali nagrody za pomoc w ujęciu mnie. Najpierw wycenili mnie na dziesięć funtów. Potem na piętnaście. Później na dokładnie trzydzieści pięć funtów i piętnaście szylingów, z typowo angielskim wyrachowaniem, czyli precyzją w rachunkach. Wreszcie osiągnąłem szczyt – czterdzieści pięć funtów. Szkoda. Nie dostałem się do ekskluzywnego klubu działaczy szacowanych na ponad pięćdziesiąt funtów. Pewnie sobie na to nie zasłużyłem. Nie byłem ani ideologiem, ani generałem. Byłem tylko łącznikiem, pośrednikiem między dowództwem i bojownikami rozproszonymi w terenie. Ale ze względu na tę sytuację stale byłem narażony na niebezpieczeństwo. Czasami musieliśmy uciekać z farmy dosłownie na minutę przed przybyciem Anglików, przez okienko w stodole, na złamanie karku. Któręś wieczoru nawet nas ostrzelano, choć już byliśmy prawie na linii horyzontu. Tropiono nas przez całą noc. Chwała naszym przodkom za naznaczenie krajobrazu starej, dobrej Irlandii labiryntem kamiennych murów, pod których osłoną udało mi się umknąć prześladowcom. Wynikałoby z tego, że na wojnie walczą i siły obecne, i siły przeszłości.

Jak na prawdziwych Irlandczyków przystało, po każdej klęsce natychmiast z entuzjazmem rzucaliśmy się w ramiona następnej. Ścigaliśmy przeciwnika z mrówczą konsekwencją, aż wreszcie popadł w zadyszkę. Nadszedł ów szczęśliwy dzień. Tamtego dnia, przechadzając się po Dublinie, zrozumiałem, że ubrałem się jak zwykły cywil, nie pamiętając o kamuflażu. Różnica nie polegała na stroju – o różnicę stanowiła nieobecność strachu. Anglicy wycofywali się.

Powiedziałem, że nastał szczęśliwy dzień. Tylko jeden. Świat bardzo szybko mnie rozczarował. Nasi przywódcy zabrali się do rządzenia z despotyzmem analogicznym do angielskiego. Ta oczywistość nie rzuca się w oczy od razu. Musi upłynąć trochę czasu, zanim ją przyjmiemy do wiadomości. Bądźmy szczerzy – czy była jakaś różnica pomiędzy pałacem Buckingham i posiedzeniami nowego rządu? Nowi sprawowali władzę w sposób równie pragmatyczny, despotyczny i nieludzki jak byłe generały angielskie. W rzeczywistości zajmowali się tylko utrzymywaniem znienawidzonego przez nas porządku. Dla nich Irlandia była nie celem, tylko środkiem do zdobycia władzy. W tym miejscu pojawiała się przeszkoda, podważająca sens ich działania – Tom, poświęcenie Toma, poświęcenie wszystkich innych Tomów.

Nasza ojczyzna nie była dla nas pojęciem geograficznym – była wizją przyszłości. Nasz patriotyzm nie opierał się na przekonaniu, że irlandzcy mężczyźni i kobiety są lepsi

niż mężczyźni i kobiety angielskie. Że mamy lepsze od Anglików ziemniaki. Nie. Zakłamanie imperium angielskiego przeciwstawialiśmy bezgraniczną wielkoduszność. Żołnierze w tamtej armii byli tylko ludzką amunicją, wykorzystywaną do interesów spod ciemnej gwiazdy w dowolnym punkcie naszej planety, podczas gdy my walczyliśmy w pełni świadomie, w imię wolności. Dlatego wypędzenie Anglików miało być początkiem innej rzeczywistości, lepszej, sprawiedliwszej. Tymczasem przywódcy nowej Irlandii zastąpili tylko nazwiska okupantów swoimi. Przemoc zmieniła kolor, poza tym wszystko inne pozostało bez zmian. To było jak perwersyjne delirium – Anglicy jeszcze nie zdążyli się ewakuować, a już nowy rząd Irlandii strzelał do dawnych towarzyszy broni.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, żebyśmy po dziesięcioleciach, stuleciach walki z Anglią, zaciągając się jeszcze pierwszym haustem wolności, już strzelali sami do siebie. Skąd się brała ta niepohamowana skłonność człowieka do zdradzania elementarnych zasad? Odrzuciłem propozycję objęcia skromnego stanowiska w nowej administracji. Nie po to walczyłem przeciw wszechmocnej potędze, jaką było imperium brytyjskie, żeby je teraz zastąpić karłowatą repliką. Nie mogłem również przyłączyć się do nowego podziemia. Wojna domowa nie może być Sprawą – jest klęską. Aż trudno uwierzyć, ale nim upłynął rok od opuszczenia kraju przez Anglików, liczba poległych Irlandczyków przekroczyła liczbę ofiar ostatniej wojny.

Nikt nie zamierzał cieszyć się pokojem – ani nowy rząd, ani buntownicy. Wcześniej gotów byłem oddać za nich życie; teraz z dnia na dzień wszyscy oni stawali mi się coraz bardziej obcy – tak jedni, jak i drudzy. Przedtem to ludzie ukrywali broń, teraz broń zasłaniała ludzi. Nie do zniesienia była świadomość przepaści, jaka mnie dzieliła od tych, których dotąd uważałem za swoich bliskich. Nie mogłem ich nienawidzić. Gorzej – ja po prostu nie potrafiłem ich zrozumieć. Jakby spadli z księżyca. Moja ojczyzna nigdy przedtem nie była moja, a teraz, kiedy wreszcie mogłem ją uznać za swoją, czułem się jak cudzoziemiec. Którejś bezsennej nocy myślałem o Tomie. Jak by się teraz zachował? Czy miałby podobne odczucia? Walczyłby nadal, czy może przystałby do nowych władz? Do rana wymyśliłem tylko jedno – że Tom już nie żyje.

To nie ja porzuciłem Sprawę. Można powiedzieć, że Sprawa porzuciła mnie. Coś się we mnie wypaliło, coś więcej niż tylko wiara. Straciłem jakąkolwiek nadzieję. Bo przecież historia Irlandii była zawsze historią rebelii, walki z założenia słusznej i sprawiedliwej. Jeżeli irlandzka Sprawa przegrała, choć była słuszna, żadna inna nie miała szans. Wszystko przemawiało za tym, że ludzie są niewolnikami ukrytego mechanizmu, który powtarza się w nieskończoność.

Od tego momentu zastanawiałem się tylko nad jednym – czy rzeczywiście mam ochotę pozostawać nadal w świecie podporządkowanym spirali przemocy, która przedłużała w nieskończoność ludzkie nieszczęście? Odpowiedź brzmiała: nie, nigdy więcej i w żadnym miejscu. Dlatego zdecydowałem się na ucieczkę do świata bez ludzi. Nie uciekałem przed prawem. Uciekałem przed czymś o wiele większym, nieskończenie większym.

* * *

Z Irlandii przedostałem się na kontynent. Nie wiedziałem, dokąd zmierzam; wiedziałem tylko, od czego uciekam. Z Francji pojechałem do Belgii, stamtąd do

Holandii, z jakimś mglistym zamiarem włączenia się bez końca, bez celu i kierunku. Nigdy nie przypuszczałem, że tytuł TLM może mi w tym pomóc.

W Amsterdamie znajdowała się siedziba międzynarodowej korporacji żeglugi morskiej. Prowadzono tam nabór załogi na wyprawy do wszelkich możliwych portów. Wpisałem się na koniec długiej listy, ale mój tytuł TLM oraz brak innych ochotników skrócił czas oczekiwania.

Odpowiedzialny urzędnik był Holendrem o czerwonych policzkach, porysowanych fioletowymi żyłkami. Musieli szybko obsadzić stanowisko meteorologa. Gdzie? Nie chciał od razu powiedzieć. Podczas rozmowy zorientowałem się, że nie muszę udowadniać swoich kompetencji, że tamten usiłuje mi wcisnąć tę funkcję za wszelką cenę. Wreszcie pokazał wyspę, celując w mapę różowym paznokciem, głęboko wrośniętym w ciało. Myślałem, że paznokieć nie trafił – niczego tam nie widziałem, żadnego zarysu na mapie, żadnej plamki, nawet najmniejszej. A była to najdokładniejsza mapa południowego Atlantyku. Przyjrzałem się lepiej. Wyspa znajdowała się na przecięciu współrzędnych, dlatego jej nie dostrzegłem od razu. Przykrywały ją linie długości i szerokości geograficznej.

– Jak liczna jest tamtejsza ekipa techniczna? – zapytałem.

– Niech się pan nie nastawia na życie towarzyskie – wymijająco odparł urzędnik.

Stawiałem tylko jeden warunek – żeby w żadnych rejestrach nie figurowało moje nazwisko. Przystał na to, zanim jeszcze skończyłem mówić. Kiedy zobaczył mój podpis pod umową, nie potrafił ukryć radości. Sądził, że mnie nabrał.

Po przeczytaniu listu straciłem ochotę na otwieranie pozostałych skrzyń. Siadłem na drewnianym taborecie, zmęczony, jakbym właśnie pokonał długi dystans. Musiałem się czymś zająć; to nie był dobry moment, żeby popadać w przygnębienie. Bezczynność nie jest dobrym lekarstwem na smutek, wykrzesalem więc z siebie trochę energii, w sam raz tyle, żeby pójść do latarni. Nawet gdyby się nie udało dogadać z latarnikiem, trochę ruchu wystarczy, by odegnać złe wspomnienia. Może tamten był akurat trochę zamroczony i dlatego sprawiał wrażenie tępaka? Staralem się go usprawiedliwić. Jeśli dobrze się zastanowić, kapitan wtargnął do jego domu nieproszony, zachowując się nieuprzejmie i arogancko, jak napuszony kogut. Zaskoczyliśmy go w czasie snu, zapominając, że porządny latarnik w dzień śpi, by nocą być na posterunku, przy reflektorach. Poza tym my przyzwyczajeni byliśmy na statku do kontaktów międzyludzkich tak bezpośrednich, że aż nieprzyzwoitych. On nie. Można sobie wyobrazić jego zdziwienie, kiedy nagle zobaczył dwóch nieznajomych właśnie tu, na końcu świata.

Całe życie wyspy skupiało się w lesie. Ale im głębiej wchodziłem w zieleń, tym bardziej owo życie wydawało mi się gnuśne, przypadkowe, lękliwe i prymitywne. Krzaki na przykład wypuszczały na wszystkie strony grube i na pozór solidne pędy. Jednak wystarczyło je zgiąć, a łamały się jak marchewki. Przyjdzie zima, spadnie śnieg i przygniecie je skuteczniej niż uderzenie młotem. Ten las robił wrażenie wojska, które nastawia się na klęskę jeszcze przed bitwą. Zatrzymałem się w połowie drogi, zaintrygowany wielką marmurową płytą, z której wystawała zwykła rurka z brązu. Płyta przylegała do skały. Obrosnięta była ciemnymi plamami mchu. To było dobre miejsce na ujęcie wody – na płaskim terenie tu akurat tworzyła się niewielka niecka. Z rurki sączył się nieprzerwanie strumyk i wpadał do podstawionego wiadra, z którego woda przelewała się na ziemię. Obok stało drugie wiadro, puste, na wymianę. Zrozumiałem, że tu latarnik zaopatruje się w wodę. Ciekawe, jak nasz wzrok selekcjonuje przedmioty przy percepcji. Za pierwszym razem, przechodząc tędy z kapitanem, nie zauważyłem źródła. Nie zwróciliśmy na to miejsce uwagi, bo szukaliśmy czegoś ambitniejszego. Ale teraz byłem sam, naprawdę sam, i wodotrysk, z którego wypływał strumyk, stawał się interesującym obiektem. Podchodząc bliżej, dostrzegłem nad nim taki napis:

Batís Caffó tu mieszka

Batís Caffó zrobił to źródło

Batís Caffó to napisał

Batís Caffó umie się bronić

Batís Caffó panuje nad oceanami

Batís Caffó ma czego chce i chce tylko tego co ma

Batís Caffó to Batís Caffó i Batís Caffó jest Batisem Caffó

Dixit et fecit

Przestałem się łudzić. Nie było nadziei na zgodę. Przed sobą miałem dzieło beznadziejnie zdeintegrowanego umysłu. Ale i tak nie miałem nic lepszego do roboty, więc szedłem dalej. Na miejscu okazało się, że drzwi latarni są zamknięte. – Halo, halo! – krzyknąłem, naśladując kapitana.

Nikt mi nie odpowiedział. Słyszałem tylko szum fal rozbijających się na pobliskich skałach. Przypomniałem sobie napisy na skale. Przyszło mi do głowy, że facet musi być niezłym pyszałkiem, skoro wszystkie zdania rozpoczyna swoim nazwiskiem. Może to z powodu rachitycznej osobowości, może nadmiernie wyostrojonej egolatrii, albo jednego i drugiego równocześnie, w każdym razie miał potrzebę podkreślania swojej tożsamości. Spróbowałem podejść go strategicznie, kładąc nacisk na jego imię:

– Batís! Batís! – krzychałem, przystawiając do ust złożoną w trąbkę dłoń. – Batís, Batís! Halo! Proszę otworzyć. To ja, meteorolog!

Żadnej odpowiedzi. Nad drzwiami, na wysokości sześciu-siedmiu metrów, był balkon, w który wpatrywałem się w nadziei, że on tam się pojawi. Oczekując na niego, zacząłem dostrzegać inne rzeczy. Na przykład że do balkonu były przymocowane drągi. Poprzednim razem wziąłem je za rodzaj prymitywnego rusztowania, ale nie, myliłem się. Oryginalne, metalowe wsporniki balkonu tworzyły trójkąt, pomiędzy jego płaszczyzną a ścianą, podczas gdy te ostro zakończone kołki otaczały balkon ze wszystkich stron. Wyglądał jak monstrualny jeź. Powiał wiatr i wtedy dotarł do mnie szcęk metalu. Poniżej balkonu latarnia była otoczona pierścieniem sznurów zaczepionych na grubych gwoździach. Na sznurach wisiały puste puszkę, pojedynczo lub parami. Poruszone wiatrem, uderzały o siebie i wydawały dźwięk, jak dzwonki krów. Takich dziwów było więcej – z rowków między kamiennymi blokami sterczały gwoździe, umocowane główką do środka. Oprócz gwoździ w ściany wbite było szkło, mnóstwo szklanej stłuczki. Wszystko to połyskiwało w słońcu, rzucając czerwone i zielone refleksy. Powyżej, na wysokości, do jakiej można się było wspiąć po drabinie, wszystkie szczeliny muru latarni wypełnione były dokładnie prymitywną zaprawą murarską, tak że wydawał się mocny jak inkaska forteca. Nie wcisnęłyby się tam nawet paluszki noworodka. Obszedłem latarnię – otaczały ją ze wszystkich stron te absurdalne dodatki. Kiedy znów doszedłem do drzwi, zobaczyłem na balkonie Batisa. Mierzył do mnie z dwururki. Poczujęm się zaskoczony, ale nie okazałem po sobie strachu:

– Dzień dobry. Batís, pamięta mnie pan? Chciałbym z panem pomówić. W końcu jesteśmy sąsiadami. Szczególne sąsiedztwo, nieprawdaż?

– Stać, bo będę strzelał.

Z doświadczenia wiedziałem, że kiedy jeden człowiek chce zabić drugiego, to go o tym nie uprzedza, a jeśli mu grozi, to znaczy, że strzelać nie zamierza.

– Batís, niechże pan będzie rozsądny – nalegałem. – Jedno życzliwe słowo, proszę. Nie odpowiedział, tylko dalej mierzył do mnie z wysokości swego balkonu.

– Na jak długo ma pan umowę? – zagailem, żeby coś powiedzieć. – Kiedy się pan spodziewa zmiennika?

– Zabiję jak psa.

Uważam, że jeśli ktoś sam z siebie nie chce mówić, bez tortur nie da się go do tego zmusić. A ja nie byłem katem. Wzruszyłem ramionami. Musiałem się stamtąd zabierać. Odwróciłem się dopiero na skraju lasu. Batís nadal tkwił w tym samym miejscu, na balkonie, w rozkroku, w pozycji strzelca alpejskiego. Przymknął nawet lewe oko.

* * *

Do końca dnia nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Skończyłem się urządzać. Potem przyłapałem się na coś dziwnym – zupełnie nieświadomie tak mocno zagryzłem

dolną wargę, że pojawiła się krew, nawet nie wiem jak i kiedy. Potem, już z pełną świadomością, napocząłem baryłkę koniaku. Na pół pijany, na pół trzeźwy, i smutny, i wesoły, rozpałem w kominku. Ćmiłem papierosy i wrzucałem niedopałki do ognia. Wielu poetów mówi o tęsknocie za ojczyzną. Ale ja nigdy nie umiałem docenić sztuki poetyckiej. Uważam zresztą, że ból jest doświadczeniem pierwotnym, wcześniejszym niż język, i nie da się go wysłować. Poza tym ja już nie miałem ojczyzny.

Pochłonięty melancholijnymi myślami, nie zauważyłem, kiedy się ściemniło. W tej części świata noc zapada nagle, bez uprzedzenia. Przestraszyłem się – na chwilę mój dom napełnił się białym blaskiem, który zaraz znikł. To latarnia. Batís włączył światła. Wprawiony w ruch reflektor za każdym obrotem zaglądał w moje okna. Nie bardzo rozumiałem, jaki to ma sens. Reflektor wymierzony był prosto w mój dom. Ustawione pod niskim kątem światło nie mogło służyć jako punkt orientacyjny okrętom znajdującym się na pełnym morzu. Co za dzikus, pomyślałem. Mogło być tak, że zjawił się na wyspie z potrzeby samotności. Ale on dziwnie sobie z tą samotnością poczynał. Ja na przykład uważam, że prawdziwa samotność jest sprawą wewnętrzną i nie wyklucza kontaktów z przypadkowymi sąsiadami. Tymczasem on traktował wszystkich ludzi jak zadżumionych. A zresztą, po co miałbym się teraz przejmować dziwactwami Batisa.

Pamiętam, że zapaliłem lampę naftową i usiadłem przy stole, żeby zaplanować swoje zajęcia. Scena przedstawiała się tak: W głębi był kominek. Naprzeciwko ja przy biurku. Po mojej prawej stronie drzwi wejściowe i łóżko, prawie takie samo jak moja prycza na statku. Po lewej druga ściana, a przy niej skrzynie i pudła – całe moje gospodarstwo. W pewnym momencie usłyszałem dochodzący z oddali intrygujący szum, jakby gdzieś przebiegło truchtem stadko kóz. W pierwszej chwili uznałem, że to dzwonią pierwsze, pojedyncze krople deszczu. Podeszedłem do okna. Nie, nie padało. Księżyc w pełni powlekał purpurą powierzchnię morza i oświetlał porzucone na plaży pnie, w których moja wyobraźnia dostrzegała zastygłe w bezruchu ludzkie kończyny, tworzące kamienny las. Nie zanosilo się na deszcz. Uspokojony, wróciłem do stołu i wtedy zobaczyłem to coś. To coś. Pamiętam swoją pierwszą myśl – że szaleństwo rzuciło mi się na oczy.

Drzwi miały na dole małe przejście, jak dla kota – półkolisty otwór przykryty ruchomą klapą. Tamtędy właśnie wsunęło się ramię. Całe ramię, długie i nagie. Ruchem epileptyka rozgarniało powietrze w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Klamki? To nie była kończyna ludzka. Lampa i kominek nie dawały silnego światła, ale dało się dostrzec potrójną kość przedramienia, inną niż u człowieka. Ani grama tłuszczu, same mięśnie, i skóra jak u rekina. Ale najgorsza ze wszystkiego była dłoń, a w niej palce połączone błoną dochodzącą prawie do paznokci.

Zdziwienie ustąpiło miejsca panice. Krzyknąłem ze strachu i zerwałem się z krzesła. Na mój krzyk odpowiedział chór głosów. Byli wszędzie. Okrążali dom, wydając niezwykle dźwięki, coś między rykiem hipopotama a wyciem hieny. Byłem tak przerażony, że nie umiałem zidentyfikować własnych uczuć. Półprzytomny wyjrzałem przez okno.

Nie widziałem ich dokładnie, ale czułem wyraźnie ich obecność. Byli trochę wyżsi ode mnie i szczuplejsi. Biegali wokół domu, zwinni jak gazy. Ich sylwetki rysowały się w mroku dzięki światłu księżyca. Ledwo ich namierzyłem wzrokiem, już znikali z pola widzenia, ograniczonego ramą okna. Jeden się zatrzymał, przekręcając głowę na różne strony jak koliber, zagwizdał, pobiegł do przodu, zawrócił; dołączyły do niego dwa inne

osobniki, wszyscy razem pobiegli w przeciwnym kierunku, bez wyraźnego powodu, wszystko w błyskawicznym tempie. Usłyszałem za sobą brzęk tłuczonego szkła. Okno! Oznaczało to, że z roli obserwatora przejdę do roli ofiary. Na świętego Patryka, wdzierali się do domu! Uratował mnie tylko brak koordynacji ich odruchowych działań. Kwadraty szyb w oknach były niewielkie, ale precyzyjnie się przez nie zwinne ciało. Oni jednak tak bardzo chcieli dostać się do środka, że tłocząc się wszyscy naraz, sami sobie blokowali drogę. Na ten tumult padł teraz snop światła latarni. Na moich oczach rozgrywał się horror. W oknie wiły się jak macki ramiona płazów – sześć, może siedem sztuk. Te istoty cofnięte w ewolucji wyły przy tym potępieńczo. Widziałem z bliska ich twarze – jajowate oczy, pozbawione brwi, ze szpilkami źrenic, otwory nosowe i duże usta bez warg.

Zareagowałem instynktownie, nie zastanawiając się nad tym, co robię. Chwyciłem płonąca głównię z kominka i z krzykiem zaatakowałem płataninę wijących się rąk, wywołując fontannę iskier zmieszanych z błękitną krwią i drzazgami zwęglonego drewna. Słyszałem skowyt rannych. Wyrzuciłem pochodnię w ślad za ostatnim znikającym ramieniem. Kiedy chciałem zamknąć okiennice, jakiś pazur rozorał mi szyję. Nieoczekiwanie dla samego siebie wykazałem się refleksem. Zamiast złapać potwora w przegubie, zgąłem jego palec tak mocno, że złamałem kość. Odskoczyłem w tył. Do pustego worka zgarnąłem polana z paleniska i rzuciłem nim w okno. Rozsypujący się żar wywołał na zewnątrz lament bólu, a mnie pozwolił zyskać na czasie. Zdażyłem zamknąć jedną wewnętrzną okiennicę.

Ale zostały jeszcze trzy okna, wszystkie otwarte. Zaczął się wyścig na śmierć i życie. Biegłem od jednego do drugiego, zamykając okiennice i zakładając sztaby. Tamci podjęli grę – okrążając dom, atakowali jedno okno za drugim. Mogłem śledzić ich ruch, wsłuchując się w podniecony jazgot na zewnątrz. Na szczęście byłem szybszy. Kiedy udało mi się zabezpieczyć ostatnie okienko, okazali wyraźne rozczarowanie, reagując na porażkę przeciągłym lamentem, od którego ciarki przechodziły po plecach. Chóralne wycie dobywało się z wielu gardzieli naraz – dziesięciu, jedenastu, może dwunastu, nie wiem, przerażenie nie sprzyja dokładności w rachunkach.

Ciągle tam byli. Nie wiedząc, co robić, zdesperowany, zacząłem się rozglądać za jakąś bronią. Siekiera, siekiera, siekiera, podpowiadał mi mózg. Ale nie miałem jej pod ręką. Nie było czasu szukać, zadowolilem się łopata. Teraz wszystkie potwory zebrały się pod jednym oknem i na nim skupiły się ich ciosy. Drzewo trzeszczało, ale sztaba była solidna. Nie mieli żadnej taktyki, tłukli bez sensu, na oślep. W tych warunkach trudno było się bronić, mogłem tylko czekać nie wiadomo na co. Wtedy przypomniałem sobie o tamtej ręce pod drzwiami. Tkwiła ciągle w tym samym miejscu. Zareagowałem histerycznie. Całe nagromadzone napięcie wyładowałem na tym odrażającym organie, rzucając się nań z furją, o jaką bym siebie nigdy nie podejrzewał. Walilem w niego łopata jak pałą, potem próbowałem odrąbać ramię drugim, ostrym końcem, ale ono ciągle tam tkwiło. Wreszcie trafiłem na większą arterię, z której trysnęła krew, i wtedy ręka wycofała się szybko jak jaszczurka.

Usłyszałem płacz okaleczonego potwora. Płakali też jego towarzysze. Ustało walenie w okno. Zapadła cisza. Najgorsza cisza, jaką kiedykolwiek słyszałem. Wiedziałem, że ciągle tam są, na zewnątrz. Nagle wszyscy razem zaczęli buczeć unisono. Miauczeli jak małe kocięta porzucone przez matkę. Miau, miau, miau – krótkie i łagodne – wyrażały smutek i desperację. Jakby mi chcieli powiedzieć: wyjdź, wyjdź do nas, to nieporozumienie, nie chcemy ci zrobić krzywdy. Nieważne, że nie zasługiwali na zaufanie

– chcieli teraz zatrzeć złe wrażenie. Miauczeli smutno, uderzając co chwila w zamknięte okna i drzwi. Nie daj się nabrać, na litość boską, nie daj się nabrać, powtarzałem w duchu. Zabarykadowałem drzwi skrzyniami. Dorzuciłem drewna do ognia, na wypadek gdyby im przyszło do głowy zaatakować mnie przez komin. Z niepokojem przyjrzałem się sufitowi. Dach był zrobiony z łupkowych płytek, więc gdyby im się chciało, mogliby go rozebrać i dostać się do środka. Ale zostawili w spokoju dach i komin. Przez całą noc z monotonną regularnością sączyło się przez szczeliny w okiennicach światło latarni – długie, cienkie promienie, które pojawiały się i znikwały z dokładnością mechanizmu zegarowego. Przez całą noc potwory atakowały – raz okna, raz drzwi – a ja czekałem, kiedy ich napór przełamie bariery. Potem zapadła długa cisza.

Zgasła latarnia. Ostrożnie otworzyłem okiennice. Znikli. Na horyzoncie rozciągała się delikatna, żółto-fioletowa smuga. Padłem na ziemię bezwładnie jak pusty worek, nie wypuszczając z ręki łopaty. Walczyło we mnie kilka nowych, nieznanych uczuć. Zdążyłem jeszcze zarejestrować pojawienie się małego kręgu słońca nad wodami. Zwykła świeczka w mroku dałaby więcej światła niż ta gwiazda otoczona welonem chmur. Ale mimo wszystko to było słońce. W tej szerokości geograficznej, na południu, latem noce są wyjątkowo krótkie. Ta noc z pewnością była najkrótsza w moim życiu. Miałem jednak wrażenie, że jest to najdłuższa noc, jaką kiedykolwiek przeżyłem.

Konspiracyjne doświadczenie nauczyło mnie, że bezwzględnie najlepszą metodą walki z sentymentami i desperacją jest podejście do problemu od strony taktycznej. Przeprowadziłem następującą kalkulację: jesteś martwy. Znalazłeś się na zimnej, samotnej wyspie, w odległości wykluczającej wołanie o pomoc. Jesteś martwy, jesteś martwy, powtarzałem sobie, skręcając papierosa. Taka jest twoja obecna sytuacja: jesteś martwy. Więc jeśli nie dasz sobie rady, nic nie tracisz. Ale jeśli ci się uda ocaleć, zdobędziesz główną wygraną – swoje życie.

Nie należy lekceważyć siły samotnych rozmyślań. Magia zadziałała. Papieros mi smakował, jakbym palił najlepszy tytoń na świecie. Wydychanym z płuc dymem podpisywałem decyzję walki w moich Termopilach. Owszem, byłem wyczerpany, ale zmęczenie nie miało ze mną szans. Zmęczenie mnie nie zmoгло – to ja zmoгло zmęczenie. Przecież dopóki je czułem, dopóki kleiły mi się powieki, żyłem. Nie było już teraz istotne, jakie powody mnie tu przywiodły. Nie miałem przeszłości, na przyszłość też nie mogłem liczyć. Znalazłem się na końcu świata, w zupełnej pustce, z dala od wszystkiego. Dopalając papierosa, czułem się też sam sobie nieskończenie obcy.

Jeśli chodzi o obiektywną ocenę mojej sytuacji, nie mogłem się łudzić. Przed wszystkim nie wiedziałem nic konkretnego o potworach. Dlatego, zdaniem podręczników wojskowych, powinienem się nastawić na najgorsze. Czy będą atakować i w dzień, i w nocy? Zawsze? W zorganizowanym stadzie czy chaotycznie? Jak długo uda mi się stawić opór, samemu przeciw takiej chmarze, z moimi ograniczonymi środkami? Jasne, że niedługo. Owszem, Batisowi udało się przeżyć, ale on mógł liczyć na swoje doświadczenie, no i miał latarnię, naturalną fortecę. Im dokładniej przyglądałem się swojej chatce, tym nędzniejsze sprawiała wrażenie. Jeden tylko wniosek narzucał się z całą oczywistością – nie warto było pytać o los mojego poprzednika.

Tak czy inaczej, nie pozostawało mi nic innego, jak zająć się organizowaniem obrony. Batis miał pionową twierdzę, ja stworzę system poziomy – okopy. Przyszedł mi do głowy pomysł, żeby otoczyć dom rowem najeżonym drągami. Problem w tym, że miałem przeciw sobie czas i własne ograniczenia – jak człowiek samotny ma wykonać taki podkop? Poza tym trzeba pamiętać, że potwory były zręczne jak pantery, o czym już miałem okazję się przekonać, więc rów musiał być głęboki i szeroki. A ja byłem wyczerpany. Od kiedy tu przybyłem, nie zmrużyłem oka nawet na chwilę. Jeśli będę się zajmował tylko pracą i walką, nie będę miał kiedy wypocząć. Oto dylemat – czy lepiej dać się pokonać przez potwory, czy przez własne zmęczenie, fizyczne i psychiczne. Nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć, że efekt byłby ten sam. Zdecydowałem się maksymalnie uprościć pracę – poprzestać na razie na wydrążeniu dziur pod drzwiami i oknami. Miałem nadzieję, że wystarczy wykopać półkoliste otwory i umieścić w nich drągi ociosane nożem i ustawione na sztorc. Zacząłem ściągać drzewo z plaży. Zajęty tą czynnością, uświadomiłem sobie, że skoro potwory miały błonę między palcami, to musiały wynurzać się z oceanu. Taka prymitywna broń jak ogień powinna być skuteczna w walce z nimi, według teorii przeciwieństw. Bo skoro wszystkie zwierzęta czują instynktowny lęk przed ogniem, to co dopiero takie amfibie!

Wzmocniłem moją linię obrony, układając stosy z drewna i z książek. Papier spala się szybko, ale daje mocny ogień. Może uda mi się taka płomienna zasadzka. Żegnaj,

Chateaubriandzie! Żegnajcie, Goethe, Arystotelesie, Rilke i Stevensonie! Koniec z Marksem, Laforgiem i Saint-Simonem! Na stos, Miltonie, Wolterze, Rousseau, Gongoro i Cervantesie! Drodzy przyjaciele, z całym szacunkiem, ale musicie sami zrozumieć, że podziw podziwem, a konieczność koniecznością – nie jesteście niezbedni. Uśmiechnąłem się po raz pierwszy, odkąd zaczął się ten dramat, ponieważ kiedy układałem sterty książek, napełniałem ropą rowki pod ich grzbietami, zajęty tą operacją uświadomiłem sobie, że jedno życie ludzkie, właśnie moje, jest warte więcej niż dzieła wszystkich geniuszy ludzkości, filozofów i literatów, razem wziętych.

I na koniec drzwi. Jeśli przed wejściem do domu zrobię fosę najeżoną drągami, to przede wszystkim sam sobie odetnę drogę. Dlatego musiałem zacząć od przygotowania drewnianej platformy, która mogłaby pełnić funkcję zwodzonego mostu nad rowem. Ale to już był kres moich możliwości. Rozkopałem ziemię pod oknami, poznosiłem kije, zaostrzyłem je i zatknąłem jak piki. Trochę dalej przeprowadziłem drugą linię defensywną, linię ognia – piramidy książek i sterty drewna połączone lontem oblanym ropą. Słońce już zachodziło. Mógł mnie zawodzić rozum, ale nie atawistyczny instynkt. Czułem, że kiedy zapada noc, nastaje panowanie mięsożernych. Nie śpij, nie zasypiaj, powtarzałem na głos, musisz czuwać. Z braku wody przetarłem twarz zimnym dżinem. Nic się nie działo. Żeby się czymś zająć, opatrzyłem sobie wczorajsze oparzenia na dłoniach i szyję rozdrapaną przez mordercze szpony. Nie udało mi się dokończyć fosy pod drzwiami, ale to było najmniejsze zmartwienie. Ze skrzyń, w których był mój podróży dobytek, zrobiłem barykadę. Spożytkowałem doświadczenie z Irlandii, gdzie naszą twierdzą był każdy kamień ulicznego bruku. W tej chwili jednak zdecydowanie wolałbym się zmierzyć ze wszystkimi agentami Królestwa naraz niż z tutejszymi potworami.

Powiedziałem wcześniej, że list moich dowódców o mało nie pozbawił mnie życia. To był skrót myślowy. Chodziło o to, że przez ten list poniechałem otwarcia ostatnich dwóch skrzyń. Zająłem się tym dopiero teraz, żeby nie ulec pokusie odprężenia i nie opaść z sił. Jestem pewien, że nikt, nigdy i nigdzie, nie przeżył większej radości, otwierając drewniany kufer, niż ja w tym momencie. Podniosłem wieko, rozerwałem papier, a tam, w środku, owinięte dla ochrony słomą, leżały dwa karabiny marki Remington. Drugi kufer zawierał dwa tysiące nabojów. Padłem na kolana i zacząłem płakać jak dziecko. Może powinienem wyjaśnić w tym miejscu, że był to prezent od kapitana. Podczas podróży wymienialiśmy poglądy na temat wojska i ogólnie militarystyki, wiedział więc, jak nienawistne były dla mnie te sprawy. Ale to zło konieczne – replikował kapitan. A ja mu na to, że najgorszy jest infantylizm wojskowych – cały sens wojennych honorów polega na tym, że potem jest się czym chwalić. Wiele wieczorów poświęciliśmy na takie dyskusje i kapitan wiedział, że odmówiłbym, gdyby mi zaproponował broń palną. Dlatego dorzucił ją do mojego bagażu dyskretnie, w ostatniej chwili. Co tu dużo gadać – gdybym miał do dyspozycji pięćdziesięciu takich jak on, mógłbym stworzyć nowe państwo, ojczyznę bez granic, którą nazwałbym Nadzieja.

Zapadły ciemności, rozbłysło światło latarni. Przekląłem Batisa, Batisa Caffó. Jego imię na zawsze pozostanie symbolem podłości. Co z tego, że to wariat – dla mnie liczyło się tylko, że wiedząc o istnieniu potworów, wydał mnie na pastwę losu. Nienawidziłem go z pasją człowieka bezsilnego. Miałem jeszcze czas na wycięcie otworów strzelniczych, okrągłych dziur w okiennicach, przez które można było wystawić lufę. A nad nimi długich, wąskich wizjerów. Mogłem teraz obserwować otoczenie, nie otwierając okien. Ale nic się nie działo. Żadnego ruchu, żadnego podejrzanego szmeru. Z okna od strony

morza widziałem brzeg. Łagodne fale oceanu pieściły piasek plaży, bez cienia agresji. Ogarnęło mnie dziwne zniecierpliwienie. Jeśli mają przyjść, niechby już byli. Chciałem zobaczyć setki potworów atakujących dom. Widziałem w wyobraźni, jak do nich strzelam, zabijając jednego po drugim. Wszystko, tylko nie to rozpaczliwe oczekiwanie. Wypełniłem kieszenie płaszczem garściami amunicji. Jej ciężar uspokajał mnie i dodawał odwagi. Kule w miedzianym kolorze w lewej kieszeni, kule w prawej, kule w kieszeni na piersiach. Trzymałem kule w ustach. Zaciskałem ręce na karabinie z taką siłą, że żyły nabrzmiały mi jak błękitne postronki. Za pasem zaciśniętym na płaszczu miałem nóż i siekiere. Oczywiście nadeszli.

Najpierw pojawiły się w wodzie pojedyncze głowy i powoli zbliżyły do brzegu. Małe, ruchome boje, poruszające się jak płetwy rekina. Może było ich dziesięciu, może dwudziestu, nie wiem, głowy wynurzały się i znikaly. Wychodzili na plażę jak gady. Ich mokra skóra była niczym stal nabłyszczana oliwą. Pełzali jeszcze kilka metrów, a potem podnosili się na nogi – to były gady doskonale dwunożne. Zbliżali się z torsem pochylonym nieco do przodu, jakby musieli pokonywać opór silnego wiatru. Przypomniałem sobie szum deszczu z poprzedniej nocy. Ten kaczy sposób chodzenia zdradzał, że poruszają się w środowisku dla siebie obcym. Zostawiali za sobą ślady jak na miękkim śniegu, wciskając głęboko kamyki w piasek na plaży. Porozumiewali się jakimiś cichymi odgłosami. Na to czekałem. Na chwilę otworzyłem okno, żeby cisnąć płonące polano, od którego zajęły się oblane ropą książki i drewno, a potem zacząłem strzelać na oślep. Stworzenia rozpierchły się z dzikim krakaniem, skacząc we wszystkich kierunkach jak szarańcza z piekła rodem. Trudno było coś dostrzec w tym pandemonium. Za wysoką zasłoną płomieni poruszały się ciała, podrygując w obłędnym tańcu. Krzyczałem. Skakali to w górę, to w dół, skupiali się i pierzchali na wszystkie strony, podbiegali pod okna, cofali się. Ze wszystkich stron potwory, coraz więcej potworów. Tam, tu, tu, tam. Rzuciałem się od okna do okna. Wystawiałem lufę, oddawałem na oślep dwa, trzy, cztery strzały, ładowałem ponownie, wyklinając jak barbarzyńca Rzym, strzelałem i znów ładowałem, i tak całymi godzinami, a może tylko przez krótką chwilę, sam nie wiem.

Tymczasem słabł ogień stosu. Dotarło do mnie, że płomienie stanowiły osłonę raczej w sensie moralnym niż rzeczywistym. Ale jednak uciekli. Nie zdawałem sobie z tego sprawy i strzelałem dalej, aż do chwili, gdy łuska utknęła w zamku karabinu. Gorączkowo zacząłem manipulować dźwignią, ale to nic nie dało. Gdzie jest drugi remington? Poślizgnąłem się na rozrzuconych wokół pustych łuskach i upadłem. Rozsypały się kule, które miałem w kieszeniach. Chciałem je pozbierać, ale naboje zmieszały się z pustymi łuskami. Podczołgałem się do skrzyni z amunicją, wyciągnąłem garść kul, poczułem w dłoni ich chłód. To wszystko zajęło mi trochę czasu. Wtedy dotarło do mnie, że ucichły ryki potworów. Oddychałem pośpiesznie jak zbity pies. Wyjrzałem przez otwór w okiennicy. W niewielkim polu widzenia nic, żadnego wroga. Słysząc było tylko trzask coraz słabszych płomieni, przechodzących już z czerwieni w błękit. Latarnia z regularną częstotliwością przeczesywała teren. Co perfidnego teraz planowali? Nie dowierzałem im. Na zewnątrz ciągle jeszcze była głęboka noc.

Wtedy odległy huk detonacji wstrząsnął powietrzem. Co to było? Batís, to on strzelał. Zaatakowali latarnię. Wsłuchiwałem się w hałasy z zewnątrz. Wiatr przynosił z każdym powiewem odgłosy bitwy. Potwory wyły z wściekłością huraganu, tam, po drugiej stronie wyspy. Strzały Batisa były rzadkie, jakby długo mierzył do upatrzonego celu. Po każdym z nich nieludzkie lamenty były coraz głośniejsze. Niewielka liczba

oddanych strzałów świadczyła o spokoju Batisa, spokoju pogromcy lwów, jakże odmiennego od mojej desperacji tonącego. Dochodził do mnie jego śmiech. A może tylko mi się zdawało. Potem powiew lodowatego wiatru wyciszył odgłosy walki. Wiatr pochylał korony najbliższych drzew. Słysząc było szum liści i poruszanych gałęzi, nic więcej. Byłem coraz bardziej zdezorientowany. Wydawać by się mogło, że to już koniec, ale nie mogłem zmniejszyć czujności. Kto mi zagwarantuje, że nie wrócą pod mój dom? Nie wrócili.

* * *

O świcie światło zaczęło się sączyć jak przez gazę obsypaną mącznym pyłem. Pomimo maści i bandaży zaogniły mi się na dłoniach rany od oparzenia. Pewnie dlatego, że przez tyle godzin uporczywie ścisnąłem karabin. Mój oddech śmierdzący zatęchłym tytoniem, w ustach czułem smak żółci i palonego cukru i ogólnie byłem w stanie godnym pożałowania. Nogi jak z waty. Napięte mięśnie szyi. W oczach mroczki – jakby nieustannie spadające żółte iskry. Mógłbym się nad sobą uzalać, ale potwory przecież tylko na to czekały. Dogasał stos drewna i książek. Zabrałem się do kopania stopni przed drzwiami, ale wkrótce pracę przerwała mi nieoczekiwana poranna wizyta.

Batís wyglądał jak prawdziwy syberyjski myśliwy, potężny i posępny. Miał filcową czapkę z nausznikami i palto zszyte grubą dratwą, zapinane na sprzączki. Piersi opasał na krzyż rzemieniami, na których przewieszona była strzelba i coś w rodzaju harpuna. Zbliżał się powoli, pewny siebie, słoniowaty i ociążały. Skłamałbym, gdybym powiedział, że ucieszyłem się na jego widok. Siedziałem w rowie, który zasłaniał mnie do połowy. Przystałem kopać.

– Niezłe sztuki, co? No, te żabole – zagadnął tonem, który miał być życzliwy, i dodał beznamiętnie: – Myślałem, że już po panu.

Nie zareagowałem agresją; powstrzymałem się. Ten człowiek był mi potrzebny. Złość tylko by utrudniła pertraktacje.

– Proszę, to dla pana – postawił wiadro z workiem fasoli. – Może pan również korzystać z mojego źródła.

Mówił to tonem, jaki zazwyczaj rezerwuje się dla umierających, którym nie żałuje się niczego poza prawdą.

– Jest mi potrzebna latarnia, a nie woda i fasola – odpowiedziałem, nie wychodząc z rowu. – Przecież pan wie, Batís, że bez latarni już jestem trupem.

– Tej nocy będzie padać – powiedział, patrząc w niebo. – To ich przepłoszy.

– Niechże pan będzie rozsądny – próbowałem perswadować. – Przecież to nie ma sensu, żebyśmy walczyli w pojedynkę. Osaczeni przez rabusiów, ludzie powinni trzymać się razem.

– Może pan brać tyle wody, ile zechce, nie będę panu żałował. I fasolę. Mam też kawę. Chce pan kawy? Kawa będzie panu potrzebna.

– Dlaczego mnie pan zbywa? Powinien pan docenić moje intencje i nie potępiać mnie za samą obecność.

– Pańska obecność świadczy o pańskich intencjach. Pan tego nie rozumie i zrozumieć nie może.

– Problem w tym – zaprotestowałem – że my nie rozumiemy się nawzajem.

– Problem w tym – odpowiedział – że ja jestem silniejszy.

Nie wierzyłem własnym uszom. Nie mogłem tego dłużej znieść:

– Zabić czy doprowadzić do zabójstwa, na jedno wychodzi! – krzyknąłem. – Pan jest mordercą – skonstatowałem – mordercą! Wszystkie sądy świata wydałyby wyrok skazujący. Uczynkiem czy zaniedbaniem wrzuci pan do fosy pełnej lwów. Zabarykadowany w latarni, ogląda pan sobie igrzyska jak patrycjusz w Koloseum. Jest pan z siebie zadowolony? – przestałem się już kontrolować.

Przyklęknął obok mnie, tak że nasze głowy znalazły się na jednakowej wysokości. Splótł ręce i odchrząknął, jak gdyby nigdy nic.

– W latarni nie zmieści się nikt więcej. Taka jest prawda. Nie musi pan tego rozumieć, tylko to przyjąć do wiadomości – przerwał na chwilę, nie śmiejąc spojrzeć na mnie tymi swoimi mongolskimi oczkami. I dodał: – Wczoraj słyszałem strzały. Zastanawiam się, czy nasza broń jest tego samego kalibru...

Nie dokończył zdania, pozwalając, abym reszty domyślił się sam. Na pewno od dłuższego czasu bronił się na wyspie i wyczerpał już swoje zapasy amunicji. To był szczyt podłości. Z jednej strony lekceważył moje życie, z drugiej prosił mnie o broń, żeby chronić swoje. W zamian za marny worek fasoli. Rzuciłem mu w twarz łopatę ziemi.

– A masz! Pasuje ci ten kaliber? Ty zbrodniarzu!

Wydostałem się z rowu. Jednym kopniakiem posłałem do diabła wiadro i fasolę. To go zbiło z tropu skuteczniej niż moje argumenty.

– Nie jestem za przemocą! Ja panu źle nie życzę, naprawdę – oświadczył, ale jednocześnie ściągnął harpun z pleców. Nie groził mi, tylko trzymał go obiema rękami, tworząc barierę pomiędzy mną a sobą.

– Precz, precz stąd! – krzyknąłem, żeby go odpędzić, i wyciągnąłem rękę, jak ktoś, kto wskazuje drzwi biedakom, którzy przypadkiem przybłąkali się do restauracji. Ale nie odchodził. Zajął pozycję obronną, nie ruszając się z miejsca. – Precz stąd, ty gnido, precz! – wyzywałem go, podchodząc coraz bliżej. Batís cofał się powoli, cały czas przodem do mnie. Dla niego nie byłem człowiekiem. Byłem nikim, liczyłem się tylko jako przeszkoda na drodze do amunicji. Zrozumiał, że niczego nie wskóra. Odwrócił się i poszedł sobie, doskonale obojętny. – Kiedyś mi pan za to zapłaci, nie puszcze tego płazem, Caffó! – odgrażałem się, póki nie zniknął w lesie. Nawet się nie obejrzał.

Teraz byłem pewien, że atakowali tylko nocą. Owszem, Batís przyszedł do mnie uzbrojony, ale raczej przeciwko mnie niż przeciw potworom. Nie przechadzały się jak gdyby nigdy nic po wyspie, jeśli istniałoby niebezpieczeństwo. Niestety, do takich wniosków dochodziłem z pewnym opóźnieniem. Wtedy bałem się, że mój pierwszy odpoczynek będzie snem, z którego już się nie obudzę. Kto mi mógł zagwarantować, że dożyję wieczoru? Kto mógł mnie zapewnić, że ulegając zmęczeniu, nie stracę zupełnie kontaktu z rzeczywistością? Bałem się potworów i obawiałem się utraty kontroli nad samym sobą. Mimo to parę razy w ciągu dnia zrobiło mi się słabo. Nie żebym spał. Raczej byłem zamoczony, jak w stanie narkotycznym. Bliższe to było delirium tremens niż snu. Płatały mi się w głowie, dosłownie na granicy świadomości, jakieś wizje, wspomnienia, miraży i zwidy pozbawione sensu. Zobaczyłem obrazek z portu w Amsterdamie, a może w Dublinie – sam nie wiem. Na wodzie unosiły się plamy smoły i wydawały głuchy dźwięk, zderzając się ze stertami drewna. Potem zobaczyłem swój dom na wyspie. Antropomorficzny diabeł leżał na mojej pryczy – wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć. Chwilami otrząsałem się z tego stanu, może się wtedy budziłem. Nie chcę umierać, ja nie chcę umierać! Co ze mną będzie, co oni ze mną zrobią?

Trzecia bezsenna noc. Ile człowiek może wytrzymać bez snu? Tak jak przewidział Batis, lało jak z cebra. Błyskawice i grzmoty rozlewały się ponad niską warstwą chmur białą poświatą szybko zdmuchniętej zapałki. Huk piorunów sprawiał wrażenie tłuczenia młotkiem tysiąca talerzy naraz. Przez otwory w okiennicach widziałem spienioną powierzchnię morza. Na nocnym horyzoncie rozgrywała się morska bitwa z piorunami w roli krążowników. Błyskawice co rusz rozrywały zasłonę nieba. Spadały pionowo, po szerokiej i koślawej trajektorii.

Potem deszcz rozpadał się na dobre i odgrodził mnie od świata gęstą zasłoną. Widoczność na zewnątrz z metrów zredukowana została do centymetrów. Woda odbijała się od łupkowych dachówek, płynęła do rynny i spadała szumiącymi kataraktami. Tym razem nie zauważyłem, kiedy przyszli. Nagle zaczęły bębnić do drzwi tuziny rozsierdzonych pięści. Pod ich naporem w jednej chwili zawalił się stos skrzyń ustawionych pod progiem, a za nimi ja – upadłem na kolana, jakby ktoś rzucił na mnie zły czar, gotów załamać się i poddać. Ten wstrząs nadwerężył nie tylko barykadę, ale i moją wolę walki.

Ustępujące drzwi uosabiały w tym momencie całą grozę świata. Nie mogłem się poddać, nie mogłem zwariować. Nie rezygnowałem. Nie wpadłem w apatię i nie byłem gotów z pokorą przyjąć swego losu. Nie słyszałem ich głosu. Docierało do mnie tylko bębnienie deszczu i uderzenia pięści przepychających się potworów. Zaczęłem szlochać. Łzy spływały mi po policzkach. Gryzłem własną pięść ze świadomością bezradności, wiedząc, że żadna opatrność nigdy mnie z tej wyspy nie wyciągnie. Drzwi ustępowały. Drżały jak laurowy listek we wrzącym rosole, grożąc lada chwila wypadnięciem z futryny. Sparaliżowany, wpatrywałem się w nie jak w hipnozie, nie mogąc ani na chwilę oderwać wzroku. I dokładnie w tej ostatecznej chwili wydarzył się cud – cud albo odwrotność cudu.

Już niepotrzebne mi było wybawienie, już było na nie za późno. Lada moment zostanie ze mnie marne ścierwo. Cud polegał na tym, że przestało mi zależeć. Faktycznie, mogłem się już uznać za martwego. A skoro byłem martwy, to niepotrzebnie leżałem w kącie w śmiesznej pozycji embriona. Byłem martwy, ale już nie drżałem. Byłem martwy, ale przed ostatecznym zejściem miałem poznać dno otchłani. Czym innym stały się te drzwi jak nie czystą esencją grozy? Czułem się tak osłabiony, że musiałem się czołgać, żeby wypełnić swoją ostatnią wolę – dotknąć ich własną ręką. Tak jakby ten dotyk mógł mi zdradzić wiedzę absolutną, rozproszoną wszędzie, ale dostępną tylko tym, którzy przekroczyli próg pałacu światła. W odległości paru centymetrów od drewnianej pierzei moja dłoń zatrzymała się, jakby napotkała opór szklanej ściany. Dokładnie w tym samym momencie jednemu z potworów udało się siłą pięści rozwalić szczelinę w drzwiach, przez którą mogłem wyrzeć na zewnątrz. Przez wyłom przedostała się ręka, przecesała przestrzeń wokół, wyginając się jak ogon skorpiona, i złapała mnie za nadgarstek.

– Nie!

W mgnieniu oka przeszedłem od najwyższych abstrakcji ducha do najniższego zwierzęcego prymitywizmu. Nie, ja nie chciałem umierać. Wbiłem w rękę tamtego cały garnitur zębów, przednie, trzonowe i kły, aż strzaskałem drobne kości jego dłoni i odgryzłem błonę między kciukiem a palcem wskazującym. Właściciel ręki wydał przenikliwy krzyk bólu, który zdawał się nie mieć końca, ale mojej dłoni nie wypuszczał.

Z całych sił pociągnąłem do tyłu, zapierając się stopami, i tak się wyzwoliłem z uchwytu. Z rozmachu uderzyłem głową o podłogę. Twarz i tors miałem mokre od błękitnej krwi; ściekała mi po brodzie, spływała po łokciach. Kręciłem się wokół jak pijana mała i nie byłem zdolny się podnieść. Później, o wiele później, zrozumiałem, że to ja wydałem ten mrozący krew w żyłach ryk bólu, mimo zaciśniętych szczęk. Przypadkiem moja ręka natrafiła na karabin. Załadowałem go na oślep, nie zastanawiając się nad tym, co robię. Strzałami wrywałem w drzwiach dziury. Wszędzie fruwały płonące drzazgi. Tamci skamlali jak zbłąkana sfera psów. Z drzwi zostało sito. Nadal strzelałem, choć ich już nie było. Burza też przeszła. O świcie deszcz już tylko mżył bez przekonania. Dopóki się nie przejaśniło, nie zdawałem sobie sprawy, że mam odrętwiałe policzki i pełne usta. Wyplułem pół palca i błonę wielkości brazylijskiego motyla.

Ostatnia błyskawica rozjaśniła mi w głowie. Miałem przeciwko sobie tysiące anonimowych potworów. Ale w rzeczywistości oni nie byli moimi wrogami, tak samo jak trzęsienie ziemi nie jest wrogiem budynków. Ono jest, po prostu jest, i tyle.

Mój wróg miał imię. Nazywał się Batís, Batís Caffó. Latarnia, latarnia, latarnia.

Nie byłem dobrym strzelcem. Mimo mojej konspiracyjnej przeszłości nigdy wcześniej – o ironio losu – nie miałem okazji strzelać. Jak pomyślę o tych setkach karabinów, które ukrywałem i rozprowadzałem, które przeszły przez moje ręce... ale ja naprawdę miałem do czynienia z bronią tylko w ten sposób. W każdym razie teraz zdecydowałem się potrenować, licząc, że pod presją okoliczności szybciej się nauczę. Mój remington miał regulację zasięgu. Z odległości pięćdziesięciu, siedemdziesięciu pięciu i stu metrów starałem się trafić do pustych puszek po szpinaku. I tu pojawił się problem. Dlaczego nic mi nie wychodziło, pomimo usilnych prób ponawianych przez cały ranek? Oprócz osłabienia fizycznego odczuwałem spadek formy psychicznej. Moje zmysły eksploatowane do granic możliwości ulegały erozji. Mierzyłem do celu, mrużyłem oko i... widziałem podwójnie. Cały system nerwowy degenerował się w zastraszającym tempie. Poza ciągłym, śmiertelnym zagrożeniem poddany byłem najstarszej torturze świata – brakowi snu. Zegar biologiczny nie popsuł się – on po prostu przestał działać. Musiałem rozkazywać memu ciału jak pułkownik żołnierzom. Jedz. Pij. Ruszaj się. Sikaj. Nie śpij!

Tak, to była potrzeba snu i lęk przed snem jednocześnie. Znalazłem się w tych rejonach ducha, gdzie bezsenność graniczy z lunatyzmem. Czasem sobie nakazywałem: zrób to, zrób tamto. Załaduj broń, zapal papierosa. Naboje nie wchodziły, bo ładownica była pełna, ale nie pamiętałem, kiedy ją wypełniłem. Wkładając papierosa do ust, stwierdzałem, że przecież jeszcze palę poprzedniego.

Ale teraz miałem misję. Dotychczas miałem za zadanie przetrwać, i tylko tyle, bez żadnych aspiracji. Teraz po raz pierwszy zdobyłem się na inicjatywę. Podjąłem decyzję. Wyruszyłem do lasu jak partyzant, wybrawszy ciemny strój i – na ile pozwalały zapasy mojej garderoby – kolory ułatwiające kamuflaż w zieleni. Włożyłem skórzane rękawice dla ochrony przed chłodem, tłumiące też ból poparzonych dłoni. Zająłem pozycję w odległości około osiemdziesięciu metrów od latarni. Każdy snajper uznałby to miejsce za wymarzone. Za mną roślinność była wystarczająco gęsta, by leśne prześwity nie zdradziły mojej obecności; przede mną rysowała się jeszcze jedna linia drzew, znakomita osłona, która mi jednak nie utrudniała obserwowania drzwi i balkonu. Wspiąłem się na drzewo, wybierając solidną gałąź rosnącą na sporej wysokości. Oparłem broń na konarze. Wymierzyłem w drzwi. Jeśli tamtędy wyjdzie, już jest trupem. Ale nie dał żadnych znaków życia, nie pokazał się przez cały dzień, a ja o zmierzchu musiałem się wycofać z obawy przed potworami.

Na szczęście noc była stosunkowo spokojna, jeśli w ogóle to słowo jest tu na miejscu. Nie zaatakowali domu. Sądząc po odgłosach, chyba kilku z nich kręciło się koło latarni. Batís też oddał parę strzałów, i na tym koniec. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Może ich rzeczywiście nieźle nastraszyłem. Strzelanie przez zamknięte drzwi musiało im trochę dopieć. Może woleli tym razem próbować szczęścia w latarni, gdzie Batís z oszczędności strzelał mniej niż ja? A może po prostu tej nocy nie chciało im się, i już. Kto to może wiedzieć? W ich zachowaniu nie można było się dopatrzeć śladu logiki, a tym bardziej wojskowej taktyki obłąnniczej. W końcu pozwoliłem sobie nawet na luksus zamknięcia oczu, coś w rodzaju odpoczynku, w sumie marnego, ale dla mnie i tak cennego. O pierwszym brzasku znów zająłem pozycję na drzewie.

Tym razem nie musiałem na niego długo czekać. Moje obleżenie twierdzy trwało zaledwie pół godziny, a już pokazał się na balkonie. Wszedł półnagi, wyprężając tors zawodowego boksera w stanie spoczynku. Szeroko rozstawionymi rękami oparł się na zardzewiałej poręczy i trwał tak nieruchomy, z zamkniętymi oczami, wyciągając brodę i całą twarzą chłonąc apatyczne promienie słońca. Wyglądał jak eksponat z muzeum figur woskowych. Był znakomitą celem. Oparłem kolbę na ramieniu, przymknąłem lewe oko. Na przedłużeniu lufy była jego klatka piersiowa. W tym momencie zawahałem się. A gdybym chybił? Gdybym go zranił, ciężko albo nawet niegroźnie? Jeśli uda mu się schronić wewnątrz, wszystko stracone. Nawet gdyby zmarł po długiej agonii, zdążyłby zabarykadować balkon. Za pomocą haka i sznura mógłbym się tam wspiąć, ale nie udałooby mi się wyłamać żelaznych zabezpieczeń, metalowych okiennic, które chroniły balkonowe okna. Racjonalizowałem motywy, dodając zaraz, że nie, że to nie o to chodzi, wiesz dobrze, że to nie to.

Po prostu nie mogłem go zabić. Nie byłem mordercą, nawet jeśli okoliczności mnie do tego zmuszały. Strzelić do człowieka to coś więcej niż mierzyć do ruchomego celu; to zabić cały przeżyty przez niego czas. Miałem Batisa Caffó na muszce i wyobrażałem sobie jego koleje losu. Czas poprzedzający pobyt w latarni. Wyobrażałem sobie Batisa w dzieciństwie, zadziwionego światem, wszystko, co mogło się wydarzyć przed podróżą do tego miejsca – jego skromne osiągnięcia w młodości, także rozczarowania i niepowodzenia. Ile ciosów zadały mu ręce, których misją było świadczyć mu miłość? Teraz, kiedy został sprowadzony do roli celu, bezbronny, ukazywał mi się jako ktoś, kogo łatwo skrzywdzić. Dlaczego zamieszkał w latarni? Czy był okrutnikiem, czy narzędziem okrucieństwa? To tylko półnagi człowiek, który się wystawił na dobroczynne działanie słońca. Nie miał na sobie munduru, który by zasługiwał na kulę.

O ile odebranie komukolwiek życia już wydaje się przykrym zadaniem, tym bardziej haniebne było w moim pojęciu, sam nie wiem czemu, zabicie kogoś, kto cieszy się słońcem.

Zdegustowany sobą, zlazłem z drzewa. Wracałem do domu i za karę sam siebie biłem pięściami po głowie. Idiota, co za idiota, co z ciebie za idiota. Potworom przecież wszystko jedno, czy mają pożreć świętego, czy dewianta – i jeden, i drugi to tylko mięso. Jesteś na wyspie, na wyspie wszelkich nikczemności. Tu nie ma czegoś takiego jak miłość bliźniego czy filozofia, poezja czy wielkoduszność – tu jest tylko Batis Caffó. Przy drodze do domu było źródło. Zatrzymałem się przy nim. Od kiedy zszedłem na ląd, piłem tylko dzin. Pochyliłem twarz nad pełnym wiadrzem, które Batis tam zostawił. Zanim się z niego napiłem, najpierw przyjrzałem się sobie dokładnie.

Trudno mi było rozpoznać się w tym odbiciu. Cztery bezsenne doby dokonały dzieła zniszczenia. Puściła mi się broda, byłem blady jak trup. Oczy nie należały do mnie; to były oczy jakiegoś nieuleczalnego wariata. Siatka czerwonych żyłek otaczała niebieskie tęczówki, sińce pod oczami sięgały powiek. Wargi były spierzchnięte z zimna i strachu. Przez gruby jak szalik opatrunek na szyi sączyła się ropa i krew, tworząc strupy i wilgotne plamy. Ciało nie potrafiło się już regenerować. Paznokcie połamane. Na włosach warstwa czegoś dziwnego, jakby smoły. Podniosłem kosmyk nad skronią i ze zdziwieniem skonstatowałem zmianę koloru na siwy, prawie biały. Zanurzyłem głowę w wiadrze i zacząłem się taplać jak mucha w kałuży. Ale to mi nie wystarczyło. Brud wrósł w moje ciało, jakbym z nim razem został stworzony. Zdjąłem karabin, odłożyłem amunicję i nóż i zacząłem się rozbierać. Zrzucałem z siebie kolejno płaszcz, wełniane swetry, podkoszulki,

buty, skarpety i spodnie, jakby wszystkie części chroniącego mnie ubrania były zakażone jakąś chorobą. Potem wdrapałem się na skałę, z której wypływał strumyk.

Na górze woda deszczowa utworzyła coś w rodzaju sadzawki, sięgającej mi do kolan. Zanurzyłem się w niej. Chłód mnie cudownie orzeźwił. Doceniłem to, ponieważ na zimnie znów ocknęły się moje zmysły, odzyskiwałem siły i przytomność umysłu. Tak, źródło mogło być niezłą zasadzką. Wcześniej czy później musi tu przyjść po wodę. Wtedy wezmę go z zaskoczenia, bezbronny, grożąc mu bronią, ale nie będę musiał go zabijać. Przykuję go łańcuchem wewnątrz latarni. A kiedy na horyzoncie pojawi się pierwszy okręt, puszczę z latarni komunikat morsem. Czy postawią Batisa przed sądem, czy go zamkną w domu wariatów, to było bez znaczenia.

Przez chmury prześwitywało światło – rzadkie, rachityczne promienie. Niebo grało na moją cześć świetlisty koncert. Brzegi sadzawki pokryte były miękkim mchem, przyjemnym w dotyku. Nie chciało mi się wychodzić. Oswoiłem się z temperaturą. Leżałem w wodzie, wpatrzony w firmament. Od kiedy zszedłem na ląd, była to pierwsza godzina, jaką poświęciłem sobie.

Pograżony w błogostanie, usłyszałem, jak się zbliża. Ukryłem się w wodzie, tylko mi głowa wystawała. Z tego miejsca nie mogłem niczego dostrzec, ale nie trzeba było mieć bujnej wyobraźni, żeby wydedukować, że Batis wybrał ten właśnie moment na wyprawę do źródła. Musiał nieść wiadra, bo dochodził szczepek blachy. Przekląłem swój los. Co miałem robić? Lada moment natknie się na moje ubranie i, co gorsza, odkryje karabin. Nie wiadomo, jak zareaguje. Być może nie przyciągnie to jego uwagi, ale wariaci mają wyczulone zmysły – co będzie, jeśli odgadnie moje zamiary? A ja byłem bezbronny. Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę jak błyskawica. W rzeczywistości nie miałem wielkiego wyboru. Jeśli jakimś cudem Batis odejdzie, nie zwróciwszy uwagi na moje ubranie, okazja ponownego spotkania może się szybko nie powtórzyć. W tym czasie potwory będą miały wiele okazji, żeby mnie załatwić. Zamieniłem się w słuch. Już jest przy kranie, już podstawia drugie wiadro. Zatrzymał się. Zauważył moje ubranie. Uświadomił sobie moją obecność. Jeden skok pantery i oba ciała przewróciły się na ziemię, on pode mną, pod moimi stopami. Podnoszę pięść, ale nie opuszczam jej na przeciwnika. To nie Batis. To potwór.

Odkoczyłem do tyłu, oddalając się na bezpieczną odległość, przestraszony i zaskoczony. Przecież potwory były morderczymi automatami. A ja powaliłem na ziemię istotę kruchą i delikatną, lekką jak piórko. Wiadra toczyły się po ziemi ze szczepek blachy. Ostrożnie przyjrzałem się potworowi, zachowując dystans, jak kot, któremu ciekawość nie pozwala uciekać.

Nie podniósł się z miejsca upadku. Kwilił żałośnie jak ranny ptak. Poczulem silny zapach ryby. Przysunąłem się bliżej i z ciekawości odsłoniłem jego twarz, którą lękliwie osłaniał rękami. Tak, to był jeden z potworów, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Ale delikatność rysów w cudowny sposób łagodziła wygląd. Miał okrągłą twarz i gładką czaszkę. Wyszukana linia brwi tworzyła rysunek wystudiowany jak sumeryjska kaligrafia. I niebieskie oczy, mój Boże, co za oczy, jaki błękit. Błękit afrykańskiego nieba, nie, jeszcze jaśniejszy, jeszcze czystszy, bardziej intensywny, doskonalszy, lśniący. Delikatny nos, wąski, dyskretny, wgłębiony poniżej skrzydełek. Mikroskopijne w porównaniu z naszymi uszy miały kształt rybiego ogona – każde z nich dzieliło się na cztery maleńkie kręgi. Kości policzkowe płaskie. Długa szyja. Całe ciało pokryte szarobiałą skórą o zielonkawym odcieniu. Dotknąłem jej czubkami palców,

nieufnie. W dotyku była trupio zimna i śliska jak skóra węża. Przyjrzałem się rękom. Nie były takie jak u innych potworów. Różniły się długością błony, ledwie zaznaczonej, nie sięgającej nawet pierwszej kostki. Paniczny krzyk potwora wyzwolił we mnie agresję. Biłem na oślep; nie pytajcie o powody. Potwór krzyczał i jęczał. Miał na sobie rozciągnięty sweter, długi jak sukienka. Złapałem go za kostkę. Podniosłem całe ciało do góry, jak się podnosi niemowlaka, żeby go lepiej obejrzeć. Tak, to była samica. Nie miała owłosienia, które by zakrywało jej pleć. Desperacko machała kończynami. Chwyciłem remingtona i zacząłem ją okładać kolbą, aż po którymś z wyjątkowo perfidnych ciosów w pachwinę zaczęła się kulić, zwinięta jak robak. Osłaniała się, jak mogła, drżącymi ramionami i jęczała, przyciskając policzki do ziemi.

Sweter i wiadra pozwalały się domyślać, że Batís miał coś wspólnego z tą gadziną. Trudno było orzec, skąd ją wziął i co dla niego znaczyła. Faktem jest, że ją wytresował, jak tresuje się bernardyny. Nauczył ją na przykład nosić wiadra. Zadał też sobie trud, by ją ubrać. Tego swetra nie wzięliby nawet tureccy żebracy, taki był brudny i dziurawy. Zestawienie tej szmaty i ciała zrodzonego pod powierzchnią oceanu dawało efekt jeszcze bardziej groteskowy niż w przypadku piesków angielskich dam, ubranych w pierwszorzędną wełnę. Ale jeśli Caffó zdołał ją oswoić, to pewnie był do niej przywiązany. Żeby się przekonać, jak bardzo, wystarczyło zabrać samicę jako zakładnika. Jeśli ma dla niego jakieś znaczenie, przyjdzie po nią. Zmusiłem ją, żeby wstała, ciągnąc za łokieć. Zamiast zawiązywać jej oczy, włożyłem jej wiadro na głowę. Drżała na całym ciele. Wiadra połączone były ze sobą sznurkiem, który mi się teraz przydał, żeby związać jej ręce. Nie starałem się ukryć śladów walki. Zależało mi na tym, żeby zwabić Batisa, chciałem go zaintrygować. Jeszcze jedno pchnięcie kolbą i ruszyliśmy do domu.

Postawiłem ją na taborecie, zdjąłem jej wiadro z głowy i przez dłuższą chwilę przyglądałem się, siedząc naprzeciwko. Błękitna krew zastygła w kącikach ust, serce biło gwałtownie, jak u spłoszonego królika. Oddychała płytko. Miała nieprzytomny wzrok. Przesunąłem jej przed oczami palec gestem hipnotyzera – odruchowo powiodła za nim spojrzeniem. Posikała się, stojąc na taborecie. Wyjrzałem przez okno wychodzące na las.

Batís nie nadchodził. Wściekłem się. Jednym ciosem powaliłem ją na ziemię. Tym razem nawet nie pisnęła. Skurczyła się i wcisnęła w kąt, zasłaniając głowę związanymi rękami.

Minęło południe. Światło było coraz słabsze. Ani śladu Batisa. Oczywiście nie miałem najmniejszego zamiaru zatrzymywać jej tutaj. Jeśli w zwykłych okolicznościach potwory były straszne, to do czego mogły być zdolne, wyczuwając jej obecność? Miała delikatną skórę delfina, napiętą jak struna skrzypiec. Wydawała się młoda i płodna. Przyroda ma tysiące pomysłów, jeśli chodzi o mechanizmy reprodukcji. Do porozumiewania się ze swoim gatunkiem mogła używać chemii, czego ja ludzkim okiem nie mógłbym zauważyć w żaden sposób. Już byłem zdecydowany pozbyć się jej jednym strzałem.

Ale kiedy słońce znalazło się na zachodzie, wstrząsnął oknem huk strzału.

– Ty szcurzy bękarcie! – ryknął głos dochodzący z ukrycia. – Ze mną chcesz walczyć?! Mało ci żaboli?!

– A pan co, Caffó! – krzyknąłem w przestrzeń. – Woli pan zmarnować na mnie resztę swojej amunicji?

– Złodziej! *Sie beschissenes arschloch!*

Kolejny strzał. Tym razem pocisk wbił się w ramę okna, opryskując mnie deszczem wiórów. Wystawiłem gadzinę przed sobą w oknie.

– Niech pan teraz strzela, Caffó! Może ją pan trafi!

– Proszę ją zostawić w spokoju!

Wykręciłem zabolce rękę. Zaskowyczała z bólu. Odpowiedzią był krzyk oburzenia dochodzący z leśnego ukrycia. Dokładnie o to mi chodziło. Roześmiałem się.

– Co pan, Caffó? Coś się panu nie podoba? To proszę posłuchać!

Całą siłą obutej nogi nadepnałem na jej bosą stopę, tak żeby zabolęło. Wycie rozniosło się po całym lesie.

– Dość! Niech jej pan nie zabija! Czego pan chce? Czego pan ode mnie chce?

– Chcę porozmawiać. Twarzą w twarz!

– Proszę wyjść, to sobie porozmawiamy!

Jego odpowiedź była szybka, brutalnie szczera i nieprzemysłana.

– Czy pan zwariował? Uważa mnie pan za idiotę? To pan ma wyjść, i to natychmiast!

Nie odpowiedział. Najbardziej obawiałem się, że Batis po prostu zrezygnuje i pójdzie sobie. Nie było dla mnie oczywiste, czy będzie się upierać. W imię czego? W Irlandii wielu wieśniaków zdolnych było zabić własnego sąsiada w obronie krowy, ale żaden nie ryzykowałby życia dla wilczycy! Zdobyłem zakładniczkę, której wartość trudno mi było dokładnie oszacować.

Dostrzegłem coś jakby poruszenie gałęzi.

– Caffó, niech pan wyjdzie natychmiast.

Rozmawiając z nim, odsunąłem zakładniczkę od okna. Zobaczyłem w jednej chwili podwójną lufę jego strzelby i żółty błysk strzału. Pociski Batisa miały duże pole rażenia, jak śrut. Chybił o włos. Górna framuga poszła w drzazgi, wyrwana z okna. Jeden z odprysków wbił mi się w brew. Rana nie była poważna, ale wyzwoliła we mnie tytaniczną furję. Powaliłem bestię na ziemię i zrobiłem sobie z niej wycieraczkę, przytrzymując ją butem. Mając wolne ręce, chwyciłem karabin, z którego zamierzałem posiekać na drobno wszystkie zarośla. Ustawiłem celownik na wysokości klatki piersiowej, obejmując linią ognia całą perspektywę. Mógł być gdziekolwiek, ale w ten sposób zmuszałem go, żeby się pochylił. Krzyknąłem coś do niego, ale mi nie odpowiedział. Jaki miał cel? Oblężenie? Do niego należała inicjatywa, ja byłem oblegany. Oddychałem głośno, jak w gorączce, i rzucałem się od okna do okna – co innego mi pozostawało? Jeśli Batisowi uda się podejść do ściany, może być niebezpiecznie. Dostrzegłem go przez okno – okrążał dom od strony plaży, chciał mnie zaatakować od tyłu. Strzeliłem, ale osłaniała go wydma na wybrzeżu.

– Zabiję! – odgrażał się, przycupnięty za wydumą. – Na świętego Krzysztofa, zabiję!

Z taktycznego punktu widzenia jego groźby nie miały wartości – był na straconej pozycji. Dopóki leżał na piasku, nie mogłem go namierzyć. Ale prędzej czy później będzie musiał się stamtąd ruszyć, albo w prawo, albo w lewo, stając się dla mnie łatwym celem. Jeśli tam zostanie, tym gorzej dla niego – nocą potwory ucieszyłyby się, znajdując na plaży jego rozciągnięte ciało.

– Musi pan się poddać! – zawołałem. – Albo się pan poddaje, albo zabiję was oboje!

Lekceważąc ryzyko, Batis zdecydował się o wiele szybciej, niż przypuszczałem, i wyskoczył z lewej strony. Biegł pochylony i krzyczał piskliwym, prawie kobiecym głosem. Zdążyłem strzelić tylko dwa razy. Strzały poszły w morze, on tymczasem znalazł się za bezpieczną zasłoną drzew.

Skończyła się wymiana ognia. Czyżby wrócił do latarni? Może chciał, bym tak przypuszczał. Mógł zrobić cokolwiek, ale nie podejrzewałem go o nadmiar cierpliwości. Założyłem zakładnicze sznur na szyję. Drugi jego koniec przywiązałem do nogi łóżka. Następnie otworzyłem drzwi i jednym ruchem wypchnąłem ją na zewnątrz. Byłem pewien, że Batisa poruszy ten widok, może nawet zrobi jakiś nieostrożny krok. Żabotka przez chwilę rozglądała się niepewnie, po czym pobiegła przed siebie parę metrów, uradowana swoją wolnością, aż napięta przez nią samą lina ścięła ją z nóg. Idiotka.

W ciągu kolejnych kilku minut nic się nie działo. Podglądałem przez okno i widziałem tylko uwiązane stworzenie leżące na ziemi, całkiem opadłe z sił. Czasami poruszała się jak pies na uwięzi, który chce wrócić do pana. Dawała za wygraną i znów ponawiała próby po chwili odpoczynku. Nagle dobrze wymierzony strzał przeciął linę. Co za oko! To, co się potem działo, można wyjaśnić tylko zbiorowym obłędem – zamiast strzelać do siebie, rzuciliśmy się obaj w pogoń za zakładniczką. Ja opuściłem dom, on wyłonił się ze swojej kryjówki w lesie. Ale był dalej niż ja. Jedną ręką złapałem oszołomioną istotę za szyję, w drugiej trzymałem karabin. Moje ramię było jednak za słabe, żeby strzelać z karabinu jak z pistoletu, dlatego chybiłem. Batis otrząsnął się całym ciałem, kosmaty, z włosami rozwianymi na wietrze i nieodłącznym harpunem na plecach. Nie mógł do mnie strzelać, nie chcąc zranić tej, którą chciał odbić.

– Niech się pan podda! – nalegałem. – To już koniec!

Splunął tylko i ruszył w stronę lasu, biegnąc zygzakami. Miałem okazję sprawdzić po raz kolejny słuszność powiedzenia, że trudno jest zabić kogoś, kto umie się poruszać. Nie mając już naboju w remingtonie, wróciłem do domu, popychając przed sobą uderzeniami kolby zakładniczkę, upokorzony marnymi efektami swojej strzelaniny.

* * *

Zmierzch przyczał się nad ziemią, zarzucając sieć mroku. W tym momencie wszystko wydało mi się niewiarygodnie nierzeczywiste. Co ja tu robiłem, z karabinem w ręce, na wyspie opanowanej przez potwory, mając przed sobą las z przyczajonym strzelcem, a u boku morską dzikuskę? Czy to możliwe, żebym był tym samym człowiekiem, który cztery dni temu rozmawiał z kapitanem floty handlowej o irlandzkiej polityce? Nie, to niemożliwe. Z tej dyskusji z samym sobą na temat sensowności świata wyrwał mnie huk wystrzału. O tej porze prędeż bym się spodziewał potworów niż Caffona, ale to jego głos usłyszałem w tej chwili:

– A jaką mam pewność, że mnie pan nie zastrzeli?

– Ponieważ już raz miałem taką okazję, ale z niej nie skorzystałem – odpowiedziałem bez namysłu. – Prawda, że lubi pan zażywać kąpieli słonecznych? Że to przyjemnie wyjść na balkon o poranku i wystawić do słońca nagi tors? Miałem pana na muszce. Wystarczyło nacisnąć spust, żeby rozwalić panu głowę. – Po czym dodałem tonem sierżanta: – Wychodzić mi natychmiast, do jasnej cholery! Wychodzić!

Po chwili wahania wreszcie wyłonił się z lasu.

– Odrzucić broń! Na kolana! – rozkazałem. Niechętnie, ale posłuchał. Klęcząc, rozłożył ramiona w wymownym geście: oto jestem.

– Teraz pana kolej! Proszę wyjść! Razem z nią! – zażądał, krzyżując ręce na piersiach.

Zrobiłem sobie z żabólki tarczę, trzymając ją przed sobą. Kiedy już byliśmy blisko, popchnąłem ją do Batisa i wziąłem ich oboje na muszkę. Caffó obejrzał ją jak weterynarz chorą kozę.

– Oczu pan nie ma? – zaprotestował, niezadowolony. – Całą mi ją pan posiniaczył!

– A czego się pan spodziewał? Przecież ma siną krew – odparowałem z perfidną ironią. Batís rozejrzał się wokół, potem skoncentrował wzrok na mnie.

– No dobrze, zaraz będzie ciemno. Czego pan chce?

– Pan dobrze wie, czego.

Przysiadłem z karabinem na kolanach. Teraz sytuacja przybrała inny obrót, można powiedzieć, całkiem pokojowy. Jeszcze przed chwilą skakaliśmy sobie do gardła, a teraz rozmawialiśmy o poglądach. Targowaliśmy się do upadłego jak dwaj Fenicjanie, bardziej dla fasonu niż dla wymiernych korzyści. Rzeczywiście, wyspa dziwnie wpływała na ludzi.

– Powinienem pana zabić na miejscu, ale tego nie zrobię – zagałem ugodowo. – W rzeczywistości mało mnie obchodzi, co się dzieje na tej diabelskiej wyspie i z jakich powodów nie chce pan jej opuścić. Miał pan okazję, kiedy tu przypłynęliśmy, i nie pisnął pan ani słowa. Niech pan tu sobie siedzi, wolna wola. Ale ja chcę się stąd wydostać cały i zdrowy.

Wyciągnąłem rękę w kierunku latarni.

– Dlatego chcę tam wejść, albo z panem, albo sam. Dostać się tam i przeżyć. Wkrótce pojawi się jakiś okręt. Wezwiemy go tu morsem i zabierze mnie w jakieś spokojniejsze miejsce. Nic więcej. Oczywiście zostawię panu moje zapasy. I karabiny. Mam dwa remingtony i tysiące naboii. Na pewno się panu przydadzą.

Zobaczyłem jego dziurawe zęby, kiedy otworzył usta, uśmiechając się z przekąsem. Wyciągnął metalową piersiówkę i pociągnął łyk. Mnie nie zaproponował, tylko powiedział:

– Nic pan nie rozumie. Ta wyspa nie leży na trasie handlowej. Pierwszy statek pojawi się tu za rok, przywożąc pańskiego zastępcę. Za rok.

– I ja mam w to uwierzyć! – wybuchnąłem. – A latarnia? Nie buduje się latarni tam, gdzie nie są potrzebne! Musi tu być jakaś żegluga.

Pokręcił przecząco głową. Mówił przez zęby, trzymając w ustach papierosa, którego wreszcie wypluł:

– Żegluga na tej trasie ustała dawno temu. Potem chcieli tu zrobić więzienie dla przywódców burskich czy innych Afrykanerów, nie wiem dokładnie. Ale mieli stare mapy tego sektora i przeliczyli się co do wielkości wyspy. Tu by się nie zmieściła nawet obsługa więzienia. Oczekiwali czegoś więcej, a zastali to, co widać – powiódł ręką wokół. – Do pracy zatrudnili prywatne przedsiębiorstwo budowlane. Na miejscu inżynierowie zorientowali się, że projekt jest nierealny, i zrobili kosztorys, zanim generałowie zrozumieli, że trzeba się wycofać. W więzieniu była przewidziana latarnia, więc ją zbudowali, żeby nikt ich nie oskarżył o defraudację wojskowych pieniędzy. Takie tam biurokratyczne sztuczki. Zbudowali latarnię i wynieśli się stąd – westchnął z sarkazmem. – Mogli ją sobie darować, tę pieprzoną latarnię. I tak żaden inspektor nie pofatyguje się tu na kontrolę. Zwłaszcza od kiedy Anglicy ogłosili zwierzchnictwo międzynarodowe nad latarnią, zrzekając się swoich praw. W praktyce to oznacza, że przedtem należała do wojska, a teraz do nikogo.

Usiadłem. Tak, teraz już definitywnie przestałem cokolwiek rozumieć.

– Nie wierzę! Jeśli to prawda, to co pan tu robi? Co robi latarnik w nieuczęszczanym rejonie?

Poczucie humoru miał całkiem nieprzewidywalne. Najwyraźniej ulga, że nie spełniły się jego najgorsze przewidywania co do losu żabólki, podziałała na niego jak balsam. Roześmiał się i podał mi piersiówkę, dopiero teraz. W środku był jakiś zimny i gorzki likier. Ale liczył się sam gest, nie jakość alkoholu.

– Nie przysłano mnie do latarni. Jestem poprzednim meteorologiem. To znaczy – zawahał się – tytułu nie mam, ale korporacja nie miała wielkich wymagań, rekrutując personel do tej dziury. A o historii latarni dowiedziałem się od marynarza na statku, którym tu przyplłynąłem. Taki jeden z Południowej Afryki opowiedział mi o wszystkim.

Wyciągnął rękę po piersiówkę, przechylił ją do ust, po czym ciągnął dalej:

– *Hallo, Kollege*. Co pana sprowadza w te strony? Zwycięzców tu nie ciągnie. Nigdy. Uczciwych i honorowych też nie. Jaki jest pański przypadek? Żona uciekła z inżynierem drogowym? Nie starczyło odwagi, żeby wstąpić do Legii Cudzoziemskiej? Napadł pan na bank, w którym pracował? Czy może wszystko pan stracił w kasynie? Proszę nie mówić, na jedno wychodzi. Witam w piekle przegranych, witam w rajku zagubionych. – Nieoczekiwanie zmienił ton i temat: – Gdzie jest drugi remington?

Było mi już wszystko jedno, zostawiłem mu inicjatywę. Żabólka Batisa wpatrywała się w ziemię obojętnym, krowim wzrokiem. Dwoma palcami grzebała w błocie. Nie przezuwając, połknęła w całości wyciągniętego robaka. Batís wszedł do domu. Pochylony nad skrzynią z amunicją, wyglądał jak pirat, który odkrył skarb. Widok drugiego remingtona i nabojów wprowadził go w euforię. – Dobra sztuka, tak, dobra sztuka – powtarzał, poklepując kolbę karabinu. Przesypywał naboje jak lichwiarz złote monety.

– Proszę mi pomóc! – ocknął się nagle. – Już się robi ciemno. Wie pan, co to znaczy?

Przewiesił sobie przez jedno ramię remingtona, a przez drugie swoją strzelbę. Chwyciliśmy obaj skrzynię z amunicją za boczne uchwyty. Tak, już zapadała noc. Kiwnął na żabolkę i we trójkę rzuciliśmy się szaleńczym biegiem. Szybciej, szybciej – poganiał mnie w lesie – do latarni, do latarni! – I to samo po niemiecku: *Zum Leuchtturm, zum Leuchtturm!* – Ale trudno było skoordynować ruch dwóch par nóg na ścieżce. Potknąłem się o korzeń i amunicja wysypała się na ziemię. – Co pan, do diabła, wyprawia, upił się pan czy co? – klął Batís, zbierając naboje garściami, z mchem i błotem. Biegliśmy dalej, noc nas doganiała. – O Boże, o Boże – szeptał Batís. I znów powtarzał: – *Zum Leuchtturm, zum Leuchtturm!*

Od latarni dzieliło nas już niespełna dwadzieścia metrów. Zaczęliśmy się wspinać na granitową skałę u podnóża. Nagle usłyszałem: – Do broni! Do broni! – Nie wiedziałem, o co mu chodzi. – Głupcze, tam, za latarnią! – Zobaczyłem mglisty zarys postaci, jedna skoczyła w lewo, dwie w prawo, nie, trzy, cztery. Strzeliłem na oślep. Potwory wiedziały, czym grozi broń palna, i odskoczyły wszystkie jednocześnie. Batís sam podźwignął skrzynię. – Niech pan pchnie drzwi, są otwarte! – krzyknął.

Sekundę po tym, jak zamknęliśmy i zabarykadowaliśmy za sobą drzwi, potwory już w nie waliły z apokaliptyczną furią. Caffó rzucił się do skrzyni z amunicją, ale stanąłem mu na drodze.

– Co pana teraz ugryzło? – protestował. – Atakują latarnię, potrzebuję naboji!

– Proszę mi spojrzeć w oczy.

– Po co?

– Proszę mi spojrzeć w oczy.

– O co panu chodzi?

– Żeby mi pan spojrział w oczy.

Zrobił to. Chwyciłem lufę jego karabinu i wymierzyłem we własną pierś.

– Chce mnie pan zabić? Proszę. Nie mogę znieść myśli, że zginę we śnie. Jeśli chce mnie pan zabić, proszę zrobić to teraz. To będzie morderstwo, ale przynajmniej oszczędzimy sobie zdrady.

Odetchnął głęboko raz i drugi z wściekłością człowieka, który nie znajduje słów, by się bronić przed niezasłużoną obrazą. Gwałtownym ruchem wyrwał mi lufę z rąk. Przystawił mi ją do skroni. Poczułem jej chłód.

– Pan jest z tych, którzy wierzą, że będą żyć wiecznie. Tatus i mamusia nie czytali panu słów Chrystusa? Nie uprzedzili pana, że musimy umierać wielokrotnie?

Odłożył broń. Spuścił wzrok.

– Wszyscy musimy umrzeć. Dziś, jutro, kiedy opatrzność rozkaże. Każdy ma swój karabin. Jak pan chce, niech się pan sam zabije.

Nie spodziewałem się, że jego kamienne rysy są zdolne do uśmiechu. Pomimo alarmującej sytuacji pozwolił sobie na przerwę i chwilę ciszy. Z zewnątrz dochodziło wycie, a on tymczasem szacował mnie, nie wiem według jakiego kryterium. W końcu powiedział:

– Chciał pan się schronić w latarni i już pan tu jest. Mam panu gratulować? Nic pan nie rozumie. Pan jest z tych, co czują się wolni dopiero blisko krat więzienia. A teraz – wyciągnął rękę gestem nieznoszącym sprzeciwu – teraz proszę o naboje. Nadciągają żabole.

Zszedłem mu z drogi. Niech robi, co chce. Obładowany swoją strzelbą, remingtonem i skrzynką z amunicją, Batís pomknął na górę, jakby nie czuł ciężaru. Zauważyłem puste worki. Posłużyły mi za materac. Na zewnątrz wyły potwory. Batís strzelał gdzieś na górze. Ale ja miałem w głowie tylko jedno: teraz mogę spać, mogę spać.

Spać.

Spać.

Spać.

Kiedy się obudziłem, na świecie panował fantastyczny spokój. Tej samej nocy moje ciało Łazarza znów podjęło życiowe funkcje, jakby jakiś odgórny rozkaz kazał wrócić duszy na swoje miejsce. Na zewnątrz fale rytmicznie uderzały o pobliskie skały. Szum morza działał na mnie kojąco. Oglądane z pozycji horyzontalnej wnętrze latarni sprawiało wrażenie surowego, ale przyjaznego. Przez otwory strzelnicze umieszczone na różnych poziomach wzdłuż schodów prowadzących na górę prześwitywało światło. W tym najbliższej mnie zauważyłem pyłek, który majestatycznie zawisł w powietrzu, obojętny na prawa grawitacji, zatrzymany mocą jakiejś absurdalnej i melancholijnej harmonii.

Zaschło mi w gardle. Usiadłem i podniosłem do ust pierwszy antałek, jaki mi się nawinął. W środku był ocet, ale było mi wszystko jedno. Gdyby to była wrząca smoła, też bym się napił. Podnosząc się, poczułem bolesne skurcze w całym ciele. Ciarki przeszły mi po wszystkich członkach, jakby krew się budziła do życia po latach zastoju. Siedziałem i obserwowałem duże zmiany, jakie się tu dokonały. Dolna część latarni pełniła funkcję magazynu, o tym już wiedziałem, ale teraz ten magazyn był znacznie zasobniejszy w skrzynie, worki i kufry. Przyjrzałem się im dokładniej. Były moje. W tym momencie do latarni wszedł Batís.

– Jaka szatańska siła była zdolna przenieść to wszystko w ciągu jednego ranka? – odezwał się głosem ozdrowieńca, który budzi się z narkozy.

– Spał pan pięćdziesiąt godzin – odpowiedział, zrzucając z pleców worek mąki. Popatrzyłem na swoje dłonie i odezwał się bez związku:

– Jestem głodny.

– Wiem.

Nie dodał nic więcej, ale zrozumiałem, że mam iść za nim na górę. Nie zatrzymując się ani nie odwracając w moją stronę, zapytał:

– Nie słyszał ich pan? Nic do pana nie dotarło? Wczoraj wieczorem nieźle dali popalić. Ostatnio są bardzo niespokojni. – Mruknął sam do siebie: – Hołota, hołota...

Podniósł klapę i weszliśmy do mieszkania. Siadł na krzesło i władczy gestem pokazał mi miejsce przy stole. Usiadłem posłusznie. Zajął się nabijaniem fajki, wyglądając w zamyśleniu przez balkon. Oparty łokciami o stół, przetarłem rękami twarz. Przede mną pojawił się talerz. Ręce, które go postawiły, należały do jednego z nich – nagle zobaczyłem cienkie palce połączone błoną. Zerwałem się z krzesła jak oparzony, krzycząc z przerażenia. Czulem, że serce mi bije młotem. Znów byłem na wyspie.

– I po co te krzyki – odezwał się Batís. – To tylko grochówka.

Cmoknął jak wieśniak na konia. Gadzina zsunęła się po schodach w dół, cicho jak duch. Nie odezwał się, póki nie skończyłem jeść.

– Dziękuję za zupę.

– Nie ma za co. To pański prowiant.

– Ale pan mi ją podał.

– To ona podała.

Nie była przywiązana ani przykuta. Zapytałem:

– Nie ucieka z latarni?

– Czy pies ucieka z gospodarstwa?

Zapadła cisza. Nie mogłem się powstrzymać od złośliwości:

– Umie coś jeszcze poza noszeniem wiader i talerzy? Nauczył ją pan łaciny?

Spojrzał na mnie twardo. Nie szukał zaczepki, ale gotów był oddać cios.

– Nie – odciął się. – Ani łaciny, ani greki. Tego tylko ją nauczyłem – podniósł remingtona – to więcej warte niż łacina i greka razem wzięte.

– No jasne – odpowiedziałem, trąc czoło. Sakramencka migrena nie dawała mi szans w konwersacji.

– Ale skoro już pan pyta, to faktycznie, posiada pewne nieocenione umiejętności. Śpiewa, kiedy żabole są w pobliżu.

– Śpiewa?

– Śpiewa. Jak kanarek. – Mimo woli parsknął śmiechem. Śmiał się nieprzyjemnie, gardłowo, makabrycznie. Potem dodał: – Maskotka przynosi szczęście właścicielowi, nawet taka jak ona. Innych w tych stronach nie ma. Ta jest najlepsza.

Nie było nic więcej do powiedzenia. Siedziałem nieruchomo na krześle. Mój mózg funkcjonował opornie. Ciężko mi było skojarzyć słowa z obrazami, do których by pasowały. Skonsternowany, jakbym się właśnie wygrzebał spod lawiny, rozglądałem się po pokoju. Widziałem łóżko, balkon, Batisa, okienko w murze, nie umiając przypisać tym obiektom wyraźnego sensu.

– Pewnie powinienem pana wprowadzić w sytuację – powiedział Batís, biorąc moją bierność za oczekiwanie. – Proszę iść za mną.

Wdrapaliśmy się po żelaznych schodach łączących pomieszczenie mieszkalne z górnym piętrzem. Tam, pod samą kopułą latarni, była maszyna obsługująca reflektory – skomplikowany mechanizm zegarowy, składający się z masywnych części, dzieło przemysłu metalurgicznego. Środek sali zajmował generator zasilający dwa źródła światła, połączone z nim metalowymi osiami. Ruchomy mechanizm osadzony na miniaturowej kolejce szynowej okrążał pomieszczenie od strony zewnętrznej. Batís przesunął trzy przekładnie i mechanizm ruszył. Wyrwał się z zastygłej inercji, rycząc jak słoń.

– Jak pan widzi, ustawiłem reflektory pod takim kątem, żeby omiatały światłem okolice latarni. W ten sposób mogę ich wytropić, kiedy się zbliżają. Za każdym obrotem lampy zmieniają kąt nachylenia. Oświetlam na zmianę podstawę latarni i dalszą część wyspy. Mogę przeczesać cały las. Jak trzeba, dosięgam światłem do stacji meteorologicznej po przeciwnej stronie.

– Wiem coś o tym.

Nawet ja nie byłem pewien, czy to było z mojej strony zwykłe stwierdzenie, czy ukryta pretensja. Batís zignorował i jedno, i drugie.

– Mógłbym ustawić reflektory na stałe tak, by oświetlały wejście, tuż pod nami. Tylko po co? Omijałoby jasne miejsce. Zmiana pozycji zmusza ich do ciągłego ruchu, ciągłej ucieczki. Jak wszystkie piekielne bestie nienawidzą światła, boskiego i ludzkiego.

To było najwyższe wzniesienie na wyspie. Rozciągał się stąd wspaniały widok. Łąd miał kształt pończochy. Łupkowy dach mojego domu odcinał się na przeciwległym krańcu jak stopa. Po obu stronach wyspy wystawały z wody rafy różnej wielkości, nakrapiając piegami powierzchnię oceanu. Na północy, w odległości około stu-stu pięćdziesięciu metrów od lądu, widać było skałę większą niż pozostałe. Przyjrząwszy się jej dokładnie, zauważyłem obok wystający z wody dziób niewielkiego statku, osiadłego na mieliźnie.

– Portugalczycy – poinformował mnie Batís, nim go zdążyłem zapytać. – Rozbili się tu, całkiem niedawno. Wracali z kolonii w Mozambiku, kierując się do portu na południu Chile. Mieli nielegalny towar na pokładzie i dlatego wybrali drogę tak odległą od

trasy handlowej. To był statek o małej wyporności. Wynikły jakieś problemy i chcieli zawinąć do portu na wyspie Bouvet. Ale natrafili na rafy – skonstatował z taką obojętnością, jakby opowiadał wspomnienia z dzieciństwa.

– Przypuszczam, że pan, z właściwą sobie gorliwością i uprzejmością, natychmiast udzielił im pomocy, proponując schronienie i prowiant – odezwałem się z jadowitym cynizmem w głosie.

– Nie mogłem nic zrobić – odparł, jakby się usprawiedliwiając. – Rozbili się nocą, kiedy rafy są najbardziej niebezpieczne. Załoga wdrapała się na tę skałę obok dziobu. Widzi pan? Tak, tam. No i, oczywiście, zostali pożarci jeszcze przed świtem.

– No to skąd pan to wszystko wie – o narodowości, trasie i celu podróży?

– Jeden dożył do rana. Nie wiem, jak mu się udało przeżyć w małej kabinie na dziobie, częściowo zatopionej. Widziałem jego twarz w okienku. Porozumiewaliśmy się, krzycząc do siebie. Stałem na brzegu i najpierw zupełnie go nie rozumiałem – szyba była za gruba, widziałem tylko, jak porusza ustami. Potem wydostał się na pokład i porozmawialiśmy chwilę. Nieszczęsny piekielnik z tego wszystkiego zwariował, całkiem postradał zmysły. Coś mu się ubzdurało i zaczął do mnie strzelać z rewolweru. – Batis uśmiechnął się z wredną satysfakcją. – Musiał mnie pomylić z potworami. Nieważne, marnie strzelał. Potem ukrył się w kabinie i tam już został, czekając nadejścia nocy. Pamiętam jego twarz w lufciku. Biedny idiota. Gdyby miał odrobinę rozsądku, ostatnią kulę zarezerwowałby dla siebie.

Wiele można było zarzucić Batisowi. Raziło mnie nie to, co mówił, ale jego ton. Opowiadał o losie pechowych Portugalczyków tak obojętnie, że zrobiło mi się zimno od samego słuchania. Żadnego komentarza. I przede wszystkim – żadnych emocji. Wróciliśmy do mieszkania. Objął mnie co do pozycji i taktyki obrony tej reduty. W zasadzie cały wysiłek skupiał się na balkonie. Staroświeckie strzelnice służyły do obserwacji i celowania w określonym kierunku – dzięki nim mógł kontrolować całe trzysta sześćdziesiąt stopni. Nie było ryzyka, że stamtąd przyjdzie niebezpieczeństwo – żabole nie mogły ani przecisnąć się przez okienka, ani rozbić solidnego kamienia. Jeśli gdziekolwiek można było sforsować wejście, to tylko tam, na balkonie. To wyjaśniało obecność ostro zakończonych drągów i tym podobnych umocnień na zewnątrz. Dzięki nim jeden nawet niezbyt zręczny strzelec mógł odeprzeć każdy atak, niezależnie od intensywności i liczności napastników.

– W zasadzie niebezpieczna jest tylko odsłonięta pozycja strzelca na balkonie – zauważyłem. – Czemu nie mielibyśmy się zabarykadować, zamykając metalowe okiennice, które pan tam zainstalował?

– Na dłuższą metę nic by to nie dało. Żabole mają nadludzką siłę. Powoli zniszczyłyby umocnienia, a na wyspie nie ma odpowiedniego materiału, żeby je naprawić. Zamknięty i zabarykadowany w środku, stałbym się więźniem własnego systemu obronnego. Nawet przebijając odpowiedni otwór, niewiele bym zdziałał, mając broń ustawioną pod stałym kątem. Nie. Najlepsza metoda to trzymać ich na dystans, zachowując duże pole rażenia.

Przyjąłem to do wiadomości i nie pozostawało mi nic innego, jak przyznać rację logice jego rozumowania. Zeszliśmy na dół. Drzwi wejściowe, już same z siebie masywne, wzmocnione były dodatkowo trzema drewnianymi belkami. W razie potrzeby wystarczyło wysunąć belki z głębokich otworów specjalnie w tym celu wykutych w

murze, w poprzek drzwi. Zewnętrzny system obronny obejrzałem sobie dokładnie już wcześniej.

– Wspinają się jak małpy, aż trudno uwierzyć – powiedział ze źle skrywanym podziwem w głosie.

Radą na to był system ostrzegawczy, na który składały się sieci sznurów z pustymi puszkami na końcach; powierzchnia bez szczelin, wygładzona masą z gotowanego papieru zmieszanego z piaskiem, oraz wystające gwoździe i odłamki szkła.

– Żeby mi pan nie śmiał wyrzucić zardzewiałego gwoźdźca czy pustej butelki – obudził się w nim czujny strateg. – W krainie żaboli szkło jest święte, a złom to podstawowe bogactwo narodowe.

Niewiele więcej było do powiedzenia. Po południu wybrałem się do stacji meteorologicznej. W porównaniu z latarnią robiła teraz wrażenie pudełka zapalek – krucha, bezbronna, uboga. Batís wyniósł stąd wszystko poza materacem. Na wszelki wypadek zabrałem żabolkę ze sobą, żeby mi nie zamknął drzwi przed nosem. Ale nie zrobił żadnego świństwa. Rasa germańska już taka jest – ich inteligencja zmierza prosto przed siebie, dopóki jakiś gwałtowny wstrząs nie zmieni jej kierunku o dziewięćdziesiąt stopni. Wyglądało na to, że zaakceptował moją obecność na zasadzie faktów dokonanych.

Wróciwszy do latarni, rozłożyłem mój materac w magazynie na dole. Miałem spać pod ścianą od strony morza i słuchać podczas burzliwych nocy, jak fale, rozbijając się o skały, atakują warownię, oddzielony od żywiołu tylko warstwą kamieni. Jednak latarnia była solidną fortecą, dlatego świadomość, że jestem blisko fal, ale w bezpiecznym miejscu, dawała błogie wrażenie dziecięcej kołyski, kryjówki broniącej przed najgorszymi lękami. Jeszcze kończyłem mościć sobie skromne legowisko, kiedy zawołał mnie Batís. Zaglądał przez otwartą klapę, stojąc na szczycie schodów:

– *Kollege!* Zamknął pan porządnie drzwi? Proszę wejść na górę. Zaraz będziemy mieć gości.

W mieszkaniu czuć było wojenne napięcie. Batís miotał się z kąta w kąt. To wyglądał przez otwory w murze, to gromadził amunicję – broń i race. Wszystko oczywiście pochodziło z mojego wyposażenia.

– Na co pan czeka? Broń na ramię! – powiedział, nie patrząc w moją stronę. Z przeciwnika przeistoczyłem się niespodziewanie w towarzysza broni.

– Jest pan pewien, że dziś zaatakują?

– A pan wątpi, że papież mieszka w Rzymie? Kuliliśmy się obaj przykucnięci w rogach balkonu – on po prawej stronie, ja po lewej. Między nami było niespełna półtora metra. Balkon był wąski – może ze trzy piędzi od progu do poręczy. Nad nami, po bokach, a zwłaszcza pod nami wystawały wymierzone we wszystkich kierunkach drągi różnej długości, jak kły jednorożca. Na niektórych widać było plamy zaschniętej błękitnej krwi. Batís ścisnął w rękę karabin. Obok, na ziemi, leżał remington i trzy pojemniki z racami. Uruchomił światła. Szczęk maszynierii rozplątywał się w powietrzu i wracał z regularnością wahadła – silniejszy, kiedy wagonik z reflektorami przesuwiał się nam nad głową, słabszy, kiedy się oddalał. Światło omiatało na zmianę raz granitową skałę u podnóża latarni, raz brzeg lasu. Ani śladu potworów. Podmuch lodowatego wiatru poruszał gałęzie. Ochryplý wiatr szeptał coś po swojemu, obojętny na emocje, jakie wywoływał. Kiedy cofało się światło, pejzaż pogrążał się w prawie całkowitej ciemności.

– Skąd pan wie, że przyjdą z tej strony? Przecież morze jest z tyłu. Jeśli wyjdą stamtąd, będą się wspinać po przeciwnej stronie – zauważyłem.

– Morze jest z każdej strony, jesteśmy na wyspie. Bestie nie są takie głupie, żeby nie wiedzieć, gdzie są drzwi. A za drzwiami jest mięso. – Moja nerwowość uprzytomniła Batisowi, że jeszcze nie całkiem minęło moje wyczerpanie. zaproponował: – Może się pan wycofać, nic się nie stanie. Będzie mi pan podawał amunicję albo popijał rum, jak pan woli. Przeżyłem już niejeden atak i teraz też sam sobie poradzę.

– Nie, nie mogę się wycofać – odpowiedziałem. I zaraz dodałem: – Za bardzo się boję.

W tym momencie usłyszeliśmy brzęk puszek na dole. – To wiatr, to tylko wiatr – uspokoił mnie ruchem ręki. Czuję neodpartą potrzebę strzelania do czegoś, co zwlekało z nadejściem. Batis kręcił głową jak kameleon. Wystrzelił racę. Czerwone światło poszybowało w górę, zatoczyło łuk i powoli spadło, zabarwiając całą powierzchnię na kolor purpurowy. Ciągłe nic. Następna raca, tym razem zielona. Też nic. Fluorescencja dogasała, oświetlając tylko kamienie i drzewa targane wiatrem.

– *Mein Gott, mein Gott...* – szepnął Batis. – Tym razem jest ich więcej niż kiedykolwiek.

– Gdzie? Nic nie widzę.

Batis nie odpowiadał. Myślni był gdzieś daleko, choć widziałem go tuż obok siebie. Z otwartymi, zaślinionymi ustami wyglądał jak debil, kiedy tak wpatrywał się we własne myśli, zamiast obserwować otoczenie latarni.

– Nic nie widzę. Caffó! Niczego tam nie ma. Dlaczego pan uważa, że ma ich być wielu?

– Bo ona cały czas śpiewa – odpowiedział machinalnie.

Śpiew żabolki przypominał trochę tonacje balijskie. Zaintonowała melodię, którą nie sposób byłoby zapisać nutami ani jakkolwiek inaczej. Ilu ludzi miało okazję słuchać tej pieśni? Komu, od początku świata, od kiedy człowiek jest człowiekiem, było dane napawać się taką muzyką? Czy tylko Batisowi i mnie? Czy słyszeli ją wszyscy wyruszający na swoją ostatnią bitwę? To był straszny hymn, barbarzyński psalm, piękny w swojej bezlitosnej niewinności, nieziemsko piękny. Dotykał całej gamy naszych uczuć z precyzją skalpela. Poruszał je, odwracał, zapierał się ich po trzykroć. Muzyka uniezależniała się od wykonawcy. Śpiewały same struny głosowe, które przyroda stworzyła, by wyrazić swoją przepastną głębię, podczas gdy żabolka siedziała ze skrzyżowanymi nogami tak samo nieobecna w tym momencie jak Batis, jak potwory, których ciągle nie było widać. Tylko człowiek, który się rodzi lub który umiera, może być tak samotny jak ja tamtej nocy w latarni.

– Niech pan patrzy – odezwał się Batis.

Inwazja na wyspę zaczęła się daleko od nas. Wychodzili z lasu. Całe stada potworów, po obu stronach drogi. Wyczuwało się ich obecność, jeszcze zanim się znaleźli w polu widzenia. Słyszeliśmy ich głosy, bulgotanie pomnożone przez sto, dwieście, może pięćset gardeł. Zbliżali się powoli, jak bezładna armia. Widziałem cienie i słyszałem gulgot coraz bliżej. O Boże, ten odgłos, jakby wymiotowali jakimś kwasem. Żabolka za nami przerwała śpiew. Przez chwilę wydawało się, że tamci też dadzą za wygraną, że oszczędzą latarnię. Zatrzymali się dokładnie na granicy światła. I nagle wszyscy naraz ruszyli do ataku. Biegli i skakali, ich głowy poruszały się na różnych wysokościach. Armia zbliżała się i, oczywiście, wiele potworów znalazło się w zasięgu światła. Zaczęłem strzelać gorączkowo, na oślep. Niektórzy padali, inni cofali się, ale było ich tylu, że ciągle posuwali się do przodu. Tu potrzebny był karabin maszynowy. Strzelałem jak w obłądnie,

aż Batís pochwycił lufę mojej strzelby, rozgrzanej do czerwoności. Nawet nie poczuł gorąca.

– Do diabła z taką robotą! Zwariował pan czy co? Ile nocy przetrwamy, marnując amunicję tak lekkomyślnie? Nie chcę tu żadnych fajerwerków. Niech pan nie strzela, póki ja nie zacznę.

To, co nastąpiło potem, było dla nas makabryczną lekcją. Mrowie tłoczyło się pod drzwiami. Nie mogli ich wyważyć, nie mogli też wspiąć się po gładkiej ścianie. Ale było ich tylu, że mogli utworzyć wieże oblężnicze z własnych ciał. Magma ramion, nóg i nagich torsów, bez ładu i składu, przepychała się i tłoczyła. Wspinali się jedni na drugich i wieża rosła. Batís czekał jeszcze chwilę z zimną krwią, a mnie tymczasem przesywały ciarki. Wystawił podwójną lufę karabinu przez poręcz dopiero, kiedy potwór na samej górze dosięgał już szponami pierwszych linii umocnień. Strzał rozerwał czaszkę w drobny mak i mózg rozprysnął się wkoło. Potwór spadł na dół, pociągając za sobą całą wieżę.

– Tak, tak trzeba strzelać! – ryknął do mnie Batís. – Tam, po pańskiej lewej stronie!

Podobna wieża dosięgała balkonu obok mnie. Musiałem zabić ich paru, żeby się wreszcie osunęła. Spadali, wyjąc jak ranne hieny, toczyli się po ziemi, wstawali i podnosili zwłoki.

– Nie trzeba strzelać do uciekających, lepiej oszczędzać amunicję – pouczał mnie Batís. – Wystarczy im własna padlina, teraz będą pożerać samych siebie.

Tak, miał rację. Zawalona wieża przypominała rozdeptane mrowisko. Zbierali się po pięciu, sześciu, siedmiu czy ośmiu, podnosili zwłoki i uciekali. Wytrwałość nie była ich zaletą – szybko się rozbiegli na wszystkie strony. Odeszli w ciemność, gęgając jak stado dzikich kaczek. – Kwa, kwa, kwa – pogardliwie przedrzeźniał ich Batís – kwa, kwa, kwa!

– Zawsze to samo – mruknął pod nosem sam do siebie. – Wystarczy parę trupów i już rezygnują ze wspinaczki. Chciałyby schrupać starego Batisa, a muszą się zadowolić własnym truchłem. Żabole, obrzydliwe żabole.

Po tym zwycięstwie potwory spuściły z tonu. Następnej nocy słyszeliśmy tylko pojedyncze odgłosy, a i to z daleka. Podczas kolejnej słyszeliśmy, że przebiegają, ale nie widzieliśmy żadnego. Moja trzecia noc w latarni była pierwszą, która upłynęła bez potworów, a mimo to nie była spokojna. Nie spoczęliśmy aż do świtu. Batís już doświadczył na własnej skórze, że żabole nie przestrzegają żadnych reguł i mogą zaatakować w najmniej oczekiwanym momencie. To nie pruska kolej, tu nikt się nie trzyma rozkładu jazdy, ostrzegał.

* * *

Moim ostatecznym miejscem zamieszkania stał się magazyn na dolnym poziomie latarni. Wieczorem wchodziłem na górę, żeby zająć pozycję strategiczną na balkonie. Mijały dni i noce; trzeba było ustalić jakieś zasady współżycia. Kim był ten człowiek? Z oficera meteorologicznego zachował nie więcej niż rozbitek wyniosłby z zatopionego okrętu. Jego nieumiejętność życia z drugim człowiekiem, egoizm, odruchy drapieżnego, dzikiego kota wynikały nie tyle z przystosowania do środowiska, co raczej z naturalnych predyspozycji. Ale pomimo barbarzyńskich naleciałości i ewidentnych reakcji jaskiniowca często w jego charakterze ujawniały się cechy zrujnowanego arystokraty. Był brutalny, ale i lojalny na swój sposób. Odznaczał się żywą inteligencją, choć mogło to brzmieć dziwnie,

kiedy patrzyło się, jak zajęty nabijaniem fajki, dzikim, świdrującym spojrzeniem obejmuje swój dom, zawsze czujny na to, co się dzieje dookoła. Był jak ów wolterianin, siłą wyobraźni zdolny wznieść barykadę. Był typem człowieka, który w życiu uznaje tylko jedną prawdę – jedną, ale fundamentalną. Jego atutem była umiejętność redukcji. Umiał upraszczać wszystko tak sprawnie i do tego stopnia, że w końcu sam był zdolny pojąć istotę problemu. Kiedy zajmował się kwestiami technicznymi, myślał precyzyjnie i jasno. W tej dziedzinie był niezrównany i dlatego udało mu się przeżyć. W innych sytuacjach nie był tak sprawny; kozacki dezertor miałby więcej wyczucia estetycznego. Cała jego filozofia była w mięśniach. Z higieną miał niewiele wspólnego, nie jadł, lecz przeżuwał, nie oddychał, lecz sapał – słycać go było na odległość. Poruszał się we własnej przestrzeni, żył własnymi mitami. Każdym gestem, wyrazem lekceważenia, obwieszcał, że to nie on został uczyniony dla świata, ale świat dla niego. Jak cesarz, który postradał zmysły, wsłuchujący się w tętent wymaginowanych koni i ścinający tysiące głów.

Nie bałem się go, nie cierpiałem z jego powodu. Szybko zrozumiałem, że jest jak kruk, który drugiemu krukowi oka nie wykole. Czy to z wrodzonej szlachetności, czy z prymitywizmu, jakim przesiąkł na wyspie, Batís nie przejawiał zdradzieckich ciągotek. Żył myślą o przyszłości – chociaż przyszłość w jego pojęciu nigdy nie sięgała poza dzień jutrzejszy – nigdy o przeszłości. Skoro już raz dostałem się do latarni, uznał to za fakt dokonany. Moja obecność przekreślała wcześniejsze sprawy między nami, niegodziwość, wrogość, szantaże.

Ja natomiast znajdowałem się w sytuacji szczególnej – gotów byłem zgodzić się na wszystko za cenę przeżycia. Duże różnice charakteru nie przeszkadzały mi – przyjmowałem je do wiadomości. Ale, podobnie jak w małżeństwach, przyczyną największych dramatów były sprawy drobne. Jak na przykład jego całkowity brak poczucia humoru. Batís nigdy nie śmiał się z kimś, zawsze sam do siebie. Kiedy żartowałem, opowiadałem mu proste dowcipy, patrzył na mnie zdezorientowany, jakby świadomy własnych braków, niepozwalających mu uchwycić sensu.

Któregoś dnia padało, a jednocześnie świeciło słońce. Czytałem książkę Frazera, która według Batisa nie należała do niego, tylko do latarni. Czyli że zostawił ją ktoś z ekipy budowlanej. Czytałem od niechcienia, znudzony, kiedy obok pojawił się Batís. Śmiał się, spuściwszy głowę, jakby usiłował się pohamować. Nie mam pojęcia, czy chciał mi coś przekazać, czy po prostu tędy przechodził – nigdy się tego nie dowiem. Śmiał się i śmiał, powtarzając puentę jakiegoś dowcipu:

– ...To nie był pedał, to był Włoch.

Grobowy śmiech, który sam siebie pobudzał. – To nie był pedał, to był Włoch – powtarzał. Wszedł na górę, zaśmiewając się i powtarzając w kółko zakończenie tej dziwnej anegdoty.

Historia drugiego wybuchu wesołości jest trochę dłuższa. Po którymś z wyjątkowo gwałtownych ataków, kiedy już niebezpieczeństwo minęło, układałem się o świcie na swoim materacu. Szykowałem się do spania, kiedy wyciągnęły mnie z łóżka jakieś hałasy. Najpierw usłyszałem jęki żabólki. Bił ją? Nie. Na głos gadziny nałożyły się intymne pomruki Batisa. Nie wierzyłem własnym uszom, myślałem, że mam omamy. Nie, nie przywidziało mi się. To były jęki, owszem, ale jęki rozkoszy. Tam na górze rytmicznie poruszało się łóżko, a z nim drżała cała podłoga, aż sypały się wióry, jakby śnieg zaczął prószyć we wnętrzu latarni. Po chwili moje włosy i ramiona pokryły się trocinami. Konstrukcja latarni, na planie okręgu, wzmacniała dźwięki; odbijały się, a moja

wyobrażnia z niedowierzaniem dopowiadała, co się działo na górze. Stosunek trwał godzinę albo i dwie, aż wreszcie crescendo ruchów i dźwięków nagle ustało.

Jak mógł się pieprzyć z jednym z tych potworów, które osaczały nas każdej nocy? Jakie bariery mentalne musiał pokonać, żeby przekreślić prawa natury i cywilizacji? To było gorsze niż kanibalizm, który można usprawiedliwić w ekstremalnych warunkach. Jego rozwiązłość seksualna wymagałaby klinicznych badań.

Naturalnie dyskrecja i dobre wychowanie nie pozwalały mi na komentarze na temat jego zoofilii. Było jednak oczywiste, że o tym wiedziałem, a jeśli on nie poruszał tego tematu, to raczej dlatego, że nie pamiętał, a nie – że się krępował. Niemniej któregoś dnia sam rzucił jakąś luźną uwagę na ten temat. Niewiele mnie to obchodziło; chyba tylko jako przypadek kliniczny.

– Nie cierpi pan na dyspareunię?

– Dyspa... co?

– Dyspareunia, ból przy stosunku.

Właśnie siedzieliśmy przy stole w jego mieszkaniu i jedliśmy obiad. Zastygł z łyżką w połowie drogi do otwartych ust. Nie mógł dokończyć jedzenia. Myślałem, że mu szczęka wypadnie z zuchwy, tak się śmiał. Śmiał się żołądkiem, torsem i szyją. Klepał się po udach, omal nie stracił równowagi. Łzy mu leciały z oczu, przerywał, żeby je otrzeć, i śmiał się dalej. Śmiał się i śmiał. Zabrał się do czyszczenia broni, ale nie mógł się uspokoić. Zanosił się śmiechem, mimo że już zrobiło się ciemno i trzeba było skupić się na obronie.

Natomiast przy innej okazji, kiedy wypłynął temat gadziny i zapytałem go, dlaczego robi z niej stracha na wróble, każąc jej chodzić w tym brudnym, rozciągniętym i poprutym swetrze, odpowiedział mi krótko i dobitnie:

– Ze względu na przyzwoitość.

Cały Batís.

11 stycznia

Zdaniem japońskiego mędrca niewiele osób potrafi docenić sztukę wojenną. Batís Caffó jest jednym z tych nielicznych. Nocą uprawia wojnę, w dzień miłość. Trudno wyczuć, w co wkłada więcej serca. Odkrył w moim bagażu potrzask na wilki, potworne żelazo z zębami jak szczęki rekina. Podekscytowany, umieścił je w zasięgu strzału. Następny nocny atak nie był zbyt silny, mimo to w kleszcze złapały się dwa potwory. Zabił je z karabinu, zupełnie niepotrzebnie, jeśli by dosłownie potraktować jego zasadę oszczędzania amunicji. Rano poszedł szukać potrzasku, wiedziony cichą nadzieją zdobycia trofeów. Ale mięsożerne stwory zabrały ze sobą trupy, a wraz z nimi potrzask.

Był bardzo rozczarowany.

13 stycznia

Wracając do nauk Musashiego: dobrego wojownika określa nie sprawa, której broni, ale sens, jaki potrafi nadać walce. Niestety, ten aforyzm zupełnie się nie sprawdza w naszej sytuacji.

14 stycznia

Co za noc! Niebo czyste jak nigdy, bez chmur. Fantastyczny widok spadających gwiazd. Wzruszyłem się do łez. Zacząłem myśleć o szerokości geograficznej i położeniu gwiazd. Tak stąd daleko do Europy, że konstelacje pojawiają się w innym miejscu firmamentu i przez to trudniej je rozpoznać. Ale nie ma w tym żadnego nieporządku, co to, to nie. Nieporządek to tylko nasza niezdolność do rozpoznania innego porządku i innego położenia. Wszechświat jest niezdolny do nieporządku, w przeciwieństwie do nas.

16 stycznia

Nic. Nie atakują.

17 stycznia

Nic.

18 stycznia

Znowu nic. Gdzie oni się podziali?

19-25 stycznia

Lato polarne dogasa powoli, ale w pełnej glorii. Widziałem dziś motyla, tu, w latarni. Unosił się w dostojnym locie, obojętny na naszą gehennę. Caffó próbował go zabić jednym klapnięciem. Co za bezmyślność! To by była prawdziwa zbrodnia. Robi się coraz zimniej i na pewno nie zobaczymy już więcej motyli. Ale jak tu dyskutować z kimś takim?

Tym refleksjom filozoficznym towarzyszy bardziej trywialne uczucie niepokoju. Latem noce były bardzo krótkie. Teraz nieuchronnie zbliża się zima, czyli ciemności. Atakowali zawsze w nocy. Już teraz ich oblężenia trwają coraz dłużej. Co będzie, gdy noc wydłuży się do dwudziestu albo i więcej godzin?

26 stycznia

Na wyspie tak małej jak nasza oglądane nieustannie przedmioty emancypują się. O wyposażeniu latarni mówimy tak, jakby to było udzielne księstwo. Każdy kąt ma swoją nazwę, każde drzewo, każdy kamień. Gałąź, która minimalnie się wyróżnia formą, natychmiast otrzymuje imię własne. Odległości nabierają innego sensu. Ktoś, kto by nas słyszał, pomyślałby, że mówimy o odległych terytoriach, podczas gdy tu wszystko jest w zasięgu krótkiego spaceru.

Również czas stał się pojęciem względnym. Kropla zwisająca z pajęczyny może spadać całymi wiekami, tymczasem raz tylko mrugnąłem, a już minął tydzień.

27 stycznia

Nie mam jak się bronić przed erotycznymi odgłosami, spotęgowanymi szczególną akustyką latarni. Batís zaczyna przed świtem, kiedy tylko opuszczam pozycję na balkonie i wychodzę z mieszkania. Trwa to dwie, trzy, a nawet cztery godziny. Rzęzi rytmicznie, jakby walił w klawiaturę maszyny do pisania. Jak ktoś spragniony, kto brnie przez pustynię w monotonnej agonii. Mam wrażenie, że byłby zdolny utrzymać ten synkopowy rytm całymi dniami.

Niesamowite, do jakiej kumulacji orgazmów zdolna jest żabotka. Słysząc jej niegasnącą ekscytację, coraz szybsze spazmy, wreszcie klimaks wieńczący dzieło. Nie mija nawet półtorej minuty i znów wybuchają fajerwerki, wulkaniczne wybuchy, długie, bez końca. Szczytuje całe dwadzieścia sekund i zamiast spaść, znów się wznosi coraz wyżej i wyżej. A Batís, obojętny na wszystko, atakuje bez przerwy, aż wreszcie rozkosz odplywa, żegnana przekleństwem.

28 stycznia

Do naszej diety włączyliśmy raki. Na takie raki w Europie nikt by nawet nie spojrział. Mają grubą skorupę, pod nią dużo tłuszczu i mało mięsa. Ale my się nimi zajadamy, a ja na nie poluję. Początkowo, w swojej nieograniczonej głupocie, wykonywałem żalosne skoki po nadbrzeżnych rafach. Raki nie musiały się za bardzo wysilać, żeby przede mną uciec, wystarczyło schować się w pierwszą lepszą szczelinę. Fale, uderzając o skały z głuchym łoskotem, opryskiwały mnie pianą. To nie było zabawne, a mogło być naprawdę niebezpieczne. Chciałem tylko zaopatrzyć naszą spiżarnię, lecz w zimnej wodzie drętwiały mi palce. Już dawno nie zdarzyło mi się kłać tak siarczyście. Na szczęście przechodził właśnie Batís. Powiedział tylko:

– Wygląda pan jak kulawa koza, *Kollege*.

Szedł do lasu z siekierą na plecach. Za nim szła gadzina. Cmoknięciem warg wydał jej polecenie. Ześlizgnęła się po kamieniach zwinna jak żmija. Łapała raki z obraźliwą dla mnie łatwością. Zbierała również małże, które tak mocno przywarły do skały, że ja bez młotka i dłuta nawet bym się do nich nie zabierał. Jej wystarczyły paznokcie. Mnie pozostawało tylko podstawić koszyk. Niektórym rakom żabotka odrywała szcypce przed wrzuceniem do kosza i połykała je razem ze skorupką.

Urozmaiciłem też nasz jadłospis jakimiś jadalnymi grzybami, które znalazłem w lesie. Przywierają do kory drzew jak małże do skał. Trzeba je odskrobywać nożem. Pewnie nie mają nadzwyczajnych wartości odżywczych, ale i tak je zbieram. Również ucieram korzenie leśnych roślin, uzyskując z nich papkę witaminową.

Batís, zawsze skoncentrowany na sobie, jest takim mrukiem, że warto w tym miejscu odnotować jedną naszą rozmowę.

– Skąd pan wie, że te rośliny są dobre? – zapytał, patrząc nieufnie na syrop, jaki powstał po zmieszaniu witaminowej papki z dżinem.

– Rośliny, podobnie jak ludzie, same w sobie nie są ani dobre, ani złe – odpowiedziałem, pociągając łyk. – Mogą być tylko znane lub nieznanne, nic więcej.

– Na świecie jest mnóstwo złych ludzi, bardzo złych. Tylko naiwniak może wierzyć w ludzką dobroć.

– To nieważne, czy ludzie są z natury lepsi lub gorsi. Problem w tym, jakie razem stworzą społeczeństwo – dobre czy złe. W ogólnym rozrachunku nie liczą się pojedyncze charaktery. Niech pan wyobrazi sobie dwóch rozbitków, dwa naprawdę ponure typy. Każdy z osobna może być odrażający. Ale skazani na siebie, będą mieć tylko jedno wyjście – zjednoczyć siły, żeby stworzyć optymalne warunki życia. Jakie mogą mieć znaczenie ich jednostkowe wady?

Nie wiem, czy mnie słuchał. Przełknął miksturę i zawyrokował:

– W Austrii mamy sznapsa. To lepsze niż dżin. Łowimy również ryby. Jeszcze przed moim przybyciem Caffó ustawił cały rząd wędek na południowym wybrzeżu, umieszczając je na niewielkich skałach, obmywanych z trzech stron przez morze. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, naszym problemem nie jest brak ryb, ale ich wielkość. W tych szerokościach geograficznych ryby są wyjątkowo głupie albo po prostu nie mają doświadczenia z haczykami. Niestety, są tak duże i silne, że z łatwością mogą pociągnąć za sobą całą wędkę. Żeby do tego nie dopuścić, Batís wbija wędki w skałę, jak kołki. Zamiast żyłki używa podwójnego drutu, a haczyki są potrójne i duże jak kurza łapa. Ale to nie rozwiązuje sprawy i ciągle tracimy wędki. Następnego dnia możemy obserwować, jak prąd unosi je na pełne morze. Te materialne straty wywołują w nas wściekłość, której nie mamy na kim wyładować. Pomimo tych problemów wyspa zapewnia wystarczającą ilość żywności. Przywieziony przeze mnie prowiant urozmaica i uzupełnia jadłospis, ale nie jesteśmy od niego zależni.

29 stycznia

Oto mój harmonogram dnia. O świcie opuszczam pozycję na balkonie, odkładam broń i wyciągam się na materacu, często nie zdejmując ubrania. Gaszę świadomość jak światło lampy naftowej, jednym dmuchnięciem. Śpię tyle, ile ciało wymaga. Od kiedy jestem w latarni, nie przypominam sobie, żebym śnił.

Na ogół budzę się w południe, albo i później. Jem śniadanie na aluminiowym talerzu, jak więzień. Jeśli pogoda sprzyja, mogę wyjść z talerzem na zewnątrz. Wracam do środka. Toaleta. To najprzyjemniejsza część dnia. Dla pewności sprawdzam jeszcze co jakiś czas, ale wydaje mi się, że moje włosy definitywnie zmieniły barwę, przynajmniej na potylicy. Przerazenie pierwszych dni zabarwiło je na szary kolor popiołu, i tak już zostało. Potem się ubieram. O ubraniu: moje spodnie uszyte są z grubego, zgrzebnego materiału, w sam raz do ciężkiej roboty. Na podkoszulki wkładam marynarski golf. Wcześniej nosiłem jeszcze kamizelkę, sięgającą mi do pasa, z głębokimi kieszeniami na piersiach, idealnymi do noszenia amunicji, dopóki Batís nie uświadomił mi, że to kamizelka z wyposażenia angielskiej armii. Co za ironia losu! Ktoś ją tu pewnie zostawił w kącie przez przypadek. Może miała się znaleźć w wojskowym magazynie, który ostatecznie nie powstał. Choć była bardzo praktyczna, wyrzuciłem ją do morza. Batís postukał się w czoło.

Gimnastykuję się dwa razy w tygodniu, nawet jeśli pada deszcz, a pada prawie zawsze. Fryzjerów tu nie ma, więc sam sobie strzygę włosy na pazia. Jeśli chodzi o zarost, jeszcze się nie poddałem. Dlaczego tak mi zależy na gładkich policzkach? Dla higieny? Żeby sobie narzucić codzienną dyscyplinę? Chyba nie. Chodzi o to, że czasem granica między barbarzyństwem a cywilizacją jest cienka jak żyletka do golenia. Bujna broda Batisa doprowadza mnie do rozpacz. W ogóle o nią nie dba. Można powiedzieć, że strzyże ją siekierą. Najgorzej, kiedy Batís wystawia się do słońca, siedząc na ziemi plecami do latarni, nieruchomy jak krokodyl, z nieodłączną gadziną, która buszuje wtedy na całego w jego zaroście. Kiedyś wreszcie do mnie dotarło, że ona poluje na pchły.

Późniejsze czynności wynikają z podziału obowiązków ustalonego z Batisem. Zbieram drzewo na opał. Jest mokre i na razie nie nadaje się do palenia. Układamy je w stosy w zaciszu latarni, łudząc się, że mamy jakąś przyszłość, że doczekamy, aż wyschnie. Sprawdzam wędki na brzegu i odnoszę je na miejsce. Naprawiam i wzmacniam zabezpieczenia, uzupełniam brakujące puszkę, szukam zardzewiałych gwoździ, tłukę butelki i oszczędnie wykorzystuję szkło, wbijając je w szczeliny pomiędzy głazami w murze. Tylko ktoś, kto był w podobnej sytuacji, może zrozumieć obsesję wolnej przestrzeni między dwoma gwoździami czy dwoma kawałkami szkła. Zaostrzam też nowe kołki, przeliczam pozostałą amunicję i dzielę żywność na porcje. Na ogół Batís ze mną nie dyskutuje, kiedy proponuję na przykład, żeby na łusce pocisku wyrzeźbić gwiazdę, aby wybuchając, dotkliwiej raził szrapnelami, albo kiedy sugeruję wykucie dziur w granitowej skale wokół latarni i umieszczenie w nich małych, ostrych kołków, żeby potwory kaleczyły sobie na nich stopy. To pomysł zaczerpnięty ze strategii rzymskich obozowisk. Oczywiście nie uniemożliwi to im podchodów, ale zawsze będzie im trochę trudniej. Tyle że po tej operacji nasze otoczenie stało się jeszcze bardziej ponure.

I jeszcze zostaje mi trochę wolnego czasu przed zapadnięciem zmroku, tylko czy pojęcie wolnego czasu ma jakikolwiek sens w takim miejscu?

1 lutego

Ładny zmierzch. Dzień kończy się teatralnymi sztuczkami na horyzoncie, który najpierw wciąga światło, a potem chowa je gdzieś głęboko i przykrywa mrokiem. Gigantycznym pędzlem maluje niebo na czarno, zostawiając tu i ówdzie małe iskierki – gwiazdy. Jestem na warcie. Nagle zauważyłem, że mimo wczesnej pory już jesteśmy śledzeni przez jednego potwora-mikrusa. To przypadek, że go dostrzegłem; tak dobrze się ukrył. Gdyby nie to, że wybrał to samo drzewo, z którego ja podglądałem Batisa, na pewno bym go nie zauważył. Przygląda mi się jak sowa, której wyrosły ramiona. Siedzę na taborecie, paląc papierosa. Odkładam papierosa na poręcz i bardzo dokładnie celuję. Potwór nie kojarzy mojej pozycji z możliwością bliskiej śmierci. Dalej siedzi na drzewie i wpatruje się we mnie niczego nieświadomy. Mam jego serce na muszce. Jeden strzał. Ciało spada, strąsając deszcz liści, który je na chwilę zasłania przed moim wzrokiem. Nie dosięga ziemi – kolana zaplątały się w konarach. Kołyszą się zwisające ramiona. Jest martwy. Strzał przeszył mu pierś.

Batís mnie zwymyślał – po co było marnować kulę. Przypominam mu o potrzasku. A on? Dlaczego strzelał do unieruchomionych, czyli niegroźnych potworów? – Musimy oszczędzać amunicję – zaprotestował – to nasze życie. – To ja przywiozłem amunicję – odpowiadam – i zrobię z nią, co zechcę. – Ta idiotyczna, infantylna kłótnia zajęła nam całą noc.

2 lutego

Wczoraj w nocy potwory długo wyły w ciemnościach, ale, o dziwo, nie przystąpiły do natarcia. Próbuje rozmawiać z Batisem o naszym wcześniejszym życiu w Europie – bez powodzenia.

Trudno jest nawiązać z tym człowiekiem minimalne choćby porozumienie. Nie żeby nie chciał rozmawiać czy coś przede mną ukrywał. Po prostu zupełnie go nie wciąga banalna rozmowa o niczym. Kiedy mu opowiadam o sobie, kiwa głową. Kiedy pytam go o jego sprawy, odpowiada monosylabami, zajęty bez przerwy wpatrywaniem się w ciemność na zewnątrz. Aż wreszcie daję za wygraną. Wyobraźmy sobie dwie osoby, które śpią w tym samym pomieszczeniu i obie mówią przez sen – dokładnie tak wygląda nasz dialog.

5-20 lutego

Nic się nie dzieje. To stwierdzenie obejmuje również żabolkę, która nie śpiewa, na szczęście. Moje kontakty z nią ograniczają się do minimum. Albo się pieprzy z Batisem, albo wykonuje jakieś proste czynności, albo mnie unika, zachowując w pamięci, jak zбитy pies, nasze pierwsze spotkanie. Jeśli wychodzi z latarni i nie może mnie ominąć, przyśpiesza i stara się zachować dystans, jak spłoszony wróbelek.

Kiedy się jej czasami przyglądam, ciarki mnie przechodzą. Już na pierwszy rzut oka widać, że to gadzina czteronożna, stałocieplna, daltoniczna, nieobliczalna i bezwolna. Kiedy jednak człowiek przyjrzy się lepiej jej antropomorficznej budowie i ludzkim odruchom, trudno się powstrzymać przed próbą nawiązania dialogu. Pokusa znika w momencie, gdy ujawnia się jej kurzy mózdzek – nie patrzy, nie słucha, nie widzi, nie słyszy. Żyje we własnym świecie – pod tym względem jest podobna do Batisa.

22 lutego

Batís spał się, co mu się rzadko zdarza. Zobaczyłem go pijaniutkiego, z butelką dzinu w jednej ręce i strzelbą w drugiej. Tańczył jak Zulus na granitowej skale u podnóża latarni. Potem zaszył się gdzieś w lesie i nie było go aż do wieczora. Ja tymczasem złapałem żabolkę i zaciągnąłem ją do kąta, chociaż stawiała opór. Umierała ze strachu, nie rozumiejąc, że chciałem tylko obmacać jej czaszkę. Głowę ma doskonałą. To znaczy – jej powierzchnia jest idealnie gładka, okrągła i całkowicie pozbawiona zagłębień. Ludzkie czaszki mają różne wydłużenia i wybrzuszenia, a tu nic, wspaniała okrągłość. Czy to dlatego, że musi wytrzymać ciśnienie w głębi oceanu? Nie ma żadnych wgłębień charakterystycznych dla organicznych kryminalistów ani nierówności zapowiadających przyszłego geniusza. Niespodzianka dla frenopatologa – ani kość potyliczna, ani klinowa nie są szczególnie zaznaczone. Czaszkę ma trochę mniejszą niż Słowianki, a szósta kość jest u niej lepiej wykształcona niż u bretońskich kóz. Ściskam jej policzki i zmuszam ją do otwarcia ust. Ona nie ma migdałków, w ich miejscu widać natomiast podwójne podniebienie, które zapewne ma zapobiec zachłyśnięciu się wodą. Cierpi na anosmię i nie rozróżnia zapachów. Natomiast mając słuch wyczulony jak u psa, zdolna jest odbierać dźwięki dla mnie niedosłyszalne. Czasem wpada w zamyślenie, ma momenty omdlenia, traci kontakt ze światem i wsłuchuje się w nie wiadomo jakie głosy, melodie czy nawoływania. Błony jej dłoni i stóp są krótsze i węższe niż u samców. Może rozstawiać palce pod kątem nieosiągalnym dla człowieka. Domyślam się, że ta umiejętność ułatwia potworom pływanie. Kuksańcami daję jej do zrozumienia, że ma się rozebrać. Jej ciało

jest niezrównanym dziełem architektury. Europejskie dziewczyny padłyby z wrażenia, gdyby tylko mogły zobaczyć jej sylwetkę – ale, niestety, na salonach musiałyby pewne szczegóły swojej anatomii ukrywać w jedwabnych rękawiczkach.

Jako meteorolog wiem, że wysepka położona jest w szczególnym regionie morskim, oblewanym przez ciepłe prądy. To by wyjaśniało wiele rzeczy, poczynając od obfitej roślinności i późnego nadejścia pierwszych opadów śniegu, aż po obecność tych stworów. Gdyby występowały we wszystkich morzach i oceanach, byłyby na ich temat jakieś przekazy historyczne, coś więcej niż legenda. Czytałem kiedyś, że we krwi ryb polarnych występują substancje zapobiegające koagulacji. Myślę, że tak jest właśnie w przypadku tych stworów i że dlatego mają błękitną krew. Jak inaczej wytłumaczyć, że tak złożone organizmy, żyjąc w zimnym oceanie, nie mają ochronnej warstwy tłuszczu? Ani grama – sama marmurowa muskulatura, napięty naskórek i rozkoszne odcienie zieleni jaszczurki. Leśna nimfa w węzowej skórze. Sutki czarne, maleńkie jak guziczki. Podkładałem ołówek pod piersi, ale nie mógł się tam utrzymać – sterczały, nie opadając, jakby niewidzialna nić podciągała je do góry. Z takimi jabłuskami Newton nie odkryłby tak łatwo swojej teorii. Lepiej do nich pasuje francuska zasada, że doskonałe piersi powinny się mieścić w kieliszkach od szampana. Umięśnienie całego ciała zdradza zdrowie i energię. Tu niczego nie trzeba retuszować. Biodra tancerki, brzuch równy, idealnie płaski. Pośladki twardsze niż granit wyspy. Skóra jednolita na całej powierzchni, podczas gdy u istot ludzkich często cera policzków kłóci się z barwą innych części ciała. Gadzina pokryta jest równomiernie błonką, która ukrywa najdrobniejsze porowatości. Ani śladu owłosienia pod pachami, na czaszce czy na łonie. Uda są cudem smukłości; łączą się z biodrami tak idealnie, że żaden rzeźbiarz nie byłby zdolny odrobić równie doskonałego dzieła natury. Twarz ma egipski profil. Nos jak szpileczka, odcina się od okrągłości czaszki i oczu. Czoło wznosi się łagodnie jak górski stok. Nawet rzymscy rzeźbiarze nie umieli osiągnąć tak doskonałej linii. Szyja jak z renesansowych obrazów, wystudiowana szyja damy.

Ciągnę ją do ciemnego kąta, a ta idiotka drży ze strachu. Krowa też nie rozumie, czego chce od niej weterynarz. Zapaliwszy świeczkę, zbliżam ją i oddalam na przemian od jej oczu. Nadmiar światła powoduje zwężenie źrenic, które zamieniają się w wąską szparkę, jak u kota. Obserwując je, nie mogłem uniknąć przejmującego wrażenia – że te oczy to zwierciadła, niewiarygodnie błękitne, raczej okrągłe niż owalne. Gęsta jak rtęć płynna masa wewnątrz połyskuje niczym bursztyn. Zobaczyłem siebie tam w środku patrzącego na nią, nie, patrzącego na mnie. Zawahałem się. Można doznać zawrotu głowy, kiedy się widzi własne odbicie w oczach potwora. Może to i śmieszne, ale wstrząs jest silny. Kto sam tego nie przeżył, niech mnie nie potępia.

Nie da się jej obserwować bez zaangażowania. Kiedy jej dotykam, tracę dystans. Moja dłoń przesuwa się po jej policzku i natychmiast ją cofam, jakby poraził mnie prąd. Doznanie ciepła związane z dotykiem człowieka to jeden z elementarnych odruchów naszego gatunku – nie ma przecież zimnych ciał. A tymczasem jej temperatura jest dla mnie jednocześnie i przyjemna, i przykra. Ta istota jest zimna jak trup, z którego uszło życie.

25 lutego

Pojawili się. Jest ich wielu. Dzienny przydział to sześć naboí, a dziś musieliśmy wystrzelić osiem.

26 lutego

Batís i ja wystrzeliliśmy razem dziewiętnaście naboí.

27 lutego

Trzydzieści trzy.

28 lutego

Trzydzieści siedem.

1-16 marca

Za bardzo jestem zajęty walką o własne życie, żeby pisać. To, o czym mógłbym napisać, nie zasługuje na zapamiętanie.

18 marca

Ofensywa osłabła. Przez dłuższą chwilę obserwowałem latarnię i balkon od strony lasu. Batisa zaintrygowało moje zachowanie i przyłączył się do mnie bez słowa. Stał obok, ramię w ramię. Zastanawiała mnie jedna sprawa – chciałem spojrzeć na latarnię z perspektywy potworów, wejść w mrok umysłów tych mięsożerców, zobaczyć siebie ich oczami. Po chwili Batís się odezwał:

– Nie, nie widzę żadnych szczelin w zasiekach.

I poszedł sobie.

20-21 marca

Obserwują nas, nie atakując. Początkowo było to niepokojące, teraz tylko zagadkowe. Czasem dostrzegamy sylwetki przemykające pomiędzy drzewami lub na brzegu. Uciekają, kiedy dosięga ich snop światła.

Noc systematycznie wydłuża czas swego panowania. Otrzymujemy teraz tylko trzy godziny światła słonecznego. Reszta należy do ciemności. Słońce, wschodząc, już się z nami żegna. Jak opisać na papierze całą grozę sytuacji? W normalnych warunkach pobyt na wyspie mógłby być wspaniałym doświadczeniem, trochę nostalgicznym. Obecność potworów, które nas otaczają, przekracza granice ludzkiego pojmowania. Jakkolwiek może to dziwnie zabrzmieć, przerwy między atakami są jeszcze gorsze niż same ataki. Siedzimy pod osłoną latarni przy wątym świetle lampy naftowej, wsłuchując się w zmieszane odgłosy wiatru, deszczu i morza, i czekamy świtu, czekamy i czekamy, nie wiedząc, czy w pierw nadejdzie światło czy śmierć. Nigdy wcześniej nie myślałem, że piekło może być czymś tak prostym jak zegar bez wskazówek.

Koniec marca

Odkrywam, że Batís umie grać w szachy. Ten drobny szczegół stał się wysepką cywilizacji w zalewie ogólnego szaleństwa. Trzy partie. Dwa remisy i jedno zwycięstwo. Czy muszę odnotowywać, po czyjej stronie?

4 kwietnia

Południe. Gramy w szachy. Wieczorem zaatakowali nas sześć razy, w sześciu natarciach. Strzelam tyle, że kolba mego karabinu aż parzy. Ale to było konieczne i Batís nie wymawia mi marnowania amunicji.

8 kwietnia

Próbuję w pierwszych ruchach zaskoczyć obronę Caffona romantyczną fantazją. Ale on jest sprytniejszy. Mając silne atuty, bierze mnie na przeczekanie, a tymczasem mój atak powoli wyczerpuje się materialnie. Analogia pomiędzy charakterem człowieka i jego strategią gry w szachy jest zbyt oczywista, żeby ją w tym miejscu analizować. I tu, i tam narzuca się mentalność Batisowa czy Kafonka, jak kto woli.

Potwory narobiły hałasu poza zasięgiem światła latarni, w ciemnościach. Kłótnia padlinożerców. Potem niby rzuciły się do ataku, ale pouciekały, zanim zdążyliśmy chwycić za broń. Wszystko to było bardzo zagadkowe. Najgorszy jest brak logiki w postępowaniu stworów. Są całkowicie nieprzewidywalne.

10-22 kwietnia

Zastanawiam się nad powodami swojego przyjazdu na wyspę. Szukałem spokoju i samotności, a zamiast ciszy zastałem piekło pełne potworów. Jaki nowy sens powinienem w tym dostrzec? Jaka interpretacja byłaby prawidłowa według mojego opiekuna? Często teraz o nim myślę. Im bardziej się zastanawiam, im więcej zadaję sobie pytań, z tym większą siłą narzuca się jedna oczywistość, która przytłacza wszystko inne: potwory, potwory i jeszcze raz potwory. Nie ma czemu się przypatrywać, czego osądzać i roztrząsać.

23 i 24 kwietnia

Okropna walka wręcz, strzały z bliskiej odległości. Wnętrznosci, mózg i krew w błękitnym kolorze rozbryzgują się po całym balkonie. Przez dwie kolejne noce stwory wdrapywały się tak wysoko ponad linię umocnień, że musieliśmy je spychać kopniakami, używając też noży i siekier. W takich sytuacjach Batis ujawnia swoją dziką naturę. Kiedy podchodzą zbyt blisko, kiedy ich nogi i ramiona przekraczają ostatnią linię zasieków, odkłada karabin i wydaje okrzyk wojenny. Ja dalej strzelam i ochraniam go, stojąc krok z tyłu, a on tymczasem walczy obiema rękami, uzbrojonymi w harpun i siekiere, szarpie i tnie jednocześnie. Rani, kaleczy i zabija z niekontrolowaną energią, jego członki przemieniają się w skrzydła morderczego wiatraka. Jest istnym diabłem, zdesperowanym germańskim wikingiem, Barbarosą atakującym z pokładu pirackiego żaglowca, tym wszystkim naraz i czymś więcej. Naprawdę budzi przerażenie. Nie chciałbym mieć w nim wroga. To rzeczywiste obrazy i moje własne przeżycia, tak, to się dzieje tu i teraz, ale czuję się, jakbym był pod wpływem środków halucynogennych. Kiedy wraca słońce, zaczynam wątpić, czy na pewno jestem zdrowy na umyśle. Nasze życie w latarni jest niewiarygodne, nasze życie w latarni to najbardziej absurdalna epopeja, całkowicie pozbawiona sensu.

Przeglądam swoje notatki. Nigdy mi się nie uda oddać desperacji, jaka mną owładnęła. Jakakolwiek próba narracji będzie tylko bladym odbiciem katastrofy, którą usiłuję ubrać w słowa. Nie wyjdziemy stąd żywi, nie mam co do tego wątpliwości. Nie sądzę nawet, byśmy doczekali pierwszego śniegu.

2 maja

Wyczuwam cień wdzięczności w zachowaniu Batisa. Nie wyraża tego wprost, nie powiedział ani jednego dobrego słowa, ale widać, że rozumie związek pomiędzy moją obecnością i własną szansą na przetrwanie. Przyznaje tylko, że ataki, którym jesteśmy

teraz poddawani, przewyższają wszystko, co dotychczas przeżył w latarni. Pojedynczy człowiek nie potrafiłby stawiać czoła tej masie robactwa zbiegłego z nie wiadomo jakiego piekielnego domu wariatów. Nawet on.

Jednak długo tak nie pociągniemy. Któregoś dnia ich liczba przekroczy nasze możliwości obrony.

3, 4 i 5 maja

Bez zmian. Nie mogę zrozumieć Batisa. Jest wielka sprzeczność między niebezpieczeństwami, jakie nas osaczają, i jego stanem ducha. Im bardziej desperackie są nasze noce, tym jest szczęśliwszy w ciągu dnia. Coś jakby euforia po bitwie, zawrót głowy nad przepaścią. Nie chce przyjąć do wiadomości, że nasza latarnia to nie wieża szachowa i że przegranie jednej nocnej partii będzie naszym końcem.

6 maja

W nocy strzał Batisa zranił mnie w ramię – przedziurawił rękaw i lekko mnie drasnął. Ale Batís strzelał do potwora, który się na mnie rzucił, więc nie pozostawało mi nic innego, jak mu podziękować i usprawiedliwić jego wyczyn.

7,8,9,10 i 11 maja

Ataki coraz bardziej zaciekle. Niektórym potworom udało się wdrapać na ścianę po przeciwnej stronie latarni i teraz atakują nas z góry, gdzie jest mniej kołków. Dosłownie spadają na nas jak deszcz. Strzelamy na zmianę raz do góry, raz w dół, bo tamtędy też próbują się dostać. Teraz wychodzi nam średnio pięćdziesiąt naboju na jedną noc. Liczba potworów większa niż w najgorszym koszmarze.

Później jeszcze przykra rozmowa z Batisem. Oskarża mnie, że nie dość dokładnie naprawiam zabezpieczenia z gwoździ i szkła. Zaprzeczam, tracąc panowanie nad sobą. Pracuję dwa razy tyle co on, choćby z nudów. Nie obyło się bez wzajemnych obelg. Rzuciłem mu w twarz, że jest prymitywnym, smętnym palantem. Batís wypomina mi, że nie mam tu żadnych praw, że jestem tylko pieprzonym intruzem. Intruz – nigdy wcześniej nie użył tego słowa. Pograżamy się w tej studni na dobre.

12 maja

Jeden z potworów przywarł do prawej nogi Batisa. Natychmiast wziąłem go na muszkę, ale zdążył mu ściągnąć but, przy okazji urywając palec. Batís nawet nie jęknął, opatrując ranę.

Długo tak nie pociągniemy.

Nasilające się ataki powoli, ale systematycznie niszczyły naszą odporność. Byliśmy jak dwaj alpiniści wspinający się w rozrzedzonym powietrzu na dużej wysokości. Wszystko wykonywaliśmy mechanicznie. Jeśli odzywaliśmy się do siebie, to głosami aktorów recytujących nudnawy tekst. Zmęczenie miało teraz inną formę niż w pierwszych dniach mojego pobytu. Było to zmęczenie długodystansowe, trudniej uchwytne, nie tak rozpaczliwe, ale o wiele bardziej brutalne. Przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, jak dwaj skazańcy czekający na egzekucję. Były dni, podczas których z ust Caffona padały pod moim adresem tylko dwa słowa: *Kollege*, kiedy czegoś pilnie potrzebował, albo *zum Leuchtturm*, kiedy wieczorem przywoływał mnie do latarni.

Oto typowy obrazek z tego okresu. Budzę się. Poświęcam trochę czasu na naprawę czegoś istotnego dla naszego bezpieczeństwa. Potem, z braku lepszego zajęcia, wchodzę na górę do pomieszczenia z reflektorami. To najwyższy punkt. Widzę stąd daleki horyzont. Z nadzieją wypatruję jakiegoś zabląkanego okrętu. Na próżno. Słyszę ponure zgrzytanie prymitywnego, metalowego wiatrowskazu na szczycie latarni, którego nie mogę stąd osiągnąć wzrokiem. Jakże może mieć znaczenie, skąd wieje wiatr?

W intensywnym, różowym świetle wczesnego popołudnia nasza małeńka wysepka zarysowuje się wyraźnie na tle morza, co tylko podkreśla jej znikomość wobec ogromu najsmutniejszego z oceanów. Wierzchołki drzew rozbłyskują matowymi refleksami. Brak jest ciepła, ale nie tyle w sensie temperatury, co raczej ciepła życia, ruchu. Żadnego ptaka. Na południowym wybrzeżu widać kępę drzew, która schodzi aż do morza. Zielona kurtyna gałęzi i liści zanurzonych w wodzie tworzy złudne wrażenie brzegu tropikalnej rzeki. Dalej zarysowuje się kontur mojego pierwszego domu. Choć to niewiele ponad tysiąc metrów stąd, czuję, że dzieli mnie od tego miejsca cała wieczność. Teraz patrzę na stację meteorologiczną z perspektywy żołnierza, jak na opuszczony posterunek, ziemię niczyją, o którą bym nie walczył nawet pod dowództwem Aleksandra Wielkiego.

Jestem na balkonie. Batís chodzi na dole, krząta się. Niewiarygodne, ile różnych zajęć ten człowiek umie sobie znaleźć w latarni. Pomimo fizycznego przemęczenia, mimo duszy w letargu, zawsze ma coś do roboty. Śpi, kocha się i walczy, a na resztę czasu wynajduje sobie najbardziej bezużyteczne zajęcia. Potrafi całymi godzinami szlifować gwóźdź, z azjatycką pedanterią. Albo wystawia się do słońca, rozchełstany, z zamkniętymi oczami. Gdyby tak jeszcze otworzył usta, wyglądałby jak autentyczny krokodyl. Obojętnieje wtedy na wszystko. – Umrzemy – powiedziałem w pewnym momencie, nazywając rzeczy po imieniu. – To najwyżej umrzemy, i tyle – odpowiedział mi z fatalizmem Beduina. Czasem siada na granitowej skale i patrzy. Nic nadzwyczajnego. I to jest właśnie niezwykle: patrzy jak lunatyk, przebywa poza czasem. Drobne kołki, które kiedyś rozmieściłem wokół latarni, wystają z ziemi jak ostrzeżenie, a on nic, usadowiony strategicznie na skale, patrzy, patrzy, patrzy... Zrośnięty ze skałą, przemienia się w pogański totem. Batís żyje w stanie chronicznej śmierci. O zmierzchu alarmuje monotonnym głosem:

– *Zum Leuchtturm!* Do latarni!

Nasza apatia skończyła się któregoś dnia, kiedy przypadkiem Batís wszedł tu na górę. Chciał sprawdzić stan techniczny reflektorów, podczas gdy ja spoglądałem w kierunku zatopionego statku portugalskiego. Batís klęczał przy sprzęcie i coś przy nim majstrował, a ja, z braku lepszego tematu, zagadnąłem go o ładunek, jaki przewoził ten statek.

– Materiały wybuchowe – odpowiedział, nie odrywając się od pracy przy reflektorach.

– Na pewno? – zapytałem od niechcienia, żeby coś powiedzieć.

– Dynamit. Dynamit z przemytu – odpowiedział krótko, jak zwykle oszczędny w słowach.

Na tym nasza rozmowa się urwała, ale później, kiedy znów podjąłem temat ładunku, wyjaśnił, że o przemyśle dynamitu wie od marynarza, który przeżył. Udało im się zdobyć towar prawie za bezcen od górników w Południowej Afryce, a zamierzali go odsprzedać za astronomiczną cenę w Chile czy w Argentynie, zasilając czort wie jaką rewolucję. W magazynie latarni znalazłem kompletne wyposażenie nurka. Mój mózg potrzebował jeszcze dwóch dni, żeby połączyć te dwa fakty. Ogarniał mnie szalony śmiech na samą myśl o moim podstępie. Tymczasem kolejna noc była potworna. Tym razem bestie skoncentrowały się na drzwiach. Batís strzelał bez przerwy, prawie na oślep, ledwie nadążając, wreszcie zdesperowany poprosił, żebym zszedł na dół zabezpieczyć wejście. Tak zrobiłem. Schodząc po schodach, słyszałem przerażające wycie, które wewnątrz latarni brzmiało jak gigantyczne organy. Już chciałem zawrócić, jakoś jednak dotarłem do drzwi. Solidne żelazo wyginało się w niektórych miejscach do środka. Poprzeczne deski w każdej chwili mogły pęknąć, trzaskały za każdym uderzeniem. W sumie nie mogłem zrobić nic pożytecznego. Jeśli udałoby im się wejść, zalaliby nas swoją masą i byłoby po nas. Albo Batís przesądził wtedy sprawę liczbą zabitych, albo sami dali za wygraną.

Następnego dnia oświadczył, że chce ze mną porozmawiać. Zgodziłem się zaintrygowany; podobna inicjatywa zupełnie nie pasowała do tego człowieka.

– Po obiedzie – zaproponował.

– Po obiedzie – zgodziłem się. A potem zniknął. Myślę, że ukrył się gdzieś w lesie. Musiał być naprawdę bardzo wzburzony, skoro potrzebował samotnych rozmyślań.

Ja tymczasem zająłem się uzupełnianiem sieci sznurów i brząkałek wokół latarni. Wtedy pojawiła się żabotka. Po seksie z Batisem zapomniała wciągnąć na siebie ten okropny sweter i była naga. Nie zauważyła mnie. Skierowała się w stronę wąskiego pasma piasku na brzegu, w miejsce, gdzie było wyjątkowo dużo ostrych, wystających raf. Zmęczony monotonnym zajęciem, udałem się w ślad za nią.

Pokonałem dzielący nas dystans, skacząc po wystających z wody skałach. Było ich tutaj sporo. Wyglądały jak paszcza jakiegoś śpiącego pod ziemią olbrzyma, w której dziąsłami była plaża, a zębami skały. Pomiedzy rafami były niewielkie łąchy piasku, wystawione na działanie fal i wiatru. Znalazłem ją na jednej z nich. Leżała nieruchomo jak jaszczurka; stapała się z kamieniami, które chroniły ją przed morzem. Chwilami ta osłona okazywała się nieskuteczna i fale obmywały jej ciało. Ale dla niej woda znaczyła tyle co dla skorupiaków. Z taką samą obojętnością jak przypływ traktowała moją obecność. Siedziałem na skale na wyciągnięcie ręki; niemożliwe, żeby mnie nie zauważyła.

Kiedy się jej człowiek dobrze przyjrzał, łatwiej wybaczał Batisowi, że poszedł za głosem instynktu. Tym razem moje zainteresowanie nie miało charakteru naukowego. Ona jakoś to chyba wyczuła, bo nie uciekała, nie bała się. Przeciągnąłem ręką po jej karku.

Wilgotna skóra była śliska, jakby pokrywała ją warstwa oliwy. Żabolka nawet nie drgnęła. O dziwo, brak reakcji z jej strony wywołał u mnie nieoczekiwane jakiś zawód. Kolejna fala, broniąc jej przede mną, przykryła jej ciało pianą na kształt białego prześcieradła, które kusilo mnie, choć jednocześnie czułem się speszony. Wycofałem się, zde gustowany swoim zachowaniem. Czułem się tak, jakby obraził mnie jakiś anonimowy głos, z którym nie warto dyskutować.

Po obiedzie Batís faktycznie przemówił. Wyszliśmy z latarni, niby na spacer. W lesie podsumował naszą sytuację z plebejskim stoicyzmem, nie przyznając się do klęski:

– Może pan stąd się wydostać. Nie wiem, czy już się pan zorientował, że mamy szalupę, pozostawioną przez statek, który mnie tu przywiózł. Jest ukryta w zaroślach w małej zatoczce, niedaleko stacji meteorologicznej, trochę bardziej na północ. Już dawno do niej nie zaglądałem, ale nie sądzę, żeby żabole ją zniszczyły – interesuje je tylko nasze mięso, nic więcej. Może pan zabrać prowiant i tyle wody pitnej, ile uniesie łódź.

Przerwał, żeby zapalić. Potem, z papierosem w ustach, jakimś gestem ramion dał do zrozumienia, że nie obchodzi go przyszłość.

– Oczywiście nic panu z tego nie przyjdzie. Umrze pan z głodu i pragnienia, zanim dotrze do jakiegoś lądu czy trafi na statek, o ile wcześniej burza nie wywróci tej łupiny albo nie załatwi pana żabole. Ale nie chcę pana pozbawiać prawa wyboru.

Zyskując na czasie, też zapaliłem, stojąc przed nim nieruchomo. Było zimniej niż zwykle i obłoczki pary naszych oddechów mieszały się z tytoniowym dymem. Batís zdawał sobie sprawę, że się zastanawiam, ale nie mógł nawet przypuszczać, jaki tok przybierze moje rozumowanie.

– Myślę, że powinniśmy podjąć ryzyko – stwierdziłem. – Jak się dobrze zastanowić, nie mamy nic do stracenia. Jeśli potwory skupią swój atak na drzwiach, nic ich nie powstrzyma. Znalazłem w latarni pełne wyposażenie nurka, łącznie z pompą tlenową. A gdybyśmy tak załadowali to wszystko na szalupę i podpłynęli do statku Portugalczyków?

Batís nie nadał. Zmarszczył brwi.

– Dynamit, dynamit – wskazałem, wyciągając rękę z papierosem w kierunku statku. Batís ustawił się na baczność jak żołnierz.

– Chce pan dopłynąć łodzią do skały. Włożyć kostium płetwonurka i zejść pod wodę, żeby wydobyć dynamit. Zanurzyć się w głębinę, gdzie są żabole, i przy mojej pomocy wyciągnąć im ładunek sprzed nosa. Czy dobrze zrozumiałem? – lakonicznie streścił mój plan.

– Bardzo dobrze.

Popatrzył na mnie, pokręcił głową, podrapał się po karku. Jego uniesione brwi wygięły się w odwróconą literę „V”. Patrzył na mnie obojętnie, z politowaniem.

– Niech się pan zastanowi, Caffó – ciągnąłem. – To nie jest wcale samobójczy pomysł. Potwory zgodnie z bandyckim zwyczajem atakują tylko nocą. Czyli w dzień odpoczywają. Jeśli dobrze obliczymy czas, nasz plan ma duże szanse. A morze jest wielkie. Kto może wiedzieć, gdzie są ich legowiska? Czy mieszkają po drugiej stronie wyspy, czy dziesięć kilometrów stąd? Na statku nie ma nic, co by je mogło zainteresować, więc nie mają powodów, żeby przebywać w jego sąsiedztwie.

Kręcił głową przecząco, jakby to były brednie. Nie dawałem za wygraną:

– Co mamy do stracenia? Jesteśmy parą truposzów, które jeszcze mówią, niczym więcej. Sam pan przyznał, że dotarliśmy do krańca naszej drogi. Niech mi pan pozwoli – urabiałem go dalej – opowiedzieć sobie pewną irlandzką historię. Pewnego razu angielski

komisarz chciał aresztować chłopaka. Ten komisarz uważał, że generał Collins, przywódca buntowników, byłby niczym bez swoich podwładnych. I ten chłopak był jednym z nich, był anonimowym dowódcą, pośrednikiem między Collinsem i bojownikami. Zaczęli go śledzić dzień i noc. Pewnego wieczoru komisarz wrócił do domu po długim dniu przesłuchań i sprawdzania donosów. Był bardzo zadowolony. Nazajutrz będzie chłopaka miał w garści.

– I co? – Batis wykazał cię zainteresowania.

– Przyjaciele tego chłopaka już na niego czekali w stołowym pokoju jego domu.

– Teraz niech pan posłucha! Opowiem panu niemiecką historię – wkurzył się Batis.

– Był sobie pewnego razu biedny chłopak ze wsi. Ukrywał się to na drzewach, to pod meblami, a kiedy schodził z tych pierwszych albo wychylał się spod tych drugich, zawsze mu ktoś dokopał. Koniec historii.

– Jest mi pan potrzebny. Ktoś musi obsługiwać pompę tlenową i wyciągać skrzynki z materiałami wybuchowymi. Sam tego nie zrobię.

Aż do tej chwili słuchał mnie wyrozumiale, z uwagą, jaką się poświęca niepełnosprawnym dzieciom czy infantylnym starszkom, ale mój upór wyczerpał jego cierpliwość. Odwrócił się do mnie tyłem.

– Niech pan poczeka! – zawołałem, chwytając go za rękaw. Wyrwał się gwałtownie, rzucił kilka dosadnych przekleństw w niemieckim, którego na pewno nie używał Goethe, i poszedł sobie, mamrocząc pod nosem. Szedłem za nim w bezpiecznej odległości. Znalazłszy się w latarni, zajął się naprawą drzwi. Usuwał ślady zniszczeń, nie zwracając na mnie uwagi. Ale przecież to tylko odwlecze nieunikniony koniec. – Batis – mówiłem mu – to tak jak w szachach: bez dobrej obrony wieży sam król nie wystarczy. – I dodałem szeptem, jak w konfesjonale: – Stu zabitych. Dwieście, trzysta potworów wylatuje w powietrze. To im da nauczki, a nam uratuje życie. Wszystko w pańskich rękach, Batis.

Większe wrażenie zrobiłoby na nim brzęczenie muchy. Najważniejsze, że jakoś udało mi się przedstawić mój plan. Teraz trzeba było dać mu czas na przetrwanie sprawy. Jasne, że miałem świadomość, w co się pakuję. Ale alternatywa była jeszcze gorsza. Odpłynąć? Dokąd? Stawiać opór? Jak długo? Caffó w tej sytuacji przyjął postawę fanatycznego, niewzruszonego wojownika. A ja czułem się jak desperat, który stawia w kasynie ostatni grosz, bo i tak nic nie zyska, jeśli go zaoszczędzi.

Wziąłem trochę narzędzi, zeszywniałe na mrozie szmaty, puszki ze smołą i puste worki i poszedłem sprawdzić, w jakim stanie jest szalupa, o której wspomniał Batis – czy nie trzeba jej uszczelnić. Po drodze chciałem wstąpić na stację meteorologiczną po gwoździe i zawiasy. Na pewno przydadzą się w latarni. Wychodząc, natknąłem się na żabolkę. Skorzystałem z jej pomocy, żeby sobie ulżyć, i obciążony nią częścią ekwipunku, popchnąłem, żeby szła ze mną.

Faktycznie, idąc za wskazaniem Batisa, bez problemu znalazłem łódź. Tkwiła w małej, zarośniętej drzewami zatoczce, ukryta pod warstwą mchu, pokrywającego drewnianą powierzchnię niezdrowymi liszajami. W środku zebrała się woda, ale już na pierwszy rzut oka było widać, że to tylko deszcz. Mech ma bardzo płytkie korzenie, dzięki czemu nie powoduje butwienia drewna, a przeciwnie, chroni je jak warstwa dziegiu. Szybko wylałem wodę i oczyściłem łódź z porostów.

Tak więc miałem już w zasięgu ręki wszystko, co mi było potrzebne do podjęcia wyzwania. Ostatnią przeszkodą był Batis. Potrzebowałem jego towarzystwa, jego samobójczej determinacji. Niespodziewanie ogarnął mnie błogostan. Zatoka wielkości

zagrody miała kształt podkowy. Otwartego morza za jej prawie domkniętymi ramionami można było tylko się domyślać. Osłabione fale kołysały łódź, przy każdym uderzeniu o jej burzę wydając pusty dźwięk. Na pewno zginę, ale przynajmniej sam sobie wybiorę rodzaj śmierci. Wtedy wydawało mi się to prawdziwym przywilejem. Przez chwilę nie robiłem nic poza spokojnym czyszczeniem paznokci. Zajmując się tą kosmetyką, rozmyślałem o przeszłości.

Życie to nic takiego. Tyle tylko, że ludzkość uparła się, by urozmaicić sobie ziemską wędrówkę autorefleksją. Przyszło mi na myśl pierwsze wspomnienie z dzieciństwa i ostatnie z cywilizowanego świata. W pierwszym pojawił się port. Miałem wtedy ze trzy lata, może nawet mniej. Siedziałem przy oknie na wysokim krzeselku, w Blacktorne, w gronie dwanaściora rówieśników. Przede mną rozciągał się port, który pod względem szarości bił na głowę wszystkie inne porty świata. Ostatnim wspomnieniem też był port. Widziałem go z rufy statku, którym przypłynąłem z Europy na wyspę. Tak, życie to nic wielkiego.

Żabolka siedziała na tronie z mchu, po turecku. Splatając dłonie na kostkach, opierała się plecami o ścianę dębu. Patrzyła w nieistniejącą dal. Była tak idealnie, tak doskonale stopiona z otoczeniem, że łachy na jej ciele kłuły w oczy. No dobrze, nie oszukujmy się – wiedziałem, czego szukam, ściągając z niej sweter. Przecież wkrótce miałem umrzeć, a w obliczu śmierci moralność znaczy tyle co kurz na drodze. Nie miałem żadnych złudzeń co do bliskości własnej śmierci, a gadzina przypominała kobietę bardziej niż cokolwiek innego w moim zasięgu. Miałem umrzeć, a spazmatyczne jęki tego ciała, których wysłuchiwałem dzień po dniu, całymi miesiącami, nadwerzęły skutecznie granice mojej wrażliwości moralnej.

To, co się później stało, wstrząsnęło mną jednak całkowicie i dogłębnie. Nastawiałem się na seks szybki, brutalny i prymitywny. A tymczasem znalazłem się w oazie. Początkowo lodowatość jej skóry wywoływała dreszcze, ale bliski kontakt sprawił, że temperatura naszych ciał osiągnęła równowagę, stykając się w niezwykłym punkcie, gdzie tracą sens takie pojęcia jak zimno i ciepło. Odurzony opium wydzielającym się z jej ciała jak z żywej gąbki, przestawałem być człowiekiem. O Boże, coś takiego! Wszystkie kobiety, i te uczciwe, i te spod latarni, mogły być co najwyżej dworkami w jej pałacu, czeladniczkami nieistniejącego cechu. Czy zbliżenie otworzyło przede mną jakieś mistyczne drzwi? Nie, wręcz przeciwnie. Spółkując z tym czymś, z bezimienną gadziną, człowiek odkrywał groteskową prawdę, transcendentną, a zarazem dziecinnie prostą, mianowicie że Europa nie uświadamia sobie własnego stanu ciągłej kastracji. Jej seksualność była wolna od jakichkolwiek obciążeń. Żabolka nie była nawet wyrafinowana w sztuce miłosnej. To był tylko seks, seks, któremu oddawała się całym swoim ciałem, i kiedy to robiła, nie istniało nic innego, ani czułość, ani słodycz, ani żal, ani ból, ani sprzedajna miłość, ani oddanie kochanki. Sprowadzała ciało do jednego, najważniejszego wymiaru i im bardziej była zwierzęca w swojej sztuce, tym większą dawała rozkosz. Rozkosz czysto fizyczną, dotąd mi nieznaną.

Każdy człowiek w moim wieku, mający minimalne choćby doświadczenie, zna uczucie miłości i nienawiści. Każdy ma za sobą dni przykre i piękne epizody. Każdy poznał rywalizację, braterstwo i wrogość. Każdy przeżył jakiś sukces i wiele klęsk. W samej latarni miałem przedsmak otchłani i agonii. Jednak nie każdemu jest dane poznać szczytową namiętność. Mimo najsilniejszego pragnienia, przecucia, że musi gdzieś istnieć, blisko czy daleko, tysiące ludzi żyje i umiera, narodzi się i umrze, nie spotykając

na swojej drodze istoty, która kryje w sobie tę wiedzę, dla niej tak prostą i naturalną. Aż dotąd traktowałem przyjemności rzeczowo, jak przeciętny mieszczuch lokatę kapitału. Tymczasem ona sprawiła, że poprzez rozkosz uzyskałem samoświadomość własnego ciała, oddzielając je od siebie, zrywając jakikolwiek związek pomiędzy swoją osobą i swoim doznaniem, odczuwanym jako coś pulsującego odrębnym życiem. Wszystko ma swój koniec – to z nią również. A kiedy rozkosz została definitywnie pogrzebana, odniosłem wrażenie, że poza przyjemnością poznałem coś więcej – jeden ze szczytów ludzkiego doświadczenia.

Powoli odzyskiwałem własną tożsamość. Zamrugałem, jakby to mogło ułatwić mi przejście do stanu normalności. Potrzebowałem dobrych kilku minut, żeby znów poczuć temperaturę, kolory i zapachy otoczenia. Ona ciągle leżała na materacu z mchu. Patrzyła w niebo i leniwie rozprostowywała ramiona. Gdzie tkwi błąd?, zadałem sobie pytanie, nie wiedząc, o co ani po co pytam. Stając się znów sobą, stając się kimś, uświadomiłem sobie własną śmieszność. Poczuję się upokorzony w idiotyczny sposób. Przeżywałem coś, czego nie potrafiłem nazwać, a tymczasem ona przeciągała się jak kotka. Zabrałem sprzęt i ruszyliśmy w drogę. To znaczy ja ruszyłem, a ona szła za mną w pewnej odległości. Pragnąłem ją znienawidzić.

* * *

Kiedy wróciliśmy do latarni, Batís zmienił front. Powściągliwy jak zawsze, nie mógł otwarcie przyznać się do zmiany zdania. W niektórych sprawach był dumny i nie znosił, kiedy się go przekonywało argumentami, które wcześniej odrzucił. Podszedł jednak do mnie i zaczął rozmawiać, a to mogło oznaczać tylko jedno: że chce wrócić do tamtego tematu; chce wydobyć materiały wybuchowe. Byłem jeszcze zbyt poruszony, żeby z nim gadać. W końcu odezwałem się:

– Jest taka stara irlandzka opowieść, trochę podobna do pańskiej niemieckiej anegdoty. Pewien Irlandczyk siedzi w ciemnym pokoju. Po omacku szuka lampy. Znajduje ją, ma zapaliki, zapala, i wtedy zauważa, że naprzeciwko są drzwi. Udaje mu się je otworzyć, wychodzi, zamyka za sobą, po to, żeby stwierdzić, że znów się znalazł w ciemnym pokoju. Zapomniał zabrać lampę. Ta historia może się powtarzać bez końca, a uparty Irlandczyk będzie szukał lampy, zapalał, szukał drzwi, zamykał je za sobą, zapominając o lampie, ciągle napotykał ciemności. Aż wreszcie Irlandczyk znalazł się w pokoju, gdzie nie było już żadnych drzwi, uwięziony w pułapce jak mysz. I wie pan, co powiedział? „Na szczęście to była moja ostatnia zapalika”. – W tym momencie podniosłem głos: – Ja tak nie chcę, Batís, ja tak nie mogę! Pięćset bestii zlikwidowanych raz na zawsze, a może nawet sześćset. Lub siedemset. I co pan na to?

Jeszcze się wahał, dla fasonu. Ale już się w nim budził instynkt myśliwego.

– Niech się pan nie martwi – zażartowałem, nie śmiejąc się ani nie patrząc w jego stronę. – Jeśli nam się nie uda i nas zjedzą, wezmę całą odpowiedzialność na siebie.

Żabotka siedziała w kącie i drapała się między nogami.

Według naszego rozeznania potwory powinny być najmniej aktywne wcześniej rano. Doszliśmy do tego wniosku na podstawie naszego trybu życia, który był lustrzanym odbiciem ich rytmu dnia – w końcu to tamci go nam narzucili, a nie odwrotnie, więc można było oczekiwać jakiejś symetrii.

Załadowaliśmy się do szalupy po nocy równie niespokojnej jak poprzednie. Znów nasze życie wisało na włosku. W ramach strategii obronnej po południu podziurawiliśmy granitową skałę jak sito i najeżyliśmy teren przed wejściem kołkami. To ostatnia rzecz, jaka pozostała do zrobienia, choć właściwie nie wiedzieliśmy, czy to ich zniechęca, czy wręcz przeciwnie. Wieczorem wznowili natarcie na drzwi. W przeczuciu, że może to być rozstrzygająca bitwa, na nasze zbrojenie terenu odpowiedzieli zmasowaną siłą, lekceważąc straty. Tworzyli oślizłą masę, która ryczała i biła w drzwi głowami, nogami i pięściami. Pozostało nam już tylko poświęcić ostatnie butelki. Wypełniliśmy je mieszanką rumu, smoły, ropy i wszystkich łatwopalnych substancji, jakie mieliśmy pod ręką. Szyjki owijaliśmy watą zamoczoną w alkoholu. Batís zapalał i podawał, a ja rzucałem. Rozbijając się, wybuchały płomieniem. Mokre ciała nie zajmowały się tak łatwo ogniem, ale przynajmniej przstraszyli się na tyle, żeby zniknąć.

Chociaż nie dali nam się wyspać, zachowaliśmy nadzwyczajną jasność myślenia. Musieliśmy dwukrotnie pokonać drogę do szalupy, żeby przenieść cały sprzęt, na który złożyła się pompa tlenowa, kauczukowy kostium płetwonurka, rynsztunek z brązu, specjalne buty z ołowianym balastem, liny, przenośny kołowrót, uzbrojenie i amunicja. Wiosłowaliśmy, siedząc tyłem do skały, przy której rozbił się statek. Wyglądała jak babka drożdżowa. Od czasu do czasu odwracałem głowę, ale obiekt obserwowany z takiej perspektywy oddala się, zamiast się przybliżać. Marne sto metrów to była dla nas wieczność. Każdy przypływ mógł coś w sobie kryć, każda fala mogła być zasadzką. Ciągłe wydawało mi się, że widzę okrągłe czaszki wyłaniające się z wody, to tu, to tam. Dryfujące pnie, unoszone przez fale, w moich oczach miały kontury potwora. *Va bene, va bene, va bene*, przyczepił się do mnie włoski refren. Nucilem bez przekonania, licząc na kojące działanie muzyki. – Zamknij pan tę pieprzoną gębę – zaprotestował Batís, wiosłując u mego boku jak galernik. Szarość przytłaczała powierzchnię oceanu jak cmentarny kamień. Z boku dosięgła nas wysoka fala i opryskała wodą. Poczulem smak soli na ustach. Strach i pośpiech sprawiły, że nie wymierziliśmy dobrze i z całym impetem wpadliśmy na skałę. Przed niechybną katastrofą uchronił nas wystający kamienny próg, na którym raptownie wylądowała nasza szalupa. Wysiedliśmy na chropowatej, zwietrzałej skale. Znaleźliśmy się na śmiesznie małej powierzchni, przypominającej labirynt między dziurami, w których gromadziła się lodowata woda. Było ślisko. Raz po raz musieliśmy pomagać sobie rękami i nogami, żeby nie upaść.

Nasz plan był następujący: od razu dawało się zauważyć, że skała schodzi pod wodę pod łagodnym kątem, tworząc mnóstwo łatwych do wykorzystania załomów. Miałem zejść jak podwodny alpinista po skalnej ścianie od strony zatopionego wraku, podczas gdy do usadowionego na kamiennej półce Batisa należało pompowanie tlenu i sukcesywne wyciąganie zamocowanych przeze mnie skrzynek. Dzieliliśmy ryzyko i wysiłek: ja byłem tym ryzykantem, który schodził do piekieł; do niego należała część wcale nie łatwiejsza – obowiązek utrzymania stałej cyrkulacji tlenu i wyciągnięcie na powierzchnię materiałów

wybuchowych. Pompa ręczna musiała pracować w ciągłym, równomiernym rytmie. Jeżeli tlenu będzie za mało, to się uduszę; jeśliby pompował za mocno, gwałtowny wzrost ciśnienia może rozsadzić mi płuca. Poza tym miał to robić tylko jedną ręką – drugą obsługując kołowrót, kiedy do drugiego końca sznura zostanie przywiązana skrzynka z dynamitem. Dla ułatwienia zainstalowaliśmy kołowrót obok pompy. Teraz pozostawała wiara w umiejętność koordynacji ruchów Batisa. Ja mogłem już tylko westchnąć.

Statek, przechylony sterburtą o jakieś trzydzieści stopni w prawo, wbił się w skałę dziobem. Z wody wynurzał się jego dziób, wycelowany w niebo. Kadłub przywarł do skalnej ściany tak mocno, jakby był przylutowany stalowymi nitami. Ładunek musiał opaść na dół, do części rufowej. Batís, który widział, jak statek tonął, twierdził, że rufa pękła na pół, jak przecięta puszka. Miałem nadzieję, że szczelina okaże się wystarczająco szeroka, bym mógł się przez nią przecisnąć. Oczywiście wzięliśmy też pod uwagę prostszy wariant – wejść przez pokład i przedostać się do ładowni górnymi pomieszczeniami. Odrzuciliśmy go jednak z obawy, że rdza zdążyła już skorodować zamki w drzwiach, tarasując drogę. Na dodatek błędząc w zakamarkach wśród połamanych sprzętów, ryzykowałbym uszkodzenie rury doprowadzającej tlen. Jedyнным wyjściem było okrążenie statku aż do rufy, gdzie musiał tkwić dynamit.

Włożyłem kostium płetwonurka i buty z ołowianym balastem. Przysiadłem na szalupie. Batís pomógł mi wciągnąć skafander – rynsztunek z brązu chroniący klatkę piersiową i plecy. Na to hełm, który trzeba było przykręcić do skafandra. Już się do tego zabierał, ale powstrzymałem go na moment.

– Niech pan spojrzy – powiedziałem.

Padał śnieg. Zaczęło się od drobnutkich iskierek, które rosły w oczach, aż przybrały formę dużych, okrągłych płatków. Spadały i topiły się w wodzie. Cóż bardziej pospolitego i zwyczajnego niż śnieg nad morzem, a jednak wywołał we mnie szczególne uczucie. Śnieg narzucał milczenie, działał jak batuta dyrygenta orkiestry. Morze, jeszcze przed chwilą wzburzone, uspokoiło się nagle na rozkaz wydany przez niewidzialnego pogromcę. Świat, oglądany przeze mnie może już ostatni raz w życiu, przedstawiał mi się z całym swoim skromnym i banalnym pięknem. Rozpostarłem dłonie. Spadające na rękawicę płatki topiły się natychmiast. Przypomniała mi się Irlandia. Czym była Irlandia? Może tylko jakąś zapomnianą melodią. Pomyślałem o moim opiekunie. A także o pewnym bezimiennym starcu, dobrym człowieku, który kiedyś dawno temu udzielił mi schronienia przed Anglikami, nie zadając niepotrzebnych pytań. Taki był mój bilans. Napięcie policzków zdradzało, że zbiera mi się na płacz.

Batís patrzył w niebo, trzymając hełm w rękach. Obserwował uważnie, wreszcie odetchnął:

– To tylko śnieg.

– Tak, to tylko śnieg – odpowiedziałem. – Tylko śnieg. Niech pan mi wreszcie włoży ten hełm, dnia nam ubywa.

Batís przykręcił hełm i przymocował rurę pompy tlenowej do otworu w skafandrze. Ja trzymałem dwie liny – jedna miała mi służyć do porozumiewania się z Batisem, do drugiej należało przymocowywać skrzynki.

– Tak jak się umawialiśmy – przypomniałem Batisowi. – Jedno szarpnięcie oznacza, że wszystko w porządku, dwa – że już przymocowałem skrzynkę do grubej liny. Jeśli pociągnę trzy razy, pozostaje panu tylko odciąć rurę siekierą i brać nogi za pas.

Uregulowałem ustawienie okrągłych wizjerów: jeden dokładnie z przodu, dwa po bokach. Upewniliśmy się, że rura zapewniająca dopływ powietrza jest drożna, i można było schodzić pod wodę. Morze połknęło mnie z zimnym dreszczem. Kiedy ochłonałem, byłem już pod powierzchnią. Skała miała występy, po których schodziłem jak po schodach, szybko pokonując metr za metrem. Co chwilę odwracałem głowę, ale nie widziałem przez boczne szybki nic szczególnego. Za mną był niezmierny ocean; przede mną, przed samym nosem, tylko martwa skała pozbawiona śladów wegetacji.

Wreszcie skończyły się stopnie, ale się tym nie przejąłem. Uzgodniliśmy z Batisem, że zostawimy zwoje rury luzem, żeby nie stawiała oporu, gdyby okoliczności mnie zmusiły do skoku w dół. Uprzedziłem Batisa jednym szarpnięciem liny, że wszystko jest pod kontrolą, i zacząłem opadać. Balast butów pociągnął mnie łagodnie swoim ciężarem, aż wylądowałem na zgiętych kolanach. Z dna uniósł się muł, sięgając mi aż do pasa. Nic takiego, to tylko cienka warstwa piasku na gładkiej, wygodnej, lekko nachylonej powierzchni. Można było po niej chodzić jak po łące. Odczuwałem jedynie naturalny opór wody, spowalniający każdy z moich ruchów.

Jestem w świecie ciszy. Hełm nagłaśnia mój oddech, pociąganie nosem, zduszone westchnienie, które wymknęło mi się mimo woli. Muszę nad sobą zapanować, nie podsycać własnego lęku. W prawej ręce trzymam obie liny, w lewej nóż. Rozglądam się na boki. Żadnego potwora, nic. Widoczność ogranicza się do trzydziestu-czterdziestu metrów, może nawet mniej. Po mojej prawej stronie sterczy kadłub statku, jak brzuch zdechłego wieloryba. Przede mną wielka pustka. Nieokreślone cząstki ciemnej materii unoszą się w przestrzeni niby płatki czarnego śniegu. Wodorosty w kształcie serpentyn stoją prawie nieruchomo na granicy dwu światów. Żadne drzwi nie otwierają ogromnej, otwartej przestrzeni; żadna granica nie zamyka strefy ciemności. Odwrotnie niż w katolickiej doktrynie, tu wejście do piekła nie było raptowne; piekło wciągało powoli, niezauważalnie.

Poruszałem się w nieokreślonym miejscu, gdzie błękit przechodził w czerń, która nie zdradzała obecności wodnych roślin. Strach wszystko powiększał. Mogli się pojawić w dowolnym momencie, z dowolnej strony. Nie myśl o tym, uspokajałem sam siebie, nie myśl o potworach, skup się na pracy. Mało było w tej strategii realizmu, więcej zwykłego rozsądku.

Zbliżyłem się do rufy. Istotnie, uderzenie przecięło stal, tworząc w kadłubie sztuczną grotę. Statek był lekko przechylony w prawo. Katastrofa spowodowała przesunięcie całego ładunku, który wypadł przez przedziurawioną blachę. To był szczęśliwy zbieg okoliczności – nie musiałem wchodzić do ładowni. Niewielkie, prostokątne, metalowe kontenery rozsypały się wokół dziury. Oczyszcziłem rękawicą wierzch najbliższego z nich. Pojawił się wypisany dużymi literami napis: UWAGA! NIEBEZPIECZNY ŁADUNEK! Musiałem jedynie zawiązać pętlę na grubej linie, pociągnąć dwa razy linkę sygnalizacyjną, a resztę pozostawić Batisowi, który wyciągał ciężary z istic germańską starannością. Skrzynki wędrowały w górę ponad moją głowę. Później Batis rzucał tę samą linkę, obciążoną ołowianym balastem, żeby nie dryfowała. Spadała obok mnie, w niewielkiej odległości, gotowa do ponownego użytku.

Wykonywałem swoje zadanie z zapalem górnik, aż do momentu, kiedy Batis dał mi znak, szarpiąc łączącą nas linkę sygnalizacyjną. Początkowo nie rozumiałem, o co mu chodzi. Czyżby groziło nam jakieś niebezpieczeństwo? Nic przecież nie sugerowało obecności potworów. Nie, to nie było to. Na pewno mieliśmy już za dużo skrzynek. Ale

ogarnęła mnie pasja poszukiwacza złota. Jeszcze jedna, jeszcze tylko jedna skrzynka – błagałem w duchu Batisa. Nie zwracając uwagi na sygnały, przywiązałem do liny następny ładunek. Owszem, Batís go wyciągnął, ale tym razem lina wróciła do mnie z węzłem obok balastu, uniemożliwiającym jej ponowne wykorzystanie. To był sygnał, żeby dać już sobie spokój. Zmobilizowałem cały rozsądek, jaki mi jeszcze pozostał, i dałem się przekonać.

Choć może to zabrzmieć absurdalnie, teraz nastąpiły najgorsze chwile mojej misji. Powiadają, że żaden żołnierz nie chce być ostatnią ofiarą wojny. To spostrzeżenie kryje w sobie prawdę, może niezbyt odkrywczą, ale za to głęboko ludzką. Byłoby doprawdy godne pożałowania zginąć po tak spektakularnym sukcesie, po zejściu na głębinę. Niestety, dopiero w tym momencie odczułem ciężar mojego skafandra. Aż do tej chwili nie czułem otarcia szyi w miejscu, gdzie dotykała metalu. Zbliżałem się do skały, powłócząc obolałymi nogami, ruszając się powoli jak w dzieciennym koszmarze. Oddychałem jak napędzany jakimś ukrytym dynamem. Chciałem się stąd wydostać. Ale nie byłem zdolny. Dwa skoordynowane umysły nie przewidziały jednej banalnej rzeczy – że mój skok w próżnię uniemożliwi mi powrót tą samą drogą. Przedemną wznosiła się skała jak ząb przeżarty próchnicą. Nie mogłem się na nią wspiąć, a Batís, zajęty pompowaniem, nie poradziłby sobie z moim ciężarem, mając tylko jedną wolną rękę. Jak szybko się pojawiają? Przerazenie i fantazja podsycaly się nawzajem. Ten płynny ogrom był naturalnym, zdeklarowanym wrogiem. Batís widział tylko niewytłumaczalny ruch rury tlenowej, miotającej się w różne strony. Kręciłem się w tę i w tę, szukając dogodnego miejsca do wspinaczki. Zrozumiałem, że mam szansę jedynie, jeśli wykorzystam kadłub statku jako punkt oparcia. Ale i tak to było wyzwanie dla prawdziwego alpinisty. Przy byle dotknięciu odrywały się od skały zwietrzałe kamienie. Poślizgnąłem się i moje ciało osunęło się pięć, dziesięć metrów w dół, w tym isticie dantejskim opadaniu.

Znów byłem na dnie. Po prawej dostrzegłem wgłębienie w skale. Coś się tam poruszyło, wydawało mi się, że dostrzegam jakiś kształt. Nie, nie, nie, to nie mogą być oni, powtarzałem sobie. Nie miałem nic do stracenia, stawiając na optymizm. Nie pozostawało mi nic innego, jak skupić się i podciągać stopniowo w górę, nie patrząc w bok i nie zastanawiając się, kiedy niespodziewany atak pozbawi mnie nogi czy ręki. Wspinałem się jak marynarz po sznurowej drabinie, szukając stabilnego punktu oparcia dla trzech kończyn, zanim zaryzykowałbym kolejny ruch. Już widziałem nad sobą powierzchnię, już przeświecała sylwetka Batisa, który mi dodawał odwagi, machając do mnie wolną ręką. Wtedy poczułem, że posikałem się w spodnie kombinezonu.

Caffó skoczył i chwycił mnie pod pachami, żeby mnie wyciągnąć z wody. Chciał też mi pomóc przy odkręcaniu hełmu, ale odpędziłem go machnięciem ręki:

– Szybko, niech pan natychmiast ładuje dynamit na łódź, piorunem!

Jak tylko ściągnąłem kombinezon, przyłączyłem się do ładowania skrzynek na szalupę. Była tak obciążona, że ledwie wystawała ponad powierzchnię wody, a mimo to już za chwilę triumfowaliśmy, bezpiecznie lądując na wyspie. Przycumowaliśmy łódź w pobliżu latarni, na małej plaży pełnej otoczków. Już tam Batís niecierpliwie otworzył kilka kontenerów, podważając wieko trzonkiem siekiery. W każdym było siedemdziesiąt lasek dynamitu, suchutkich i na oko zdatnych do użytku.

Owładnęło nami jakieś niewytłumaczalne szaleństwo. Popatrzyliśmy na siebie. Śnieg, coraz gęstszy, pokrywał nasze włosy białą patyną. Patrzyliśmy to na siebie nawzajem, to na dynamit, i czytaliśmy w swoich myślach. Obywając się bez słów,

jednomyślnie doszliśmy do tego samego wniosku. Mieliśmy jakieś pięćdziesiąt skrzynek dynamitu. Z takim materiałem dokonamy prawdziwego zniszczenia. A gdyby ich było sześćdziesiąt? A czemu nie osiemdziesiąt albo sto? Naszym przeciwnikom obce było uczucie nienawiści. Byli częścią przyrody, stanowili taki sam żywioł jak huragan czy cyklon. Natomiast nam, teraz, kiedy mieliśmy w zasięgu taką siłę, kiedy byliśmy gotowi do odniesienia krwawego zwycięstwa, uderzyło do głowy autentyczne okrucieństwo. Przypuszczam, że zwariowaliśmy, zwariowaliśmy do tego stopnia, że byliśmy świadomi własnego stanu. Mówiłem i nie wierzyłem własnym uszom, słysząc samego siebie:

– Skończmy z nimi. Trzeba zniszczyć ich wszystkich. Zrobmy to!

– Tak, trzeba z nimi skończyć! Zniszczyć ich wszystkich! Zrobmy to! – powtórzył Batis jak echo i znów siedzieliśmy w szalupie, jakby ta druga samobójcza wyprawa była zaplanowana od początku, jakbyśmy wysyłali tam w naszym zastępstwie kogoś całkiem innego.

Wróciliśmy na skałę, włożyłem kombinezon i zanurzyłem się, szybko i z wprawą powtarzając czynności, teraz doskonale skoordynowane. Nie było ryzyka błędu. Znów znalazłem się przy rufie portugalskiego statku, bezbronny w krainie potworów. Ale odnalazłem skrzynki, droższe niż perły. Wyciągnęliśmy następne trzy, cztery, pięć. Dziesięć, dwadzieścia. Choć bardzo dokładnie przeczesywałem muliste dno w poszukiwaniu następnych, już ich więcej nie było. Pociągnąłem jeden raz linkę na znak, że wszystko w porządku.

Kadłub otwierał się przede mną jamą wygryzioną w burcie zębami giganta. Wejście do środka nie nastęczało żadnych problemów. Martwiłem się tylko o rurę, żeby ciągnąc się za nią, nie wypadła z bezpiecznego kanału i nie zaczepiła o ostry kant, który mógłby ją przebić. Tak, to była ładownia, wypełniona kontenerami. Brałem jeden za drugim, przywiązywałem do grubej liny i wynosiłem na próg. Tam dawałem znak Batisowi, że już może wyciągać, i wracałem do roboty.

Tym sposobem zdobyliśmy jeszcze piętnaście skrzynek, a może nawet dwadzieścia czy więcej. Zmęczyłem się i musiałem na chwilę przerwać. Ładownię rozjaśniało blade światło zmierzchu. Całe to żelastwo wokół wywoływało uczucie klaustrofobii. Sprowadziło mnie tu szczerze bohaterstwo, a teraz pogrążałem się w statku, w skafandrze, we własnym lęku. Do tego dochodziło jeszcze ciśnienie wody. W tak otchłannym miejscu znalazłem się pierwszy raz w życiu. Ściany wyprodukowane przez przemysł metalurgiczny, urządzenia zniszczone przez wodę, pozbawione tożsamości przez rdzę. Nie, to nie mogło być zaprojektowane z myślą o szczęściu człowieka. Ołowiany balast butów w kontakcie ze stalowym podłożem wydawał nieprzyjemny zgrzyt, rezonujący fałszywie w tym otoczeniu. Z ładowni prowadziły w głąb statku owalne drzwi. Tam je zobaczyłem, po drugiej stronie.

Wychylały głowy i obojętnie lustrowały mnie wzrokiem. Od jak dawna mnie śledziły? Krzyknąłem wewnątrz hełmu. Nie mogłem uciekać. Byłem na ich terenie, poruszały się tu z niezwykłą łatwością. Spadły na mnie ze wszystkich stron. Ciąłem wodę wokół siebie nożem, w śmiesznym odruchu obrony starając się utrzymać je na dystans.

Ale kiedy już uznałem się za martwego, nastąpiło zmartwychwstanie. Szkło w moich wizjerach powiększało rozmiary. W rzeczywistości te potwory nie miały nawet pół metra. Widziałem ciała drobne i niskie, naznaczone na grzbiecie srebrnoszarą smugą, która potrzebowała jeszcze wielu lat, żeby ściemnieć, jak na ciałach ich rodziców. Podobnie jak u ludzi, czaszka była częścią ciała, która najszybciej uzyskiwała właściwą

wielkość, co czyniło z nich prawdziwych głowaczy na cienkich nóżkach. Grymas twarzy przypominał trochę uśmiech delfina. Poruszały się jak stado ptaków, z zadziwiającą szybkością. Z łatwością uchylały się od ciosów, dotykały mojego stroju, szczypiąc paluszkami, opukiwały hełm i uciekały. Być może zmylił je ten strój, mój skafander, może wzięły mnie za dalekiego krewniaka. O Boże, uświadomiłem sobie, one tylko się bawią. Tak, bawiły się na tym złomowisku jak w ogródku, a ja byłem intruzem pobudzającym ich ciekawość. Powiedziałbym, że szczebiotały, gdybym miał nazwać w jakiś sposób ich entuzjastyczne głosy. Moja obecność musiała być w tym miejscu nie lada nowiną. Spodziewałem się rzeźni, a zastałem podwodny balet.

Nie wiem, ile czasu spędziłem w ich towarzystwie. Wbrew wszelkim obawom ich obecność rozświetlała błogosławionym światłem to cmentarzysko. To był pierwszy moment bez lęku od czasu mojego przybycia na wyspę. Czułem się wolny od trwogi; zrzuciłem ją z siebie jak ciężkie brzemię. Teraz dopiero poczułem, jakim ciężarem był utrzymujący się nieustannie uporczywy stan zagrożenia. Całymi miesiącami, noc za dniem, dzień za nocą, ciągle czułem lęk, wszystkie odmiany lęku, jego nieodłączne towarzystwo. Dlaczego teraz – pytałem sam siebie – właśnie teraz, we wnętrzościach piekieł, opuściło cię przerażenie? Nie znalazłem odpowiedzi, aż złapałem któregoś z maluchów za ramię – one też nie czuły lęku. To przecież był potwór, czy tylko zadatek na potwora, w każdym razie zasługiwał na to, żeby mu natychmiast skrócić kark. Ale on nie czuł lęku, tylko łaskotanie. Śmiał się. Tak, śmiał się tak, jak można śmiać się pod wodą – ustami, brwiami, oczami, rączkami, pocierając miejsce, w którym zetknęły się nasze ciała. Podwodny śmiech brzmiał jak dzwonek przy drzwiach. Kiedy ja się śmiałem po raz ostatni? Wypuściłem go, ale zamiast uciekać, pozostał w miejscu, utrzymując się przede mną jak motyl w locie i zanosząc się śmiechem. Jego rączka potarła szkło wizjera paluszkami embriona. Dotknął szybki, a ja nie mogłem uwolnić się od wspomnienia tych szarych paluszków przez wiele, wiele dni.

Opuściłem statek. Towarzyszyły mi w mojej wspinaczce. Przyczepione do mego ciała, skubały mnie z przyjazną natarczywością, mniej więcej tak, jak gryzą w zabawie małe kocięta. W miarę jak się zbliżałem do powierzchni, było ich coraz mniej. Kiedy wystawiłem głowę, Batís aż podskoczył.

– Myślałem, że zdecydował się pan tam zostać! *Mein Gott*, co się, do licha, stało?

Nie mogłem się utrzymać na nogach. Kiedy pomógł mi ściągnąć hełm, zobaczył nieprzytomną twarz zdyszanego posłańca, który tak osłabł, że zapomniał, co ma do przekazania.

– Żabole? – zapytał podenerwowany.

– Nie, małe delfinki!

Batís cofnął się o krok. Obserwował mnie tak, jakby usiłował ocenić stan mojego zdrowia psychicznego.

– To syndrom oszołomienia głębokością – zdecydował. – Zaraz panu przejdzie.

Ale on też zaczął się zachowywać tak, jakby mu się udzieliło moje rzekome delirium. Ze zduszonym krzykiem chwycił za strzelbę przewieszoną przez ramię. Siedząc w kucki na skale, wyciągnąłem rękę, żeby go powstrzymać:

– Niech pan nie strzela! Na litość boską, Caffó, niech pan nie strzela!

Przez moment zdezorientowany Batís taksował na zmianę wzrokiem to mnie, to znieruchomiałego potwora.

– Niech pan nie strzela! – nalegałem, siedząc na skale. – To tylko dziecko.

Batis nie zdążył. Kiedy już wymierzył, powierzchnia morza znów była gładka.

Kiedy znów stanęliśmy na lądzie, zastaliśmy całkiem nowy pejzaż. Śnieg pokrywał drzewa, przyginał gałęzie białym ciężarem. Zatarł drogę przecinającą las, zasypał ślady. Nasze stopy deptały nieskazitelną biel śnieżnego dywanu. Powszednia ponurość niegościnniej ziemi, na którą byliśmy skazani, przemieniła się pod warstwą puchu w kolorze kości słoniowej w niewyobrażalną słodycz. Śnieg kamuflował ślady walki, otulał granitową skałę, stożkową kopułę naszej wieży. Sterty śmieci pięćdziesiąt metrów za latarnią znikły teraz z naszego pola widzenia pod warstwą białego lukru. Nawet przybrzeżne rafy skalne wystawiały nad wodę śnieżne czapy, które morze oblizywało językiem fal. Byłem jak w transie. Jeszcze nie zdążyłem się otrząsnąć z uczuć, jakie wzbudziło we mnie potomstwo potworów, a tu znów śnieg boleśnie zranił mnie łagodnością. Ciałem uczestniczyłem w wyładowywaniu materiałów wybuchowych, ale reszta mojej osoby była nieobecna.

Batis nie próżnował. Jego wojenny zmysł ustalał już strategię. Posegregowaliśmy i ułożyliśmy amunicję. Dynamitu było tyle, że moglibyśmy wysadzić w powietrze pół Londynu. W magazynie znaleźliśmy kilkaset metrów nieprzemakalnego lontu i trzy detonatory – kwadratowe pudełka z dźwignią w kształcie litery T. Należały do obowiązkowego wyposażenia w tego rodzaju miejscu. Zgodnie z regulaminem w przypadku wojny miały posłużyć do zniszczenia latarni. Przez czyjeś niedopatrzenie lub niekompetencję lont i detonatory zostały, porzucone w kącie magazynu.

Inicjatywa Batisa nie wykraczała poza ten etap. Teraz potrzebna była moja pomysłowość i moje doświadczenie z konspiracji. Zawsze mogliśmy wykorzystać amunicję pojedynczo, jak granaty, ale moje plany sięgały dalej. Lont i detonatory były naszym dodatkowym atutem. Moja wizja polegała na stworzeniu trzech morderczych linii frontu.

Pierwsze ładunki należało umieścić tuż przy granitowym fundamencie latarni. Ta linia obrony, w najbliższej od nas odległości, ze względów bezpieczeństwa była najmniej korzystna – nie będąc artylerzystami, nie mogliśmy dokładnie oszacować siły wybuchu i ryzykowaliśmy, że nadmiar dynamitu może wysadzić latarnię w powietrze.

Druga linia frontu miała przebiegać dwadzieścia metrów dalej, na brzegu lasu. Tworzyły ją pociski zagrzebane w śniegu, połączone między sobą lontem. Logika wskazywała, że na tej linii najlepiej było umieścić główną siłę rażenia, bo właśnie tam, w połowie drogi między lasem a granitową skałą, zbierze się najwięcej potworów. Trzeba zaminować cały ten teren, od brzegu do brzegu, równo rozkładając amunicję do małych dołków wydrążonych w ziemi.

Trzecia linia, ukryta między drzewami, miała przebiegać jeszcze dalej, już wewnątrz lasu. Była linią strategiczną, którą mogliśmy wykorzystać w razie potrzeby jeszcze przed wysadzeniem drugiej, gdybyśmy chcieli zmienić kierunek ucieczki potworów, kierując je w stronę drugiej linii ognia. Można też ją było zachować na koniec i zablokować drogę nielicznym uciekinierom, którym udałoby się ująć z życiem. Każda linia miała swój własny detonator, działający niezależnie od innych.

Pracowaliśmy przez cały dzień. Łączaliśmy pociski po dwa, przywiązywaliśmy je razem do lontu i zakopywaliśmy, by kilka metrów dalej powtórzyć tę samą operację. Po ułożeniu każdej linii trzeba było jeszcze metr po metrze wkopać do ziemi lont i pociągnąć

go do latarni, a tam puścić wzdłuż ściany aż do balkonu, na którym były detonatory. Żabolka też nam pomagała, nie wiedząc, w czym bierze udział. Napełniała piaskiem z plaży worki, a my przymocowywaliśmy je do balustrady balkonu, tworząc z nich barykadę. To miała być nasza osłona przed przewidywanym deszczem szrapneli. Dzięki katorżniczej pracy tuż przed zmierzchem zakończyliśmy wspaniałe dzieło godne wojskowych saperów.

– Dziś wyprodukujemy wiele sierot – pomyślałem głośno.

– I o to właśnie chodzi – odpowiedział Batís.

Noc nie dała na siebie długo czekać. W przeciwieństwie do tamtych. Po tylu dniach stawiania oporu, kiedy czuliśmy już nieuchronność naszej agonii, teraz trudno nam było uwierzyć w ich nieobecność. W miarę upływu czasu moje zniecierpliwienie przechodziło we wściekłość. Gdzie oni są, gdzie się podziali, gdzie, u diaska, się podziewają – rzucałem pytania w przestrzeń. Batís był czujny, ale bardziej flegmatyczny. Ograniczał się do podążania lufą remingtona za światłem latarni. Przeczesał ciemność, snop światła wydobywał z niej tylko niewinne płatki śniegu. Ani widu, ani słychu, żadnego śladu na śniegu poza odciskami naszych butów, nic nie zakłócało bieli pejzażu. Pociły mi się ręce. To zdejmowałem, to wkładałem rękawice, strzepując śnieg z wąsów. A może to śnieżycy miała wpływ na zmianę ich obyczajów?

Następna noc przyniosła odmianę, ale różnica w sumie była niewielka. Zobaczyliśmy kilku z nich, a raczej usłyszeliśmy. Dotarło do nas ich żabie kumkanie, spoza granicy ciemności. Pierwsze promienie słońca pozwoliły nam ich dostrzec – dwóch czy trzech, no, może czterech, na pewno nie więcej niż pięciu. Kręcili się na skraju lasu, ani myśląc zbliżyć się do nas. Nie warto było marnować na nich kuli, a co dopiero dynamitu. Tak samo było w ciągu następnych nocy. Byli, a jakby ich nie było.

Trwaliśmy w zawieszeniu, a tymczasem niesforne myśli roily się w mojej głowie jak muchy nad gnojem. Podchodziłem do kolejnych linii ognia, tam gdzie były zakopane ładunki, sprawdzałem lont. Klęcząc, analizowałem ślady na śniegu i niczym odkrywca nowego ładu starałem się dociec, jaka logika powodowała tymi drapieżnikami. Może wyczuli dynamit? Może całe stado zwierzyło nowe niebezpieczeństwo, groźniejsze niż strzelby, z którymi już się oswoili? Czasem przyłapywałem sam siebie, jak zasapany z przejściem śledzę labirynt pozostawionych śladów. A jeśli byli sprytni jak lisy? Ale nie, ładunki pozostały nienaruszone. Zresztą wszędzie, gdzie się dało, zabezpieczyliśmy lont, umieszczając go we wszystkich możliwych rurkach, jakie tylko udało nam się znaleźć w latarni. Nie naruszyli żadnej z naszych misternych konstrukcji.

Podczas tego stanu zawieszenia zdarzyło mi się znowu kochać z żabolką, jak zwykle pod pretekstem pomocy w przenoszeniu złomu. Nie mając nic lepszego do roboty, zabijałem czas, maskując ładunki osłoną ze złomu, gwoździ i kamieni – wszelkiego rodzaju drobnymi, kanciastymi przedmiotami, jakie były pod ręką. Stacja meteorologiczna była pod tym względem idealna. Dosłownie rozłożyliśmy ją na czynniki pierwsze, żeby wzbogacić naszą ofensywę. A kiedy już wypełniliśmy worki, albo jeszcze przed robotą, kładłem żabolkę na łóżku, żeby ją posiąść.

Miłość i filozofia mogą walczyć abstrakcyjnymi argumentami, ale na wojnie i w seksie bezpośrednie starcie jest nieuniknione. Posiadałem żabolkę, gwałcąc ją za jej przyzwoleniem. Moje ramiona nie wystarczały, by objąć całe to ciało, całą powierzchnię jej niesamowitej skóry. Traktowałem ją jak nieużyteczne zwierzę, które trzeba dobić. Po każdym stosunku czułem prymitywną nienawiść do niej, do tego zwiastuna potworności.

Rozkosz bez granic nie była już zaskoczeniem, ale wcale przez to nie malała. Robiłem to z nią dwa lub trzy razy, może cztery. Potem pogrążyłem się w dziwnym smutku, jak opuszczone dziecko. Byłem kochankiem bez obiektu miłości, zagubionym wędrowcem, napotyającym własne ślady na pustyni. Stan pomieszczenia zwiększał jeszcze wrażenie beznadziejności. To miejsce przywodziło na myśl Rzym, zdewastowany w ciągu tysiącletnich barbarzyńskich inwazji. Leżałem obok żabolki, pod sztywnym jak karton brudnym kocem, który nie chronił przed zimnem, a walący się dom obserwował mnie, jak lupa patrzy na mrówkę. Przecieki w suficie zamieniły się w lodowe sople. Wilgoć łamała deski ścian jak lodygi słonecznika. Tam, w środku, czas płynął wolniej; tam oglądało się życie z perspektywy robaka. Czułem wtedy, że jestem w połowie drogi między życiem i śmiercią. Wszystko dawało się sprowadzić do dwóch odruchów, do kochania i zabijania, i oba były poza moim zasięgiem. Tamci nie nadchodzili. Ona należała do nich.

– Dziś na pewno przyjdą – oświadczał co jakiś czas Batís, jak wieśniak przepowiadający pogodę. Ale jego prognozy nie sprawdzały się. Potwory jakby się rozplynęły w powietrzu, bez śladu. Trudno to było uznać za ostrożność, chyba nas po prostu lekceważyli. Widzieliśmy ich tylko przez przypadek. Słyszeliśmy odgłosy niewielkich stad, zachowujących bezpieczną odległość poza zasięgiem światła latarni. Zza nocnej zasłony śniegu dochodziło do nas ich wycie; czasem obserwowali nas w milczeniu, ale latarnia przestała być ich celem. Wyglądało na to, że zaciemniona część wyspy leżała na trasie prowadzącej do konkretnego celu, że dążąc do niego najkrótszą drogą, musieli przejść przez las, nic więcej. W odpowiedzi na ich głosy któregoś dnia wystrzeliliśmy kolorowe race, żeby ich wywabić z lasu. Nic z tego.

* * *

Nigdy bym nie przypuszczał, że kiedyś sam będę chciał, żeby nas zaatakowały hordy potworów. Rzecz w tym, że ich nieobecność doprowadzała mnie do wściekłości. Któregoś dnia zastałem Batisa odpoczywającego na krześle wystawionym przed latarnię. Wyciągnąłem dla siebie drugie, zachęcony jego przykładem. Trafiłem na kulawe, które przeważyłem swoim ciężarem, zwalając się na ziemię, jak pajac. Mało mieliśmy krzeseł, a to łatwo było naprawić. Jednak nie, natychmiast oderwałem nogi i oparcie i tak długo deptałem jego resztki, aż nie zostało z niego nic, co by jeszcze przypominało mebel. Batís obserwował mnie, pociągając rum z butelki. Nie odezwał się ani słowem.

Innego dnia omal nie zabiłem gadziny. Nie pamiętam, o co mi poszło, zresztą nie ma to większego znaczenia. Chyba zbierała drzewo na opał. Niosła trzy polana i jedno jej wypadło. Niezdarnie schyliła się, żeby podnieść je z ziemi, i wypadło jej następne. Znów się schyliła po to drugie polano, i wypadło jej pierwsze. I tak w kółko. Idiotka. Podszedłem do niej. – Podnieś polana – powiedziałem. Próbowwała, ale bezskutecznie. Otwartą dłońią biłem ją po piersi. – Podnieś polana! – Drżała ze strachu. Złapałem ją za gardło. – Polana, mówię! – Krzyknęła, wzywając pomocy, co mnie jeszcze bardziej rozwścieczyło. Tak, chybabym ją zabił, gdyby nie zjawił się Batís:

– *Kollege*, to tylko żabolka.

Bez złudzeń. To nie była litość, raczej egzekwowanie prawa własności. Znęcanie się nad gadziną obrażało go w tym sensie, że kwestionowało jego dominację nad żabolką, i tylko o to mu chodziło.

– Tak, to tylko jedna żabotka. W tym właśnie rzecz, że jedna – mruknąłem i zabrałem się stamtąd.

Moja frustracja wynikała z procesów myślowych, do których wolałem się nie przyznawać. Na pierwszym miejscu było to, co najbardziej oczywiste – całe swoje życie postawiłem na jedną kartę, angażując się w podwodną wyprawę do portugalskiego statku. A tymczasem z niewiadomych powodów los mi odpłacał za poniesione ryzyko apatią wroga. To mnie frustrowało. Po naszym wyczynie czułem się jak burżuj, który spodziewa się profitów z zainwestowanego trudu. Więcej – wierzyłem, czy chciałem wierzyć, że wielka rzeź ostatecznie zlikwiduje osaczające nas zagrożenie, że ogień piekielny raz na zawsze wygaśnie. Z drugiej strony niepokoiło mnie coś jeszcze, co trudno mi było wyrazić słowami – a mianowicie sama natura potworów. Ta mała rączka na szybcie hełmu. Erotyka emanująca z żabotki. W ciągu dnia brak umysłowej dyscypliny sprawiał, że miałem wizje jak po opium. Batís stał przede mną, cedził sylaby, a ja coś mu tam odpowiadałem. Ale myślami byłem gdzie indziej. Pomiedzy nami była przestrzeń wypełniona mglistymi obrazami.

Widziałem małą rączkę pod wodą. Drobne paluszki pocierające szybkę, takie ufne, takie niewinne. Widziałem też ciało gadziny, jego drzenie, tak wyraźnie, jakby mi się wyświetlał film. Pełna gama lubieżności. Tyle dzikości i taka naturalność.

Sprzeczność polegała na tym, że im więcej rozkoszy dawała mi żabotka, tym bardziej jej nienawidziłem. Była jedną z tamtych. Oni budzili niezmiernie przerażenie, ona – nieskończoną rozkosz. Może ten fakt był przyczyną moich nerwowych napadów. – Zmusz się do myślenia – mówiłem do siebie, stukając się pięścią w czoło – myśl, człowieku, myśl. – Ale dla mnie myślenie nie było jednoznaczne z rozmyślaniem; było raczej synonimem kalkulacji. Czyn zastępował refleksję. Kiedy próbowałem przemyśleć cokolwiek, natychmiast mój mózg się buntował, trzeszczał jak stare zawiasy. Zajęliśmy pozycje strategiczne do ataku i ani mi w głowie było z nich ustępować.

– Batís – zwróciłem się do niego któregoś dnia – musimy trzymać fason. Rzućmy im coś na przynętę, może się skuszą. Powinniśmy zostawić otwarte drzwi.

Nie dałem mu czasu na reakcję, na odmowę.

– To wcale nie jest tak niebezpieczne, jak by się wydawało. Zastanówmy się, przecież po krętych schodach mogą wchodzić tylko pojedynczo. Jeden strzelec na górze łatwo by się z nimi rozprawił, jakby przyszło co do czego, ale wcale do tego nie dojdzie. Chodzi tylko o to, żeby się zebrali wokół latarni. Zbierzemy ich wszystkich razem i wysadzimy w powietrze.

Batís patrzył na mnie wzrokiem dziewczycy stojącej w obliczu gwałtu. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze, sam czy z pomocnikiem, bronił latarni, nie dopuszczając, by potwory zbecześciły jego święty przybytek. A teraz ja mu proponowałem, byśmy zostawili otwarte drzwi, drzwi do jego latarni.

– Tysiąc martwych potworów, Batís – próbowałem poruszyć dużymi liczbami jego ograniczoną wyobraźnię.

– A kto uruchomi detonatory?

W tym pytaniu ujawniał się infantylizm Batisa. Są dwa rodzaje wojowników. Jedni wymyślają strategię, drugich nigdy nie opuszcza dziecięca skłonność do psot. Ja identyfikowałem się z pierwszą grupą; Batís był z tych drugich.

– Oczywiście, że pan – uspokoilem go. – Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, ja zajmę pozycję strategiczną na schodach, a pan tymczasem wyśle je wszystkie do diabła.

Tak zdecydowaliśmy. Jak tylko się ściemniło, otworzyłem drzwi. Ustawiłem na schodach lampy, co dwadzieścia stopni jedną. Jeśliby weszli, łatwo będzie ich zauważyć i powstrzymać. Wystarczyło tylko wysunąć lufę remingtona przez otwartą klapę na górze. Z takiej pozycji nie chybiłby nawet najgorszy strzelec świata. Batís był na balkonie, a ja zabezpieczałem tyły, z karabinem wycelowanym na schody.

– I co, widać ich? – pytałem.

– Nie.

Po chwili znowu:

– A teraz? Batís, teraz tak?

– Nie. Nic. Absolutnie nic.

Chciałem to sprawdzić na własne oczy i zniecierpliwiony podszedłem do balkonu.

– Proszę natychmiast wracać na posterunek – zrugął mnie Batís. – Na miejsce, do jasnej cholery! Chce pan, żeby nas zabili?

Trudno mu było odmówić racji. Przecież potrafili ominąć światła latarni, żeby nas zaskoczyć. Ale ja też nie widziałem nic szczególnego ze swojej pozycji, poza słabym światłem lamp na spirali schodów. Płomienie drżały, poruszane podmuchem powietrza.

– Dwóch – powiedział Batís.

– Gdzie, gdzie?! – krzyknąłem, nie ruszając się z miejsca. Domagałem się informacji.

– Od strony zachodniej. Teraz nadchodzą. Czterech, pięciu. Trudno policzyć.

– Niech pan nie strzela. Trzeba im pozwolić podejść bliżej, skusić ich otwartymi drzwiami.

Ten telegraficzny dialog wystawił moje nerwy na ciężką próbę. Caffó wychylał się przez poręcz na balkonie to tu, to tam, wpatrując się w noc. Ja skierowałem remingtona w pustą przestrzeń pod sobą, ale obserwowałem Batisa i zapominając o swoich obowiązkach, pytałem go co chwilę o zmiany sytuacji na zewnątrz. Ten błąd mógł mieć dla nas fatalne konsekwencje. W pewnej chwili moją uwagę zaabsorbował dźwięk tłuczonego szkła. Zgasły niżej ustawione lampy.

– Caffó, już są! – uprzedziłem go.

Dochodziło do mnie z dołu ich szczekanie. W ciemności zamajaczył pazur sięgający po trzecią lampę. Od tego momentu traciłem kontrolę nad dolną częścią schodów, pogrążoną w mroku. Parter latarni był jak czarna studnia, dziura, z której dobiegał żabi koncert. Nagle jeden z potworów wdarł się na schody, sunąc błyskawicznie w górę na czworakach. Nie tracił czasu na usuwanie świateł, dlatego mogłem dokładnie obejrzeć, kto stawiał mi wyzwanie. Ocalałe lampy oświetlały go od dołu, podkreślając jego demoniczność. Parł prosto na mnie, prosto na lufę. Strzelać czy nie strzelać? Jeślibym strzelił, jego pobratymcy na dole mogą się wycofać, a nam przecież zależało na rzezi. – *Kollege, Kollege* – słyszałem głos Batisa. Nie miałem czasu, żeby się z nim podzielić swoimi wątpliwościami. Potwór pokonywał schody zwinnie jak jaszczurka. Kiedy dzieliło nas już tylko dziesięć stopni, dziewięć, osiem – nagle się zatrzymał. Ostatnia lampa oświetlała mu z bliska twarz. Obaj mierzyliśmy się wzrokiem – ja zza klapy, on z odległości ośmiu stopni od wymierzonej w siebie lufy. Dzieliło nas teraz tylko to światło. Patrzyliśmy sobie w oczy, wypełniając niewielką przestrzeń tonami nienawiści. Jawił mi się jak jedna z koszmarnych wizji świętego Antoniego. Dosłownie obwąchiwaliśmy się nawzajem. Każdy z nas mierzył własne szanse i oceniał możliwości przeciwnika. Tamten opierał szeroko rozłożone ramiona na wyższym stopniu schodów. Dzięki temu mogłem

dokonać bulwersującego odkrycia – brakowało mu kawałka błony i połowy palca. Wyciekająca czarna ropa i blizny przedstawiały sobą odrażający widok. Tak, to był on. Od tamtego czasu sytuacja bardzo się zmieniła. Nie byłem już bezbronną ofiarą. Teraz nienawidziliśmy się jak równy z równym. Instykt podpowiadał mi, żeby się z nim rozprawić natychmiast. Zimna kalkulacja nakazywała ocalić mu życie. Niech sobie idzie, niech opowie innym, że drzwi są otwarte, otwarte na oścież, otwarte dla wszystkich. Znalazłem w końcu kompromis między wolą i emocjami – jeśli posunie się jeden krok naprzód, wpakuję w niego cały magazynek.

– Rusz się, ty pomocie bydłęcego Babilonu – szeptałem, trzymając go na muszce. – No, rusz się tylko.

Coś tam zaszczekał w odpowiedzi, ale zanim zdecydował się ruszyć z miejsca, przerwał nam strzał Caffona. Strzelał do jego pobratymców. Potwór naprzeciw mnie to otwierał, to zamykał usta, pokazując język obraźliwym gestem, który wyrażał bezsilność. Wycofał się. Zrobił to bardzo powoli, nie odwracając się do mnie plecami. Ustępował stopień po stopniu z miną obrażonego cesarza, który traci księstwo za księstwem. Kiedy całkiem już znikł z mojego pola widzenia, zażądałem wyjaśnień od Batisa.

– A dynamit? Można wiedzieć, czemu, u diabła, nie posłużył się pan dynamitem?

Pomimo gwałtowności mojego tonu Batis nie dał się wyprowadzić z równowagi. Odpowiedział, odwołując się do zwykłej kalkulacji:

– Za dużo ich było, by ich tu wpuścić; za mało, żeby marnować na nich dynamit.

Tym stwierdzeniem zamykał sprawę. Miał rację. To, czego oczekiwaliśmy od momentu wyprawy na statek, dzień po dniu i noc za nocą, miało się spełnić następnego dnia.

* * *

Przez cały dzień padał śnieg z iście zimową uporczywością. Pokrył całą wyspę warstwą półmetrowej grubości. Wczesnym popołudniem słońce już dogasało, jakby mu było spieszno pożegnać się ze światem. Uciekało za horyzont niewiarygodnie szybko, zaciągając nad nami zmierzch, nie chcąc być świadkiem tego, co miało nastąpić. W tym samym momencie zaczął się śpiew gadziny. Śpiewała cały czas, bez przerwy ni odpooczynku, z zamkniętymi oczami. To był destrukcyjny śpiew, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Pamiętam nasze milczenie przy jedzeniu, moje i Batisa, nad metalowymi miskami. Od czasu do czasu spoglądaliśmy to na siebie, to na nią. Niepokoiła nas bardziej niż kiedykolwiek. Ale nie odważyliśmy się jej uciszyć. Ten i inne, mniej istotne znaki zapowiadały nadejście rozstrzygających wydarzeń.

Po kolacji zapaliliśmy. Batis głaskał się po brodzie, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Sam nie wiem, czemu poczuliśmy się jak para przypadkowych nieznanomych, którzy spotkali się na dworcu.

– Niech mi pan powie, Batis – zainteresowałem się – czy brał już pan udział w jakiejś wojnie?

– Kto, ja? – zastanowił się przez chwilę, choć nie było po nim widać szczególnego zainteresowania tematem. – Nie. Ale przez pewien czas jako gajowy towarzyszyłem bogatym myśliwym, głównie z Włoch. Zabijaliśmy jelenie, dziki, czasem niedźwiedzie, różne takie. A pan? Ma pan za sobą wojenne przeżycia?

– W pewnym sensie tak.

– Poważnie? Nigdy bym nie przypuszczał. Był pan na Wielkiej Wojnie? W okopach?

– Nie.

Po dłuższej przerwie Batís wrócił do przerwanej rozmowy.

– No to na jakiej był pan wojnie?

– Na wojnie patriotycznej – odpowiedziałem po namyśle sam sobie. – Chyba walczyłem o ojczyznę, jak sądzę. W moim przypadku też chodziło o wyspę.

Batís drapał się po piersiach.

– Ach, tak?

– Wie pan, że ojczyzna to po łacinie ziemia ojców? – roześmiałem się. – Ja, jak na ironię, jestem sierotą.

– Gdyby to chodziło o mego ojca i o jego fermę, nie poszedłbym na żadną wojnę – zamruczał pod nosem. – Gnój, gnój, gnój...

Nie chciało mi się z nim dyskutować. Zawsze to samo. Niby prowadziliśmy dialog, ale w rzeczywistości przeczucaliśmy się monologami. Znow zapadła martwa cisza. Patrzyłem w niebo, nie podnosząc się z krzesła. Śnieżycy ustała, spadały już tylko pojedyncze płatki. Tej nocy miała być pełnia. Jeszcze przed wschodem księżyca pojawiły się na niebie spadające gwiazdy, zakłócając spokój fioletowego zmierzchu krótkimi błyskami potartej zapałki, tak efemerycznymi, że nie dało się wypowiedzieć życzenia. Znow odezwał się Batís, niecierpliwy jak dziecko:

– A kto wygrał tę wojnę?

– Jaką znow wojnę?

– Tę pańską – odświeżył moją pamięć niespodziewanie życzliwym tonem. – Kto wygrał? Patrioci z wyspy czy tamci?

– Tamta wojna jeszcze się nie skończyła – zająłem pozycję strategiczną przy kłapie, ładując remingtona. – Niech pan pamięta, że trzeba przekręcić trzy razy oś dźwigni, zanim pan uruchomi detonator. Jeśli nie będzie porządnie naładowany, nie będzie kontaktować.

Rozstawiłem na schodach lampy, które nam jeszcze zostały. Potem zająłem pozycję przy kłapie. Położyłem się na ziemi, odsłoniłem otwór i chwyciłem karabin. Co chwilę pytałem Batisa o nowiny. – Nic żaboli, nic żaboli – odpowiadał, torturując gramatykę. I tak minęło pół godziny. Na dole powiał wiatr przez otwarte drzwi. Tylko nasypał śniegu do środka, nic więcej.

– Nadciągają już, Batís? Już ich widać?

Nie odpowiadał. Nauczony wczorajszym doświadczeniem, nie śmiałem odwrócić głowy. Nie chciałem stracić z pola widzenia otwartych drzwi i dolnego poziomu.

– Batís?

Zerknąłem na niego kątem oka. Stał tyłem do mnie, na balkonie, pochylony nad barykadą worków z piaskiem. Zmartwiał, jakby zamienił się w słup soli.

– Batís! – krzyknąłem, żeby go wyrwać z letargu. – Batís, nadchodzą?

Nie drgnął mu ani jeden mięsień. Chcąc nie chcąc, musiałem opuścić pozycję. Złapałem go za łokieć.

– Za zimno panu? Możemy się zamienić miejscami, przynajmniej na chwilę.

– *Mein Gott, mein Gott...*

Dotarł do mnie dźwięk zduszonych głosów, coś jak detonacja zaklinowanej armaty. Spojrzałem z balkonu w dół.

Takie ilości nie przyśniłyby mi się nawet w najgorszym koszmarze. Księżyc w pełni, ogromny księżyc blisko południowego bieguna, pozwalał nam podziwiać ten spektakl w całym blasku. Było ich tylu, że swoją masą zasłaniali krajobraz. Przechodząc przez las, wzbijali tumany śniegu z potracanych gałęzi. Nie mieścili się na ziemi, kołysali na gałęziach, wspinali się na drzewa, przepychali, tłoczyli jedni przez drugich. Byli tak liczni, że wielu musiało zadowolić się rolą widza. Usadowieni na wystających z morza skałach, od strony południowej i północnej, wyglądali jak gady wygrzewające się na słońcu. W tym ścisku trudno im było poruszać nawet górnymi kończynami. Wymachiwali jednak nimi w powietrzu gorączkowo i gwałtownie i wili się jak żywa przynęta w wiaderku rybaka. Ci bardziej energiczni przeciskali się ponad słabszymi, potracając ich bez litości, skacząc ponad łysymi czaszkami. Szarozielona galaretowata masa ciał dotarła do podnóża granitowej skały, ale zaraz potem cofnęła się niezdecydowana, jakby do ataku potrzebny był im rozkaz jakiegoś przywódcy.

– Detonatory, Batís! – krzyknąłem z całych sił. – Dźwignia!

Batís mnie nie słyszał. Jego dolna warga zwisała, jakby ją ściągnął w dół jakiś ciężarek. Dzierzył karabin w obu rękach, ale nigdzie nie celował. – Batís, Batís, Batís – potrząsałem nim, trzymając go za ramiona. Opuścił remingtona. Patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem i szeptał:

– Kim pan jest? Gdzie my jesteśmy, gdzie, no gdzie?

Zrobiło to na mnie straszne wrażenie, zwłaszcza że był człowiekiem zawsze pewnym elementarnych prawd. W tej chwili nie mogłem na niego liczyć. Ale nie było czasu, żeby się nim teraz zajmować. Kazałem mu się schylić, przyginając go ręką – tyle tylko mogłem dla niego zrobić. Batís niespiesznie oglądał swój tors i dłonie, obojętny na osaczającą nas katastrofę. Można mu było pozazdrościć nieświadomości.

Wszystkie trzy detonatory były przygotowane. Najpierw chciałem wykorzystać ładunki wybuchowe założone najbliżej granitowej skały. Przekręciłem dźwignię do oporu. Przez całą sekundę ogłupiały Batís i ja patrzyliśmy na siebie jak idioci – detonator nie zadziałał. Nagle grzmot wybuchu rzucił nas na ziemię za barykadą. Mogliśmy tylko osłonić głowę rękami. Płomienie strzelały w górę jak lawa wulkaniczna, a odpryski granitu i wszelkiego żelastwa wbijały się w worki i w mur, wyginając żelazne poręcze, jakby były z drutu. Zatrzęsa się cała budowla. Miałem wrażenie, że się przechyliła, jak wieża w Pizie. Kiedy otworzyłem oczy, stwierdziłem, że od góry do dołu zasypani jesteśmy warstwą kurzu i popiołu. Mieszkanie wypełniał gęsty dym; w powietrzu unosiły się cząsteczki płonącej sadzy. W środku była żabotka; dochodził tylko jej krzyk, krzyk grozy.

Opierając się na łokciach, wychyliłem się zza barykady. Dziesiątki, setki potworów wyleciały w powietrze. Wszędzie leżały trupy, między nimi czołgali się umierający. Przetarłem oczy, czoło i policzki i krzyknąłem na Batisa, żeby mi pomógł.

Ocaleni nie zwracali uwagi na martwych. Z wyciem kierowali się w stronę otwartych drzwi. Batís, trochę już przytomniejszy, a może tylko do końca ogłupiały, zaczął strzelać do tej masy. Ja też. Za każdym pociągnięciem cyngla spadała kolejna łuska, jedna za drugą; leciały jak z karabinu maszynowego. Trudno było nie trafić. Umierali jak fanatycy, padali, a o leżących potykali się ci, którzy szli za nimi.

– Niech pan ciągle strzela! – krzyknąłem na Batisa, odkładając swoją strzelbę. – Nie można pozwolić, żeby podeszli do drzwi.

Chciałem uruchomić drugą linię ognia, ale w ferworze walki musiałem się pomylić i zamiast drugiej uruchomiłem detonator trzeciej, położonej najdalej od nas. Połowa lasu wyleciała w powietrze.

Czarno-czerwony grzyb ognia i kurzu uniósł się jakieś dwadzieścia pięć, może nawet pięćdziesiąt metrów w górę. Pomimo warstwy śniegu drzewa płonęły jak zapalki, wylatywały w powietrze, a niektóre obracały się korzeniami do góry i spadały prosto na nas. Kawałki ciał wbijały się na pale wokół latarni. Uderzały w nas jak armatnie pociski. Jakaś czaszka roztrzaskała się na osłonie balkonu, przyniesiona tu falą uderzeniową, która zdmuchnęła niemal wszystkie worki i powaliła mnie na ziemię z siłą tropikalnego huraganu. Nagle znalazłem się wewnątrz mieszkania. Czołgałem się, oślepiony dusznym, czarnym dymem. Na podłodze pełno było piasku, tu i ówdzie strzelały w górę iskry. Na zewnątrz wybuchały ładunki dynamitu ze spóźnionym zapłonem, jakby do towarzystwa poprzednim. W swoim oddechu wyczułem zapach siarki. Odkaszlnąłem, wyplułem pył i wtedy zauważyłem żabolkę, ukrytą w kącie pokoju. Przez sekundę skrzyżowały się nasze pytające spojrzenia. Ona nic z tego nie rozumiała, ja też nie. Co się działo? Ta siła wybuchu przekraczała najbardziej nawet optymistyczne oczekiwania. Gdzie był Batís? Spadł z latarni jak marynarz ze statku? No tak, Batís. Zrozumiałem, że w ciągu ostatnich dni ja sprawdzałem ciągłość linii i robiłem żelazną osłonę, a tymczasem Caffó nie mógł się oprzeć pokusie dołożenia na własną odpowiedzialność większej liczby ładunków. Uzgodniliśmy, że zachowamy część dynamitu, tak na wszelki wypadek. Ale na pewno on ukradkiem wyniósł cały nasz zapas, żeby zwiększyć siłę rażenia. Jeżeli pierwsza i trzecia linia ognia o mało nie pozbawiły nas życia, co by się stało, gdybyśmy wysadzili drugą, która sama jedna znaczyła tyle, co te dwie razem wzięte?

– Batís!

Był na balkonie, cały i zdrowy, tylko okropnie brudny. Wyglądał jak widmo, ukryty za iście londyńską mgłą, która zacierała jego rysy. Wygrażał potworom, jak Goliat opanowany furią walkirii, który się rozstał z ludzkim rozumem. Dymiły jego nadpalone włosy. Strzelał z remingtona jedną ręką, jakby to był pistolet, na prawo i lewo, a drugą, zaciśniętą w pięść, wymachiwał nad głową. Jakimś cudem jednemu z potworów udało się wspiąć aż do zrujnowanej balustrady na górze, pomimo najeżonych kołków. Batís zmiażdżył mu czaszkę kolbą; jednym, drugim, piątym, siódmym uderzeniem rozplątał ją jak arbuz, brutalnie, i kopniakiem zrzucił trupa z balkonu. Potem przypomniał sobie o ostatniej porcji dynamitu.

– Batís, błagam, proszę tego nie robić, tylko nie to, zaklinam, nie to! – krzychałem rozpaczliwie, klęcząc przed nim, uwieszony u jego pasa. – Przecież wylecimy w powietrze!

Przez chwilę patrzył na mnie wyniośle jak feudalny władca. Potem powiedział tylko:

– Z drogi! – i jednym ruchem zepchnął mnie na stertę worków.

W ogniu pod latarnią oszalałe potwory miotały się w pułapce bez wyjścia. Szukały dostępu do morza, a natrafiały ciągle na ognistą kurtynę. Biegły na oślep w powodzi ognia, resztkami sił. Pożar strawił już pół wyspy. Noc, przerażone potwory i czerwone ogniska tworzyły razem obłądny teatr chińskich cieni. Dwie trzecie granitowej skały znikło. Opętańcze krzyki słychać było na balkonie z przeraźliwą dokładnością. Wtedy Batís przekreślił dźwięnię.

Myślałem, że wyspa zatonię jak podziurawiony okręt. Północ z południem połączyły się rozżarzoną kopułą. Wobec tego widowiska nasza latarnia była śmiesznym rekwizytem i dawała mniej skuteczną ochronę niż gromnica w czasie burzy. Fala gruzu i czarnego błota wzniosła się w górę, zasłaniając cały widok. Nagle wszystkie krzyki – potworów, Caffona i moje – zlały się w jeden głos. Ogłuchłem. Wśród tej nienaturalnej ciszy widziałem ruch warg Batisa. Widziałem okaleczone ciała latające na niewyobrażalnych wysokościach. Widziałem eksplozję, jakby była istotą, którą Batis powołał do życia. Obojętny na tę apokalipsę, klaskał, tańczył i przeklinał, jakby się napił mikstury czarownic. Ostatni podmuch wdarł się do środka przez balkon, niosąc strumień lawy, która pokryła nas zimnym żużlem. Przed nami rozgrywał się epizod z końca świata.

To, co się działo później, jest już właściwie bez znaczenia. Caffó i ja usiedliśmy jak najdalej od siebie. Obaj czuliśmy się tak zbrukani, że woleliśmy siebie unikać. Może ta krwawa jatka była zwycięstwem, ale żaden z nas nie chciał o nim mówić ani go świętować. Dopiero po dwóch godzinach usłyszałem coś jak gwizd odległej lokomotywy. Powoli moje uszy znów otwierały się dla świata dźwięków i tuż przed świtem całkiem odzyskałem słuch.

Teraz musieliśmy się przygotować do najbardziej makabrycznej roboty. Nosy zasłoniliśmy szalikami i chusteczkami. Wyszliśmy, kiedy słońce, niewiele silniejsze od świecy, rzucało na pole bitwy pierwsze promienie. To było straszne. Ogień osmalił latarnię. Po uderzeniach odłamków mury wyglądały jak twarz zaatakowana najbardziej złośliwą ospą. Z podziurawionych worków z balkonu sypał się piasek jak z klepsydry.

Tam, gdzie wybuchł ostatni ładunek, teraz otwierał się ogromny krater. Jeśli chodzi o potwory, było ich wokół pełno, jak po przejściu anioła zagłady. Nie sposób było zliczyć ofiar. Leżały dosłownie wszędzie. Unosiły się na morzu. Okaleczone, poczerniałe, ze zmumifikowanymi pod wpływem ognia kończynami. Zwinięte w pozycji embriona, ze sztywnymi pazurami i otwartymi ustami. Na zawsze zapamiętam tamten smród palonego mięsa, przypominający do złudzenia woń gotowanego octu. Były trupy, które straciły tyle ciała, że żebra przebijały się na zewnątrz jak czarne pręty. Niektóre szczątki jeszcze się ruszały. Dobjialiśmy je, bardziej z litości niż z jakiegokolwiek innego powodu. Chodziliśmy po poboju i kiedy dostrzegaliśmy jakiś ruch, zadawaliśmy cios w serce – ja długim nożem, Caffó swoim harpunem. Ten ponury spektakl obudził w Batisie sadyistyczne skłonności.

Jeden z niedobitków stracił obie nogi, drugą tylko do kolana. Został z niego dymiący korpus, czołgający się na rękach. Zamiast go dobić, Batis zagroził mu drogę. Potwór zauważył buty, które stanęły mu na przeszkodzie, i kurcząc spazmatycznie ciało, zmienił kierunek. Batis uporczywie zastawiał mu drogę do morza. Tamten nie poddawał się. Czołgając się jak ślimak, z oślim uporem dążył do brzegu.

– Niech go pan wreszcie dobije, do jasnej cholery! – krzyknąłem, zrywając chusteczkę z twarzy. Jeszcze przez chwilę bawił się z nim w kotka i myszkę. W końcu przebił mu gardło harpunem.

Wrzucanie trupów do morza zdawało się nie mieć końca. Nie byliśmy jeszcze nawet w połowie, kiedy zauważyłem żabolkę na balkonie. Siedziała w kucki i trzymała się poręczy, jakby była do niej przykuta.

– O Boże! – zawołałem. – Niech pan na nią spojrzy!

– A ta co tam znowu kwęka?

– Mój Boże, ona płacze!

Katastrofa spadła na nas z gwałtownością faktów niemożliwych do przewidzenia. Nie minęło jeszcze czterdzieści osiem godzin od krwawej jatki. Dwa dni, tylko dwa dni bez ataków. Byłem właśnie gdzieś w lesie. Spacerowałem uzbrojony w ołówek i notes, starając się określić ten dzień w kalendarzu. Już dawno straciłem rachubę czasu. Caffó w ogóle nie zawracał sobie tym głowy, a ja przestałem liczyć po kilku przerwach. W najtrudniejszych momentach nie postawiłem żadnego krzyżyka na pożegnanie dnia, który mijał, nie wierząc po prostu, że uda mi się dożyć następnego. Pomijając już te luki, było jeszcze coś poważniejszego – całe stronicie kalendarza zaznaczone dwukrotnie, przez pomyłkę, dlatego że nie zauważyłem znaczków stawianych czerwonym kolorem, zmieniając ołówek na czarny. Kolor czarny anulował czerwony zapis, przekreślał go jedną kreską. Ale czerwony nie dawał się wyeliminować tak łatwo; wracał na swoje miejsce tego samego miesiąca i dnia. Zatrzymywał się nad każdą datą, dekorując dni barokowym ornamentem, przekształcając cyfry w geometryczne arabeski. Pierwszy lutego był przyczajonym potworem, dwójka wyginała się jak potwór, który szykuje się do skoku, z ósemki dało się zrobić górę ciał wspinających się po murze latarni, jedenastka była grupą w dwuszeregu. Nie pamiętałem stanu aż tak wielkiego rozprężenia umysłu i nie przyznawałem się do tego, co stanowiło jego produkt. Początkowo nawet się ucieszyłem myślą o tym sztucznym przyśpieszeniu biegu czasu, bo oznaczało to, że mój statek zjawi się tu wcześniej, niż myślałem. Ale po sprawdzeniu rachuby i wyeliminowaniu błędów moja radość zamieniła się w coś całkiem przeciwnego – teraz kalendarz wskazywał, że mój statek powinien tu być już dwa tygodnie temu.

Co się mogło zdarzyć? Jakaś nowa wojna światowa wstrzymała żeglugę morską do momentu wygaśnięcia konfliktu? Może i tak. Mimo że my, ludzie, mamy tendencję do szukania przyczyny naszych nieszczęść w wielkich kataklizmach – podkreśla to znaczenie nas jako jednostek – prawda zapisana jest na ogół małą czcionką. Ja byłem ostatnim ziarnkiem piasku na tej ogromnej plaży, którą nazywamy Europą. Wysunięty posterunek, niepotrzebny patrol, poddany bez króla. Najprawdopodobniej jakiś niekompetentny urzędnik przez pomyłkę czy banalny przypadek odłożył misję meteorologiczną do niewłaściwej szuflady. Łańcuch służbowych rozkazów przerwał się w którymś miejscu, ot i wszystko. Wypadłem z rejestru. Jakiś oficer meteorolog zagubiony na antarktycznej rubieży, co za nieszczęście, co za strata dla ważnej międzynarodowej korporacji morskiej! Mogłem być pewien, że mój przypadek nie stanie na porządku dziennym żadnego posiedzenia zarządu.

Pamiętam, jak w zdenerwowaniu przewracałem kartki, starając się odtworzyć niefortunne obliczenia, ale ciągle wychodziło na to samo. Pamiętam czarny paznokieć mojego wskazującego palca, przebiegający stronę w górę i w dół, jakbym był jakimś stetryczalym księgowym. Nie, nic z tego. Czuję, że od wewnątrz wypełnia mnie rozpacz, sięgając aż do żołądka. Rozsypał się zamek z piasku. Wchodząc w kompetencje sądu, kalendarz swoim orzeczeniem skazywał mnie na dożywocie. Chciałem umrzeć. A jednak najłatwiej zapomnieć o złej wiadomości dzięki innej, jeszcze gorszej. Czy mogło się zdarzyć coś jeszcze gorszego? Tak, mogło.

Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy usłyszałem dobrze znane hasło: *Zum Leuchtturm!*, rzucone z wysokości balkonu. Najpierw dotarł do mnie alarmujący krzyk

Batisa, a zaraz potem strzały przeszły zimowe powietrze. Wtedy coś we mnie pękło, coś bardzo delikatnego. Działiałem odruchowo. Porzuciłem papier i ołówek i wziąłem nogi za pas, żeby ratować życie.

Nawet nie czekali nocy. Pojawili się z pierwszym zmierzchem, otaczając osmaloną i pokierszowaną odłamkami latarnię. – *Kollege, Kollege* – nawoływał Batís, strzelając na wszystkie strony. Eksplozja rozwaliła granitowe stopnie; żeby dotrzeć do drzwi, teraz trzeba było się wspinać po skale. Batís mnie osłaniał, strzelając do potworów, które podchodziły za blisko. Kiedy byłem już poza niebezpieczeństwem, lęk zamienił się w gniew. Dlaczego wrócili? Zabiliśmy ich setki. I znów ich tu mieliśmy, tak jak przedtem. Zamiast się skryć, obrzuciłem kamieniami stojącego najbliżej. Podnosiłem skalne złomy i rzucałem mu je prosto w twarz, jeden, drugi, trzeci. Pamiętam, że wymyślałem mu przy tym, a on tylko osłaniał głowę rękami. Cofnął się trochę, a następnie zrobił coś, czego się najmniej spodziewałem – cisnął kamieniem we mnie! Wszystko to było zarazem przerażające i absurdalne. Caffó załatwił go jednym celnym strzałem. – *Kollege!* Do środka! Na co pan czeka?

Zająłem pozycję obok niego na balkonie. Wystrzeliłem ze dwa razy. Nie było ich wielu, ale jednak byli.

Opuściłem lufę. Ich obecność była dowodem, że jakiegokolwiek próby oporu nie mają sensu. Cokolwiek byśmy zrobili, i tak zawsze wrócą, w jeszcze większej liczbie, nie wiadomo skąd. Reagowali na kule i eksplozje jak mrówki na deszcz – to był kataklizm przyrody, z którym trzeba się liczyć i który mógł mieć wpływ na liczebność populacji, ale nie na przetrwanie gatunku. Poddąłem się, byłem gotów wywiesić białą flagę.

– Gdzie pana teraz diabeł nosi? – Batís próbował przywołać mnie do porządku. Nie chciało mi się z nim dyskutować. Siadłem na krześle, z karabinem na kolanach, podpierając głowę rękami. Rozpłakałem się jak dziecko. Naprzeciwko mnie siedziała gadzina – nie na podłodze, jak zwykle, ale na krześle. Siedziała na krześle, oparta łokciami o stół, nieobecna duchem. Widziała Batisa na balkonie, słyszała mój płacz, strzelaninę, natarcie na latarnię i obserwowała ten batalistyczny obraz z dystansem kogoś, kto zwiedza galerię.

Zużyłem swoją odwagę, energię i inteligencję. Walczyłem z nimi z bronią i bez broni, na ziemi i na morzu, z bezpiecznej kryjówki i na otwartym polu. A oni wracali każdej nocy, kiedy im się podobało, w coraz większej liczbie, odporni na eksterminację. Batís ciągle strzelał. Ja już nie utożsamiałem się z tą wojną. O mój Boże, co więcej mógł zrobić rozumny człowiek w mojej sytuacji, co więcej? Co zrobiłby najbardziej zdecydowany, najrozsądniejszy z ludzi, o czym ja jeszcze nie pomyślałem?

Popatrzyłem najpierw na swoje dłonie, mokre od łez, a potem na gadzinę, na gadzinę i na dłonie. Dwa dni temu ona płakała, teraz była moja kolej. Łzy odsłoniły coś więcej, niż mówiło moje ciało. Wywołały niekontrolowane pasmo wspomnień (oczyszczeni płaczem myślimy z większą niż zwykle swobodą), a pamięć podsunęła mi scenę z przeszłości, typowy fortel mojego opiekuna.

Pewnego dnia zastał mnie przed lustrem, zapatrzonego w siebie z nieodgadnionym samouwielbieniem młodości, w całkowitym oderwaniu od świata. Zapytał mnie, kogo widzę. – Siebie, zwykłego chłopca – odpowiedziałem. – Zgadza się – potwierdził i włożył mi na głowę angielską czapkę wojskową (skąd on ją wytrzasnął?). – A teraz? – Teraz widzę angielskiego oficera – roześmiałem się. – Nie – uciął krótko. – Nie pytam, co widzisz, ale kogo. – Siebie, z angielską czapką na głowie. – Nie, odpowiedź ciągle nie jest

poprawna. – Umiał ze wszystkiego zrobić jedno z tych swoich trudnych ćwiczeń. Musiałem spędzić pół dnia z tą okropną czapką na głowie. Nie pozwolił mi jej zdjąć, dopóki nie odpowiedziałem po prostu: – Widzę siebie, tylko siebie.

Gadzina i ja patrzyliśmy na siebie przez całą noc. Caffó walczył, a my wpatrywaliśmy się w siebie, siedząc po przeciwnych stronach stołu. Nie wiedziałem, ani kogo widzę, ani kto na mnie patrzy.

Nad ranem Batís zademonstrował mi całą pogardę, na jaką zasługują dezerterzy. Wyszedł na spacer czy gdzieś tam. Po jego wyjściu natychmiast wróciłem do mieszkania. Gadzina spała skulona w kącie łóżka. Naga, ale w skarpetkach. Złapałem ją za nadgarstek i kazałem jej usiąść przy stole.

W południe Batís zastał w domu człowieka opanowanego obsesją.

– Batís! – zawołałem z entuzjazmem. – Niech pan zgadnie, co mi się dzisiaj udało zrobić.

– Zmarnować czas. Sam musiałem się zająć wzmacnianiem drzwi.

– Niech pan idzie ze mną.

Zabrałem ze sobą żabolkę, ciągnąc ją za łokieć, a Batís szedł za nami. Kiedy wyszliśmy z latarni, posadziłem ją na ziemi. Batís stał obok mnie, niewzruszony.

– Niech pan teraz patrzy – poprosiłem.

Włożyłem sobie pod pachę jedno, dwa, trzy, cztery polana drewna. Pozwoliłem, żeby to czwarte mi wypadło, specjalnie. Oczywiście to był teatr. Podnosiłem polano i wypadło mi następne. I tak bez końca. Batís patrzył na mnie po swojemu, nie rozumiejąc, ale też nie przerywając mi. No, szybciej, szybciej, myślałem. Rano, pod nieobecność Batisa, dokonałem tego eksperymentu. Teraz nie wychodziło. Batís patrzył na mnie, ja na gadzinę, a ona na polana.

Wreszcie zaczęła się śmiać. Co prawda trzeba było mieć bujną wyobraźnię, żeby uznać to za śmiech w potocznym znaczeniu tego słowa. Ale to był śmiech. Rodził się gdzieś głęboko w piersi. Jeszcze miała usta zamknięte, ale już widać było drżenie ciała. Zdradzał ją jakiś wewnętrzny pomruk, już dochodził jakiś zduszony dźwięk. I wreszcie otworzyła usta. Tak, śmiała się. Siedziała po turecku i z rozbawieniem kręciła głową. Dłońmi klepała się po udach od wewnętrznej strony. Kiwała się do przodu i do tyłu, wywracała oczami. W rytm śmiechu tańczyły jej piersi. – No widzi pan? – zakomunikowałem triumfalnym tonem. – Widzi pan? I co pan o tym sądzi?

– Że mój *Kollege* nie jest w stanie utrzymać czterech polan naraz.

– Batís! Ona się śmieje! – zrobiłem przerwę, na próżno czekając na jakąś reakcję. – Płacze. Śmieje się. Jaki z tego wniosek?

– Wniosek? – wściekł się. – Już ja panu powiem, jaki stąd wniosek. Wniosek jest taki, że wytlukliśmy tylko część z nich, bardzo małą część! Rozmnażają się jak karaluchy. Myślę, że wkrótce tu wrócą, ale nie tak jak ostatnio, tylko w masie, całe tysiące. I to będzie nasza ostatnia noc na Ziemi. A pan się zabawia, zonglując czterema polanami jak pajac na jarmarku.

Ja tymczasem cały czas myślałem o niej. Co ona tam robiła, w latarni, w towarzystwie tego troglodyty? W rzeczywistości znałem z jej życia tylko jakieś przypadkowe epizody. Batís kiedyś mi powiedział, że znalazł ją rozciągniętą na piasku, jak jedną z meduz, które wypływają, żeby umrzeć na plaży.

– I nigdy nie próbowała uciec? Nigdy nie opuściła wyspy? – drążyłem temat. Batis nie zwracał na mnie uwagi, ale się uparłem: – Przecież pan ją często bije. Powinna się bać. Ale nie ucieka, choć miałyby okazję.

– Ma pan ostatnio jakieś dziwne pomysły.

– Tak – potwierdziłem jego spostrzeżenia. – Nie przyszło panu do głowy, że oni mogą być czymś więcej niż tylko podwodnymi gadami?

– Czymś więcej niż podwodnymi gadami? – powtórzył machinalnie, nie słuchając, zajęty liczeniem amunicji, której ubywało z każdym dniem.

– Dlaczego nie? Może pod tymi łysymi czaszkami jest jeszcze coś poza zwykłym instynktem. Gdyby tak było – nalegałem – moglibyśmy się z nimi dogadać.

– Ja uważam, że powinien pan trzymać swoją wyobraźnię na wodzy – przerwał mi, umyślnie hałasując przy ładowaniu broni.

Taka dyskusja nie doprowadziłaby do niczego, a ja wolałem nie psuć sobie wieczoru, wdając się w niepotrzebną kłótnię.

* * *

Trzeba przyznać, że ostatnio ataków było jakby mniej. Gadzina nie śpiewała, a to dawało nam coś w rodzaju ograniczonego poczucia bezpieczeństwa. Ale nie mogliśmy się oszukiwać. Wyostrzyły nam się zmysły, a dzięki ciągłym walkom o latarnię staliśmy się ekspertami w odczytywaniu sygnałów zarówno namacalnych, jak i niewidocznych. Wzburzone morze, fale ciemne jak skóra bakłażana, wilgotne powietrze tak gęste, że po niebie mogłyby pływać wieloryby. Te wszystkie sygnały może i nie miały specjalnego znaczenia, my jednak, bez żadnych racjonalnych powodów, bez żadnego związku przyczynowo-skutkowego, wiedzieliśmy, że zbliża się dzień sądu ostatecznego. Że pod powierzchnią morza przeprowadzana jest pełna mobilizacja i że tym razem nasz zubożały arsenał ich nie zatrzyma.

Wszystkie znaki wskazywały na bliskość śmierci. Może właśnie dlatego znów zająłem się żabolką, ponieważ i tak wszystko było bez znaczenia. Nawet nie zachowywałem środków ostrożności, żeby kryć się przed Batisem. Śmierć lada moment miała wylądować na naszej wyspie, nasza śmierć, i to był wystarczający powód, żeby ten człowiek zamknął się w swoim świecie. Tracił czas na zajęcia całkiem bezużyteczne, ale za to bardzo absorbujące. Uciekał od rzeczywistości, naprawiając drzwi lub przeliczając amunicję, jaka nam jeszcze została. Znał każdy pocisk z osobna, jak wieśniak swoje krowy, nawet nadawał im imiona. Najładniejsze kule – nie wiem, według jakiego kryterium odróżniał je od innych – odkładał na bok i zawijał w jedwabną chusteczkę. Odplątywał węzeł, żeby je ponownie przeliczyć. Przymykał wtedy oczy, dotykając każdej z nich palcem, jakby ciągle miał wątpliwości co do ich liczby. Wiedział, że jego drobiazgowość doprowadza mnie do białej gorączki. Żeby uniknąć spięć, lepiej było trzymać się z dala od latarni. Te przedłużające się chwile martwej ciszy wykorzystywałem, żeby się kochać z żabolką w domku meteorologa, a często kryjąc się w lesie, na wypadek, gdyby Batis nagle się pojawił.

W ciągu tych dni powolnej agonii moje kontakty z Batisem były raczej sporadyczne. Gorzej – atmosfera w latarni zrobiła się napięta. Problemem było nie to, co zostało powiedziane, ale niedomówienia. Tamci jeszcze się nie śpieszyli z naszą

egzekucją, a ja musiałem zająć czymś swój umysł. Wtedy przypomniałem sobie o książce Frazera.

– Nie wie pan, gdzie jest książka Frazera? Od kilku dni jej szukam i nigdzie nie widzę.

– Książka? Jaka książka? Nie czytam żadnych książek. To zajęcie dla mnichów.

Nie wierzyłem w ani jedno jego słowo. Dlaczego kłamał? Aż taką żywił do mnie niechęć, żeby mi odmawiać filozoficznej lektury? Batis, który potrafił być na swój sposób dyplomata, zmierzył mnie krytycznym spojrzeniem, nie podnosząc się z krzesła.

– Książek się panu zachciewa? Rozrywki? Jest pan młody. Może powinniśmy panu złapać jakąś żywą żabolkę.

Towarzyszyła tym słowom niemiła ironia. Podejrzywał coś? Raczej nie. Chciał tylko zakpić sobie z mojej wrażliwości. W ten sposób dawał mi również do zrozumienia, że bym się zbierał, że bym wyszedł z mieszkania, bo właśnie chciał się kochać z gadziną. Nie miałem ochoty wychodzić.

– Ostatnia rzecz, jaką dałoby się zarzucić tej wyspie – odciąłem się – to nuda. Dlaczego nie chce pan jej docenić? Najprawdopodobniej mamy przed samym nosem rozwiązanie naszych problemów.

Odpowiedział z sarkazmem:

– Czyżby? – Potem skrzyżował ręce na piersiach, nastawiając się na słuchanie. – Proszę mnie więc oświecić. Jakie pan osiągnął sukcesy? Czego ją pan nauczył, jeśli można wiedzieć? Francuskiej gastronomii? Kaligrafii chińskiej? Czy poprzestał pan na żonglowaniu czterema polanami?

Nie o to chodziło. Nie było ważne, czego my możemy ją nauczyć, ale czego mogliśmy się dowiedzieć od niej. Najbardziej frustrujące było to, że ciągle niczegośmy się nie nauczyli. Byliśmy jak pejzażyści, chcący namalować burzę za swoimi plecami. Wystarczyło tylko odwrócić głowę, nic więcej.

Wszystkie oczy patrzą, tylko niektóre obserwują, a rzadko które widzą. Teraz patrzyłem na nią, szukając w niej człowieczeństwa, i odkryłem kobietę. Ani więcej, ani mniej, ani mniej, ani więcej. Mur obaliły błahostki: ona się uśmiecha; jest leworęczna; nie cierpi, kiedy ją śledzę i prześladowuję; kuca, kiedy chce sikać. Jest kobietą, która podziela ten jakże europejski pogląd na temat cudzej śmieszności. To ja jestem śmieszny, kiedy ją osądzam według kryterium dziecka, które nie ma pojęcia o świecie dorosłych. Wcześniej współżyła z barbarzyńcą i każde cywilizowane zachowanie kojarzyła z tresurą. Każdy nowy dzień u jej boku, każda godzina uważnej obserwacji redukowały dystans w zawrotnym tempie. To, co do tej pory było tylko obecnością, stawało się obcowaniem. Im dłużej się z nią zadawałem, tym bardziej byłem zmuszony zaakceptować jej spokojną codzienność. Sytuacja zmieniała się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy instrumentem poznawczym stawały się uczucia, nie dopuszczając do interpretacji jej zachowania jako zwierzęcego. A ona przecież należała do jakiegoś świata. Ona była jedną z nich.

Wszystkie oczy patrzą, tylko niektóre obserwują, a rzadko które widzą. Kolejna noc na balkonie, pod osłoną padającego śniegu. Kiedyś nie dostrzegłbym całych gór marmuru, teraz widziałem ziarnka piasku na horyzoncie. Podczas jednego z mniej groźnych ataków w ciągu ostatnich dni, kiedy wystawiona została na próbę nasza zdolność obrony, Batis zranił jednego z nich, niewielkiego wzrostu. Czterech przybiegło mu na pomoc. Mój Boże, o mój Boże. Ten domniemany dziki kanibalizm był tylko podejmowaniem ryzyka w celu

ratowania braci spod wrogiego ostrzału. A ja nienawidziłem ich, biorąc to za pośpiech, by pożreć ciało, w którym jeszcze tliło się życie. Czy wielokrotnie nie strzelaliśmy do osobników, którzy tylko chcieli ocalić swoich braci?

Kim była? Tam, w latarni, zadawałem sobie to pytanie nieskończoną ilość razy: kiedy dręczyło mnie pożądanie i kiedy już ją miałem; przed i po każdym ataku, przed wschodem słońca i po zachodzie. Zadawałem sobie to pytanie za każdym razem, gdy osłabiona fala dobijała do naszego brzegu, gdy z balkonu patrzyłem na morze, którego bezmiar zawsze uważaliśmy za pusty, i angażowałem całą siłę wyobraźni w analizowanie jednego problemu: kim ona jest i co tu robi?

Nigdy niczego nie będę o niej wiedział na pewno. Skazany byłem na niemożność zwykłego poznania. Pomiędzy nami rozciągał się niewyobrażalny dystans. Należała do istot, które żyły pod powierzchnią oceanu. Moja wyobraźnia była bezsilna, kiedy trzeba było przedstawić sobie jej świat, życie codzienne, błahostki, które je wypełniały, i zasady rządzące jej losem. Jak zrozumieć istotę jej konfliktu z własnymi pobratymcami? Jak wytłumaczyć sobie jej frustracje i klęski? Nigdy nie dowiem się, co ją skłoniło do szukania schronienia w latarni. Tak jak i ona nie byłaby zdolna pojąć, jakie powody sprowadziły tu irlandzkiego dezertera. Moja dusza musiała przemierzyć bardzo zawile drogi, żeby tu dotrzeć. Jeśli dopuszczałem możliwość, że jesteśmy sobie równi, to musiałem również przyjąć, że jej życie przebiegało równie krętymi ścieżkami, tylko w nieskończone odległych rejonach. Nie wiedziałem nawet, czy w jej świecie słowo „miłość” miało jakąkolwiek treść.

Traktowałem ją teraz łagodnie jak nigdy przedtem. Kiedy posiadałem ją po raz pierwszy, zrobiłem to z czystej desperacji, zupełnie przypadkowo. Zanim jej dotknąłem, jej zapach budził we mnie wstręt, tak samo jak brak włosów oraz kolor i wilgotność skóry. Teraz trudno mi było uwierzyć, że kiedykolwiek miałem takie uprzedzenia. Zdarzało się, że nie kontrolowałem odruchów czułości, choć początkowo kierowałem się wyrachowaniem. Wierzyłem, że okazując jej uczucie, kochając ją tak, jak kochałbym jakąkolwiek inną kobietę, osiągnę jej wzajemność. Wierzyłem, że nawet odrobina wrażliwości z jej strony wystarczy, by dostrzegła ogromną różnicę pomiędzy mną i Caffonem. Sądziłem, że w ten sposób wyzwoli się w niej to, co ludzkie, jak motyl oswobodzony z kokonu. Ale tak się nie stało. Podczas gdy ja mimowolnie otaczałem ją coraz bardziej szczerym uczuciem, ona pozostawała obojętna. Zauważyłem, że narastała we mnie nowa miłość, miłość wynaleziona w latarni. Ale im bardziej się do niej zbliżałem, na tym większy opór natrafiało to bezprecedensowe uczucie. Przed zbliżeniem nigdy nie patrzyła mi w oczy. Później pozostawała zupełnie obojętna na uśmiechy i pieszczoty. Racjonowała miłość z dokładnością zegara odmierzającego godziny, z równym brakiem zaangażowania.

O ile na zewnątrz latarni tolerowała moje ciało, wewnątrz traktowała mnie jak ducha. Unikała mnie. Na próżno starałem się przyciągnąć jej uwagę. Do tego dochodziła jeszcze jedna przeszkoda – sam Batís Caffó. W jego obecności stawała się jeszcze bardziej nietowarzyska, o ile w ogóle może być zasadne w jej przypadku stopniowanie tej cechy. Chciałem widzieć w niej odrębną istotę, kogoś poddanego perfidnej tyranii, ale to nie była prawda. Kiedy tylko wracała do latarni, gdzie były karabiny i jej pan, znów stawała się ciałem imbecyla, skrzyżowaniem uległego psa z kotem, który chodzi własnymi drogami. To, co wcześniej zaobserwowałem, znów stawało się złudą.

Wtedy sam już nie wiedziałem, jaka jest prawda. Może tylko chciałem uszlachetnić własne pożądanie. Może chciałem ją podnieść do swojego poziomu, obawiając się, że ta miłość przemieni mnie w dzikusa. Z drugiej strony sam przecież zrezygnowałem ze świata, z ludzkiego towarzystwa. I choć brzmiało to niewiarygodnie, zacząłem dopuszczać do siebie myśl, że podświadomie znalazłem w niej ucieczkę przed tym wszystkim, co mnie wyгнаło z Europy. Wystarczyło na nią spojrzeć, dotknąć jej ciała, by natychmiast przestawało się liczyć całe okrucieństwo przebywania w latarni. I musiałem stwierdzić, przerażony tym odkryciem, że było mi obojętne, w jakim stopniu jest człowiekiem czy kobietą. Kłamię – doszedłem wręcz do wniosku, że siódmego dnia dobry Bóg nie odpoczywał. Siódmego dnia stworzył właśnie ją i zaraz ukrył swoje dzieło pod powierzchnią fal.

Jakkolwiek było, moje czyny były niezależne od moich refleksji. Teraz całą przemyślność wkładałem w oszukiwanie Batisa, żeby tylko móc ją osiąść. Pewnego razu wykorzystałem jakąś okazję, żeby ją zaciągnąć do lasu, a potem usnęliśmy oboje na mchu. Tego dnia miałem okazję poczuć na własnej skórze, ile kłopotu niesie z sobą tak groteskowo ukrywane uczucie. Ale nie tylko to wtedy odkryłem.

Byłem jak marionetka spuszczone z sznurka. Czułem wyczerpanie mięśni, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Kręciłem się na posłaniu z mchu, a tymczasem moja świadomość dryfowała w odległych rejonach. Ale kiedy wymknęło mi się krótkie ziewnięcie, poczułem, jak jej ręka zakrywa mi usta, by szybko zdusić mój głos. Otworzyłem oczy. Co się dzieje?

Dopiero teraz dotarł do mnie chropawy dźwięk niemieckiej piosenki. Tuż obok nas deptały poszycie buty Batisa. Szukał drewna do prac stolarskich przy latarni. Jak tylko upatrzył sobie jakąś ofiarę, bezlitośnie dobierał się do niej z siekierą. Obmacywał najpierw każde znaleźisko i śmiał się pod nosem, zadowolony z siebie. Z mojej pozycji mogłem widzieć tylko jego stopy, w odległości mniej więcej czterech drzew. Podszedł jeszcze bliżej, tak że rąbiąc siekierą, obsypał nas trocinami. Ona zachowała podziwu godny spokój. Nie oddychała ani nawet nie mrugała, i to samo mnie nakazała gestem ręki. Zamarłem. Górowała nade mną doświadczeniem – ileż to razy musiała się kryć przed krwiożerczymi rekinami i innymi podwodnymi niebezpieczeństwami? Batis odchrząknął. Oddalił się zadowolony, podśpiewując.

Kiedy po paru godzinach znów się z nim spotkałem, był już innym człowiekiem. Wszedł do mieszkania i zasiadł naprzeciw mnie, roztargniony. Nie odezwałem się ani słowem. On mówił o tym co zawsze, o swojej obsesji na punkcie amunicji i uszkodzonych drzwi.

– Batis – przerwałem mu, nie ruszając się z miejsca. – To nie są potwory.

– Co proszę?

Odczekałem dłuższą chwilę, żeby znów powtórzyć:

– Nie walczymy z dzikimi bestiami, jestem tego pewien.

– *Kollege!* Ta latarnia każdego może doprowadzić do szaleństwa. A pana w szczególności. Pan jest słaby, *Kollege*, bardzo słaby. Nie każdy dobrze znosi pobyt w latarni.

Ale ja nie mogłem mu przytakiwać. Nasze poglądy były jak dwie drogi na rozstajach. Pokręciłem przecząco głową, znużony. Powoli cedziłem słowa. Każde z nich miało duży ciężar gatunkowy.

– Nie, Batís, nie. Pan się myli. To się nie może tak skończyć. Musimy okazać z naszej strony trochę dobrej woli.

– Ja ogłuchłem.

– Powinniśmy wykonać jakiś gest. Żeby zrozumieli, że nie chcemy tej wojny – dodałem z mniejszym przekonaniem. – Na pewno jest już za późno. Ale innej drogi nie ma.

Oczywiście nie mogłem ujawnić przed nim całej prawdy. Nie mogłem mu wyjaśnić, że stwory nie uznają potajemnych romansów, że ukrywają zdradę. Nie mogłem powiedzieć mu wprost, że wszystkie jego argumenty przekreśla tamta ręka, która zasłoniła mi usta. Przez chwilę jeszcze rozwodziłem się nad tym tematem, aż Batís uderzył ręką w stół, przewracając wszystko, co na nim leżało. Jego źrenice stały się ostre jak szpilki, tak intensywnie czarne jak nigdy dotąd.

Wstał od stołu. Nie chciał mnie słuchać. Ale przecież ta jatka naprawdę była absurdalna. Nasi przeciwnicy nie byli bestiami i dla mnie był to wystarczający argument, żeby do nich nie strzelać. Po co mielibyśmy się nawzajem zabijać? W imię czego mielibyśmy tracić życie na jakiejś nędznej wyspie na południowym Atlantyku? Nie widziałem racjonalnych powodów. Moje gesty miały przekonać Batisa.

– Trochę dobrej woli, Batís. Niech się pan zastanowi: mają do nas wiele uzasadnionych pretensji. Choćby o to, że jesteśmy najeźdźcami. To ich ziemia, jedyna, jaką posiadają. A myśmy ją zajęli, ufortyfikowali i zmilitaryzowali. Nie wydaje się panu, że to jest wystarczający powód, żeby nas atakować? – mimo woli coraz bardziej angażowałem się emocjonalnie. – Nie mogę im się dziwić, że bronią swojej wyspy przed najeźdźcami, naprawdę nie mogę!

– Gdzie pan był dziś po południu?

Ta zmiana tematu zmusiła mnie, żeby nieco spuścić z tonu.

– Uciałem sobie drzemkę w lesie. A gdzie niby miałem być?

– No tak – przytaknął obojętnie – drzemka w lesie. Taka drzemka stawia na nogi. A teraz pełna mobilizacja, zmrok zapada.

I jedną ręką podał mi remingtona. Nie wziąłem. To był odruch przekory, konsekwencja naszej dyskusji. Zbulwersowała go moja odmowa. Ale nie skomentował tego ani słowem. Ja też nie. Wyszedł na balkon, a ja po chwili poszedłem w jego ślady. Nieuzbrojony, chuchałem w ręce, żeby je rozgrzać. Batís chwycił garść śniegu i rzucił we mnie z ironicznym komentarzem:

– To dla pana. Może śnieżkami ich pan odpędzi.

– Zamknij się pan.

Ona śpiewała. Zza czarnej zasłony lasu poczęły dochodzić do nas metaliczne głosy. Przeciągłe wycie, długie, nostalgiczne. Tak tkliwe, że aż ciarki przechodziły po plecach. Batís załadował remingtona, przerywając ten trans znajomym zgrzytem, krik-krak.

– Niech pan nie strzela! – krzyknąłem.

– Przecież śpiewa!

– Nie.

Twarz Batisa wyrażała przekonanie, że ma on do czynienia z wariatem. Szepnąłem:

– Nie śpiewa, rozmawia z nimi. Niech pan posłucha.

Odwrócił głowę w jej stronę. Siedziała na stole. Jej głos przepływał przez balkon, ginął w oddali. Według mnie wołania z zewnątrz i jej śpiew układały się w dialog. Światło

latarni pozwalało dostrzec tylko płatki śniegu, spadające na ziemię spiralnym lotem, Wszedłem do mieszkania. Kiedy zbliżyłem się do stołu, zamilkła. Las też ucichł.

Ich dialog jeszcze we mnie rezonował. Pamiętałem tylko, że niektóre wyrażenia powtarzały się w nim częściej niż inne. Słowa takie jak „Citauka” czy jakoś tak. A przede wszystkim „Aneris” jeśli dobrze zrozumiałem. Ale jakakolwiek próba zapisania ich była z góry skazana na niepowodzenie. Moje struny głosowe tak się miały do ich strun jak drucziana szczotka do skrzypiec. Mimo to spróbowałem powtórzyć, odwołując się raczej do własnej imaginacji i marnie naśladowając, to jedno słowo.

– Aneris.

Spojrzała na mnie. To mi wystarczyło, żeby pójść krok dalej.

– Citauka. Batís, oni tak siebie nazywają – powtórzyłem drugie słowo, hojnie ubierając je w dźwięki, z własną dowolną interpretacją. – Ona też ma imię: nazywa się Aneris. I oni, i ona, wszyscy mają jakieś imię. Batís, codziennie kocha się pan z kobietą, która ma na imię Aneris. – I dodałem jeszcze na zakończenie, po cichu: – Nazywa się Aneris. Jakie ładne imię, prawda?

Batís traktował ich jak anonimowy tłum. Ja wierzyłem, że wraz z nadaniem im nazwy automatycznie musiał się zmienić nasz stosunek do nich. „Citauka” „Aneris”, wszystko jedno. Słowa, które układałem czy wręcz wymyślałem, były tylko uproszczonym odbiciem wydawanych przez nich dźwięków. Ale to było nieistotne; najważniejsze, żeby im przyznać konkretną tożsamość. A jednak osiągnąłem efekt odwrotny od zamierzonego. Batís wybuchł jak bomba:

– Chce pan mówić językiem żaboli? To o to chodzi? Dobrze, tu ma pan słownik! – i rzucił we mnie brutalnie moim remingtonem. – Zdaje pan sobie sprawę, ile nam zostało amunicji? Wie pan? Oni są tam na zewnątrz, a my w środku. Proszę, niech pan wyjdzie i odda im swój karabin! Bardzo chciałbym zobaczyć, jak się pan do tego zabiera. Tak, ciekaw jestem, jak pan będzie z nimi pertraktował!

Nic mu nie odpowiedziałem, nie stawiając tamy jego dalszym wywodom. Perorował, wymachując zaciśniętą pięścią.

– Wychodzić mi z nory, przeklęty *Kollege* mazgaju! Zajmować posterunek na platformie, bronić drzwi! Mnie pan nazywa mordercą, zbrodniarzu? A przez kogo my tu zginiemy?! Zbrodniarz i fantasta! Zjedzą nasze ciała, wysiorbią szpik z naszych kości i kiedy już im się będzie nami odbijać, wyśmieją te pańskie idiotyczne pomysły na samym dnie swojego mokrego piekła! Zejdź mi pan z oczu!

Nigdy go nie widziałem w takim stanie. Miotał się jak w najgorszych chwilach walki wręcz na balkonie. Przez moment miałem wrażenie, że widzi we mnie jednego ze znienawidzonych żaboli. Wytrzymałem jego wzrok przez kilka sekund, ale później zdecydowałem się jednak zakończyć kłótnię. I tak mnie nie słuchał. Wszedłem z mieszkania.

Zaskoczyła mnie sama postawa Batisa, nie jego argumenty. Było oczywiste, że musimy mieć się na baczności. Zabijaliśmy ich setkami. Nie mogliśmy oczekiwać, że teraz wywieszenie białej flagi nagle zmieni stan rzeczy. Ale Batís z góry odrzucał jakakolwiek dyskusję na ten temat. Nie chciał o niczym słyszeć.

Do rana nic już się nie działo. Przez judasza w drzwiach widziałem ich paru, dosłownie kilku osobników, przemykających z dala od światła latarni. Na górze Batís strzelał na oślep i wyzywał ich w swoim niemieckim dialekcie. Był bardzo wzburzony.

Wysyłał w niebo fioletowe race, zupełnie niepotrzebnie. Co chciał osiągnąć tym popisem pirotechniki?

Później trochę się opanował i zamknął w sobie. Unikał jakiegokolwiek kontaktu. Kiedy wieczorami musieliśmy ze sobą współpracować, trzymając wartość, wypełniał czas pustym gadaniem. Gęba mu się nie zamykała, jakby nagle nauczył się mówić. Nie dopuszczał mnie do głosu, monologował, żeby nie rozmawiać, i za wszelką cenę unikał tematu, który trzeba było podjąć. Ja starałem się okazać maksimum tolerancji. Wolałem wierzyć, że prędzej czy później ustąpi.

Ponieważ nie mogłem liczyć w żadnym razie na jego pomoc, sam zdecydowałem się przejąć inicjatywę. Lepiej by było, żeby zaakceptował mój plan, ale nie było sposobu, żeby go skłonić do ustępstw. Ironią było, że Caffó sam zasugerował mi pomysł. Podczas naszej kłótni zakpił sobie, że przecież nie jesteśmy aż takimi wariatami, by oddawać broń Citaukom. I to właśnie zrobiłem, zachowując oczywiście wszelkie środki ostrożności. Już dawno skończyła się amunicja odpowiedniego kalibru do starego karabinu Batisa, a był on człowiekiem zbyt praktycznym, żeby się przywiązywać do bezużytecznych przedmiotów.

Poszedłem na plażę, gdzie po raz pierwszy stanąłem na wyspie. Wiedziałem, że oni często tu właśnie wychodzą na ląd. Wbiłem głęboko w piasek karabin, kolbą do dołu. Otoczyłem go wianuszkiem kamieni, żeby w ten prosty sposób podkreślić, jakie są moje intencje. Może zrozumieją ten sygnał. W każdym razie nie mieliśmy nic do stracenia.

* * *

Minęły następne trzy dni. Trzeba oddać sprawiedliwość Batisowi – nie wtrącał się do moich układów z Aneris. Myślę, że wiele było po temu powodów. Przede wszystkim nie umiał stawić czoła poważnym problemom. Oczywiście podejrzewał, że coś między nami było. Ale były to podejrzenia zbyt ogólne jak na to, czego się można było spodziewać w naszej sytuacji.

Ludzie morza są na ogół prymitywni i praktyczni. Na podstawie naszej dotychczasowej znajomości, opierając się tylko na banalnym fakcie, że przeczytałem więcej książek niż on, wyciągnął wniosek, że jestem mołem książkowym oderwanym od życia. Oczywiście różnica między nami polegała tylko na tym, że w moim życiu odegrał ważną rolę pewien wyjątkowy wychowawca, nic więcej. Ale Batis podzielał powszechne przekonanie, zgodnie z którym książki miały być antidotum na cielesne żądze, i dlatego był pewien, że nasze pragnienia są całkowicie rozbieżne.

Prawdopodobnie zdezorientował go fakt, że nie kwestionowałem jego praw do Aneris. Na tym terenie czuł się najpewniej i tu musiałyby dojść między nami do pirackiego starcia. Ale ja nie zamierzałem stawać z nim w szranki o prawo do pochwy. Moje wyzwanie miało głębszy, o wiele głębszy wymiar – udowadniałem, że przeciwnik nie jest dziką bestią. Człowiek trochę mądrzejszy zrozumiałby, że takie postawienie sprawy było większym zagrożeniem dla jego interesów, ponieważ nieuchronnie zbliżało mnie do Aneris. Do niego to nie dotarło. Porażająca oczywistość musiała wstrząsnąć nawet Batisem, ale w efekcie tego szoku nie przejrzał, tylko oślepl. A ponieważ odrzucał całe moje rozumowanie, nie mógł przyjąć do wiadomości nawet tej jego części, która go bezpośrednio dotyczyła. W odpowiedzi odwrócił się plecami, udając, że problem nie istnieje.

Znalazł się w podwójnym potrzasku. Był obleżony z zewnątrz i wewnątrz latarni. Nie chodzi o to, żeby on, Batís Caffó, nie był zdolny pojąć oczywistości. On nie chciał i nie mógł jej zaakceptować. Na swój sposób przystosował się do wyspy. Miał nawet jakieś zasady etyczne. Nie był mordercą. W każdym razie nie chciał nim być. W ciągu ostatnich dni wracał wielokrotnie do tej swojej anegdoty o Włochu wziętym za pedała, czy na odwrót. To nie był dowcip, ale jakiś wątek z przeszłości, której nie znałem, może wypadek, może nieumyślne zabójstwo, jakiś czyn raczej przypadkowy, przez który stał się pariasem. Może w ten sposób trafił na wyspę, uciekając przed sprawiedliwością. To nie była moja sprawa. W sumie to, czy Batís był dobry, czy zły, nie miało najmniejszego znaczenia. A do latarni – sam byłem tego przykładem – trafiali tylko uciekinierzy, tacy czy inni. Ważne było tylko to, że kiedy już się tam znalazł, w tej latarni, musiał jakoś zrationalizować nienormalną sytuację. Dokonał wyboru – unikał dnia; myślał tylko w nocy. Traktując przeciwnika jak dziką bestię, mógł zinterpretować konflikt interesów jako obronę przed barbarzyństwem. Nie dostrzegał wroga – walczył z bestią. Paradoksalnie siła tego rozumowania brała się z jego niekonsekwencji. Walka o życie usprawiedliwiała wszystko. Skala niebezpieczeństwa pozwalała odkładać w nieskończoność jakąkolwiek refleksję, odrzucaną jako absurdalna. Każda agresja utrwałała taką logikę. Zagrożenie, jakie stanowili Citaukowie, było mu na rękę. Im bliżej podchodzili do latarni, tym silniejsze miał argumenty. Im bardziej brutalne były ich ataki, tym mniej zasługiwali na uwagę.

Ale ja nie musiałem podzielać jego poglądów. Na tym polegała moja wolność, jedyna, na jaką mogłem sobie pozwolić w latarni. Jeśli uda się udowodnić, że to nie dzikie zwierzęta, porządek ustanowiony przez Batisa zawali się z takim hukiem, jakby wyleciały w powietrze wszystkie arsenały wojskowe w całej Europie. To dotarło do mnie trochę później. Na razie wiedziałem tylko tyle, że nie zgadzam się z Batisem. Kto na moim miejscu nie byłby skłonny zmienić optyki, wiedząc, że jego życie i przyszłość zależą od tego, z jakiej perspektywy będzie postrzegać przeciwnika?

Byłby to zwykły dzień w latarni, dzień jakich wiele, gdyby nie znaki pojawiające się od samego rana. Podbicie chmur zabarwiło się na wyjątkowo ciemny kolor; szarość przechodziła w czerni. Tysiące postrzępionych obłoków, rozrzuconych bezładnie jak kamyki, utworzyło na niebie tak rozbudowaną mozaikę, że firmament wydawał się większy niż zwykle. Zza chmur prześwitywało bladporóżowe światło, odbłask matowego słońca. Czyjeś niewidzialne ręce zabrały z plaży dubeltówkę. Pół ranka zajęło mi rozmyślanie, co to może oznaczać, ale nie doszedłem do żadnego wniosku. Czy to był akt dobrej woli, czy wręcz przeciwnie?

Podczas kolejnych nocy aktywność Citauków jakby zmaląła. Nie pojawiali się w polu widzenia. Czuliśmy, że są, że szepczą między sobą. Ale kiedy zapalaliśmy latarnię, unikali walki. Najlepszym tego dowodem było to, że Batis nie miał żadnej okazji do strzału.

Czy był jakiś związek pomiędzy poniechaniem agresji z ich strony i zniknięciem strzelby? Rzeczywiście nastąpiła zmiana czy była to tylko projekcja moich pragnień, moich nadziei? Byłem w fatalnej formie – mógłbym myśleć nad tym tysiąc lat, a i tak nie doszedłbym do żadnych wniosków. Nie byłem już pewien niczego.

Zapaliłem papierosa i wyszedłem na spacer w stronę źródła. Tam natknąłem się na Batisa. Wyszukiwał sobie całkiem niepotrzebną robotę, żeby tylko nie myśleć. Nie myśląc, nie potrafił też dostrzec absurdalności swoich działań. Źle wyglądał, jakby od dawna porządnie się nie wyspał. Poczęstowałem go papierosem, ot tak, żeby jakoś podtrzymać ludzkie kontakty. Ale nie byłem w humorze. Ledwo otworzył usta, już miałem ochotę go zbesztać, wytknąć mu cały bezsens jego postępowania.

– Przyszedł mi do głowy świetny pomysł – powiedział niepewnym głosem, z całkowitą świadomością, że bredzi. – Na statku zostało jeszcze sporo dynamitu. Gdybyśmy zabili ich jeszcze z tysiąc, problem przestałby istnieć.

Bronił się, a jednocześnie po swojemu próbował iść na ustępstwa. Nie stać mnie było na kurtuazję. Zawsze traktowałem go poprawnie, dostosowując się do jego ograniczeń, nie wymagając rzeczy niemożliwych, tolerując jego małoduszność i wybuchy gniewu. Teraz też nie ukrywał swoich priorytetów, choć były żalosne. Co za upór! Obaj tonęliśmy, a ten mi proponował, żebyśmy wypili całą wodę z morza. Ręce opadały. Należał do tej kategorii ludzi, którzy potrafią ulepszyć to, co dobre, ale złe mogą tylko pogorszyć. Dalej zabijając Citauków, zamknąłby jakąkolwiek możliwość dialogu i ugruntował rządy przemocy. Nawet minimalna szansa porozumienia z przeciwnikiem była nieskończenie atrakcyjniejsza niż niepewna, zbrodnicza walka. Dlaczego miałbym być współnikiem jego prywatnej wojny? Nie, nie byłem skłonny zabijać więcej Citauków, chyba że w rozpaczliwej obronie koniecznej.

– Skąd się u pana bierze ten ośli upór? Niech pan przejrzy na oczy, Caffó! Myśleliśmy, że to obłędzenie Syrakuz, w którym my z naszym dynamitem i strzelbami jesteśmy Archimedesami XX wieku. Ale wszystko wskazuje na to, że to oni walczą o swoją ziemię, jedyną, jaką posiadają. Jak można mieć do nich pretensje?

– Odżywia pan swój mózg trutką na szczury? – zareagował, całując pięść. – Jeszcze pan nie zauważył, że tu nie obowiązują boskie prawa? Chciałby pan widzieć światła katedry tam, gdzie jest tylko popiół. Myli się pan, *Kollege!* Żyje pan tylko dlatego, że

wpuściłem pana do latarni. Jeśli my ich nie będziemy zabijać, oni zabiją nas. To proste. Niech mi pan pomoże dostać się na statek! Ja panu pomogłem. Nie chce pan teraz tego samego zrobić dla mnie?

Nasza polemika przybrała charakter bezsensownego starcia między dwoma zacietrizwionymi fanatykami. Zbiegło się wszystko naraz – moja frustracja, jego obsesja i nieskończona samotność latarni. – Tylko spryt nas może uratować – mówiłem – wrogość donikąd nas nie zaprowadzi. – Razem stanowimy siłę, nie rozdzielajmy się – to była jego śpiewka. Ale ten jeden jedyny raz nie byłem skłonny do ustępstw, po prostu nie mogłem ustąpić. On uzbrajał się w siłę Argonautów, ja nacierałem jak szermierz. Kiedy jeszcze raz powtórzył starą śpiewkę, nie wytrzymałem.

– Czy nie widzi pan, że staram się panu pomóc? I zrobię to, jak tylko przestanie się pan upierać jak muł!

Zaczął się śmiać jak opętany. Zapomniał o napełnianiu wiader wodą, patrzył mi w oczy i śmiał się coraz głośniejsze. – Muł jestem, jestem muł – zwracał się do niewidzialnych rozmówców. Zaśmiewał się i powtarzał: – Żabole to paniska, a ja jestem muł!

Śmiał się, wystawiając twarz do nieba i kręcąc się w kółko jak dziecinny pociąg. Obrażony albo pomyłony, albo jedno i drugie. Usłyszałem, że znów wraca do historii Włocha i pedała. Zatkaną uszy rękami.

– Zamknij się pan wreszcie, Caffó! Milczeć! Trzeba zapomnieć o Włochach udających pedałów! Kogo teraz interesują pańskie anegdotki? Wcześniej czy później będziemy musieli przyjąć do wiadomości, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest jakiś układ z nimi, że musimy zawrzeć pokój, do jasnej cholery!

Zdałem sobie sprawę, że mnie nie słucha, jakbym był duchem, jakby był sam przy źródle. Takie infantylne zachowanie jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło.

– Może oni mają więcej rozumu niż pan! – powiedziałem, pukając się palcem w czoło. – Tak, być może jedynymi dzikimi bestiami na tej wyspie jesteśmy my dwaj! My i nasze strzelby, karabiny, amunicja i materiały wybuchowe! Łatwo jest zabijać, trudniej dogadać się z przeciwnikiem!

– Ja nie jestem zabójcą – przerwał mi Batís. – Nie jestem zabójcą.

O paradoksie! Wypowiadając te słowa, patrzył na mnie tak, jakby mnie chciał zabić.

Chwycił wiadra z wodą w obie ręce i znikł. W tym momencie byłem już pewien, że Caffó musiał kiedyś kogoś zabić i że to go dręczyło. Myślę, że popełniłem wielki błąd, nie słuchając go wtedy, ale ten człowiek ukrywał swoją duszę tak głęboko pod grubą skórą hipopotama, że trudno go było zrozumieć.

Kiedy już sobie poszedł, ja dalej włóczyłem się po lesie. Zaczęło padać. Deszcz zamienił śnieg w brudne błoto. Rozpuszczał się szron na drzewach, sopte łamały się z cichym trzaskiem. Na ścieżce pojawiły się kałuże, które musiałem przeskakiwać. Najpierw było mi wszystko jedno, czy pada, czy nie. Krople przeciekały przez wełnianą czapkę, więc ją po prostu ściągnąłem. Schronienia zacząłem szukać dopiero wtedy, kiedy deszcz stał się tak intensywny, że zgasił mi papierosa. Stwierdziłem, że bliżej niż do latarni było mi do domku meteorologa, a on przyjął mnie w swoich podwojach gościnnie jak żebraczy pałac. Zrobiło się ciemno, pomimo wczesnej pory. Deszczowe chmury tłumili światło. Zapaliłem ogryzek świecy, porzucony gdzieś w kącie. Palił się nierówno, wywołując taniec cieni na suficie.

Paliłem papierosa, nie myśląc o niczym, kiedy pojawiła się Aneris. Widać było, że Batís ją pobił. Pokazałem jej miejsce obok siebie. Usiadła na łóżku. – Czemu cię uderzył?

– zapytałem, nie oczekując odpowiedzi. Miałem ochotę go zabić. Przekonywałem się, że intensywność miłości do kogoś można mierzyć siłą nienawiści do kogoś innego. Była cała mokra. To jeszcze podkreślało jej urodę, pomimo śladów po pobiciu. Ściągnęła ubranie.

Czy to traktowana jak zwierzę, czy jak istota ludzka, niezmiennie dawała taką samą rozkosz. Kochaliśmy się tak intensywnie, tyle razy, że miałem żółte iskry przed oczami. W pewnym momencie nie wiedziałem już, gdzie kończy się moje, a zaczyna jej ciało, i dom, i cała wyspa. Potem, odpoczywając na łóżku, czułem na swojej szyi jej chłodny oddech. Wyplułem papierosa daleko pod ścianę i zacząłem się ubierać. Zapinałem pasek, nie myśląc o niczym istotnym. Wyszedłem z domu. Przeniknął mnie zimny dreszcz.

Dramat rozpoczął się, gdy byłem w odległości mniej więcej stu metrów od latarni. Dla urozmaicenia zdecydowałem się tym razem ominąć ścieżkę przez las i przejść wzdłuż północnego wybrzeża. Droga była kręta. Po prawej stronie miałem ocean, po lewej drzewa tworzyły zwartą zaporę. Pod stopami czułem wystające korzenie, ledwo przykryte ziemią i wszystkim, co wyrzucał przypływ. Musiałem skakać z kamienia na kamień, starając się nie wpaść do wody. Śpiewałem przy tym szkolny hymn. Przy trzeciej zwrotce zauważyłem dym – cienką czarną smużkę na horyzoncie, której wiatr nie pozwalał wznieść się wysoko. Statek! Z jakiegoś powodu musieli zboczyć z kursu, a teraz znaleźli się blisko nas. Tak, statek! Potykając się i pokonując przeszkody, w mgnieniu oka znalazłem się w latarni.

– Batís! Statek na horyzoncie! – zawołałem. – Niech mi pan pomoże zapalić reflektor!

Batís rąbał drzewo. Obojętnym wzrokiem zmierzył horyzont.

– Nie zauważą – zdecydował. – Za daleko.

– Niech mi pan pomoże wysłać sygnał SOS!

Szybko wspiąłem się po schodach, Batís za mną, bez entuzjazmu. – Za daleko, za daleko – powtarzał. – Nie zobaczą pańskiego sygnału. – Miał rację. Mruganie naszym reflektorem przypominało świecenie robaczka, który chce się porozumieć z księżycem. Ale moje pragnienie było tak intensywne, że miałem omamy wzrokowe i przez kilka minut, długich jak agonie, wydawało mi się, że statek zawrócił w naszą stronę, że ten stalowy punkcik jest coraz wyraźniejszy. Myliłem się, oczywiście. Kadłub statku zniknął za horyzontem. Przez chwilę jeszcze można było dostrzec dym z komina, coraz słabszy, a potem i on się rozwiął.

Aż do ostatniej chwili wysyłałem gorączkowo sygnały alfabetem Morse'a. SOS, *Save Our Souls*. SOS, Ratujcie Nasze Dusze. Chyba nigdy wcześniej modlitwa i prośba o pomoc, zawarte w tym komunikacie, nie utożsamiały się ze sobą tak dokładnie jak wtedy w latarni. Chyba też nigdy brak reakcji nie był aż tak wyraźnym argumentem na rzecz ateizmu. Nie nadciągną na ratunek. Na tym statku były istoty ludzkie, całe mnóstwo ludzi. Czekały na nich rodziny, przyjaciele, kochanki; ludzie bliscy, którzy w tym momencie pewnie wydawali się im nieskończenie odlegli. Nie wiedzieli, czym jest prawdziwa odległość. Nie mieli pojęcia o mnie, o latarni. Nie wiedzieli o Batisie, o Aneris. Dla nich ten świat, który mnie uwięził, był tylko odległym zarysem na horyzoncie, plamką bez znaczenia, pustkowiem.

– Nie widzą pana – podsumował Batís beznamiętnie, bez satysfakcji i bez współczucia w głosie. Po prostu patrzył w kierunku, gdzie zniknął statek. Trzymał jeszcze siekiere w dłoniach i mrugał jak sowa. To nie była jego wina. Ale nie stać mnie było

wtedy na sprawiedliwy osąd sytuacji. Po prostu nikogo innego nie miałem pod ręką, a na kimś musiałem wyładować rozpacz.

– Niech pan na siebie spojrzy! Nie drgnął panu ani jeden mięsień twarzy! Co z pana za człowiek, Caffó? Nie pomaga mi pan dogadać się z Citaukami, nie pomaga mi pan porozumieć się z ludźmi. Jak nie działaniem, to biernością – zawsze sabotuje pan jakikolwiek odruch zdrowego rozsądku czy próbę ocalenia. Gdyby rozbitkowie mieli związek zawodowy, byłby pan w nim łamistrajkim!

Batís uciekał z latarni, opędzając się ode mnie. Ale nie odstępowałem go ani na krok, biegnąc za nim po schodach. Bombardowałem wyzwiskami jego plecy. Udawał, że nie słyszy, i tylko mamrotał przekleństwa w jakimś niemieckim dialekcie. Pociągnąłem go za rękaw. Uniósł ramiona, machając nimi, jakby się bronił przed nachalną teściową. Starał się ode mnie odsunąć, ale ja chwytałem go to za łokieć, to za kolbę karabinu, przewieszzonego przez ramię. Zatrzymał się na placu przed latarnią. Tam doszło do wymiany oskarżeń. Wizja statku otworzyła śluzy, które nas jeszcze powstrzymywały przed wybuchem wzajemnej wrogości. Tak się zaciętrzewiłem, że minęła dłuższa chwila, zanim do mnie dotarło, że Batís milczy.

Stał z otwartymi ustami, jak wryty. Obracał tylko głowę to w prawo, to w lewo, i znów w prawo i w lewo. Wybrzeże północne i wybrzeże południowe usiane były małymi Citaukami. Maluchy wynurzały się z wody lub przywierały do skał jak raki. Błony ich rączek i stóp były prawie przezroczyste. Batís parsknął przez nos jak koń. Spojrzał w niebo, biorąc jasność dnia na świadka, a następnie omiół wzrokiem sylwetki szukające schronienia na brzegu. Wyglądał jak wędrowiec zagubiony na pustyni, który stara się ustalić, czy to, co widzi, to fatamorgana, czy rzeczywistość. Zrobił kilka kroków w kierunku północnym. Dzieci znikły za skałami. Większość z nich nie osiągnęła jeszcze metra wzrostu. Ich widok siłą rzeczy uspokajał. Nawet fale zachowywały się z większą ostrożnością, jakby obawiały się przypadkiem zrobić im krzywdę siłą uderzenia. Malcy układali się na powierzchni morza jak na materacu i obserwowali nas z zaciekawieniem.

Nagle Batís ściągnął karabin z ramienia. Szybko i niezręcznie odbezpieczył broń.

– Nie robi pan tego, prawda? – powiedziałem tylko.

Przełknął ślinę. Rozglądał się, ale nie mógł dostrzec żadnego niebezpieczeństwa. To były dzieci, tylko dzieci, które nie szukały bezpiecznej ciemności, żeby nas zabić. Na dodatek zjawily się właśnie teraz, kiedy dni stawały się coraz dłuższe. W końcu postanowił zrejterować do latarni, nie dowierzając już niczemu i zapominając o mojej obecności.

Jeden strzał w powietrze wystarczyłby, żeby zmusić ich do ucieczki, ale Batís nie strzelił. Dlaczego nie wystrzelił? Skoro to tylko bezmyślne bestie, których obecność narażała nas na cierpienia i kłopoty, powinien był zabijać bez litości! Myślę, że nawet on sam nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji tej decyzji. A może jednak tak.

* * *

Nieśmiało jak wróbelki i ostrożnie jak myszki mali Citaukowie powoli pokonywali dystans dzielący ich od serca wyspy, czyli od latarni. W ciągu pierwszych dni nie odważyli się oddalić od linii brzegu. Czuliśmy się jak zwierzęta w ogrodzie zoologicznym, obserwowani przez setki oczu, dużych i zielonych jak jabłka, które wpatrywały się w nas całymi godzinami, śledząc każdy nasz ruch. Nie wiedzieliśmy, jak się mamy zachować,

zwłaszcza Caffó. Teraz, gdy trafił na niegroźnego przeciwnika, poczuł się zupełnie zbity z tropu. Jego zmieszanie było wiernym odbiciem targających nim sprzeczności, a skrupuły określały granice jego uporu.

Stał się czymś w rodzaju człowieka pająka. Wczesnym rankiem jeszcze wychodził z latarni. Parę godzin później, kiedy zaczynały się pojawiać pierwsze dzieciaki, zawsze zafascynowane tym, co się działo, początkowo udawał, że ich nie dostrzega, ale zaraz potem szybko znikał w swoim mieszkaniu. Często zabierał ze sobą Aneris i przywiązywał ją za nogę do łóżka. Kiedy indziej znowu zachowywał się wobec niej tak, jakby jej nie dostrzegał. Jego postępowanie było bardziej niż kiedykolwiek nieprzewidywalne.

Ciało Batisa wydzielalo silny zapach – nie chcę przez to powiedzieć, że śmierdział, tylko że taką już miał naturę – i mieszkanie przesiąkło bardziej niż kiedykolwiek jego osobowością, zaduchem pierwotnego ciepła, którego nie wytrzymałby żaden europejski nos. Żeby uniknąć wyimaginowanego niebezpieczeństwa, zamykał żelazne okiennice balkonu, pogrążając mieszkanie w ciemności. Któregoś dnia zajrzałem do środka. Zlokalizowałem go raczej węchem niż wzrokiem, a później dostrzegłem jego cień przy strzelnicy, skąd śledził przez szparę bieg wydarzeń w tym pływającym przedszkolu, jakim stała się nasza wyspa. Słońce przenikające z zewnątrz rzucało snop światła na jego oczy, obrysowując je jak w karnawałowej masce. To nie była sypialnia, to była nora.

– To tylko dzieci, Caffó, nic więcej. Dzieci nie zabijają, bawią się – uspokoilem go, zaglądając przez otwartą klapę. Nie wszedłem do środka. W odpowiedzi nakazał mi milczenie, kładąc palec na ustach.

Ja też byłem zaszokowany, choć w mniejszym stopniu. To były istoty z innego świata, nie potrafiłem ich zrozumieć. Walczyli z nami, a tu nagle wysyłają własne dzieci na pole bitwy. Może uważali nas za coś w rodzaju syfilisu, który atakuje wyłącznie dorosłych. Jakkolwiek było, nie trzeba być geniuszem, żeby dostrzec związek pomiędzy strzelbą wbity w piasek na plaży i pojawieniem się dzieciarni. Czy świadczyło to o przemyślanej strategii, czy wynikało z absolutnego braku odpowiedzialności? Bo przecież chcąc nam przekazać swoją decyzję, jakimi właściwie dysponowali środkami? Tam gdzie my uciekaliśmy się do pomocy karabinu, oni przeciwstawiali nam tylko nagie ciała. Ja poprosiłem o zawieszenie broni, porzucając rozbrojoną strzelbę; oni odpowiedzieli, przysyłając bezbronne istoty. Czy była to logika przewrotna, czy doskonała?

Dzieci szybko się zorientowały, że nic im z mojej strony nie grozi. Po paru dniach zdecydowały się wyjść na ląd. Początkowo trzymały się na dystans. Choć starałem się zachować powagę, czasami uśmiechałem się odruchowo. Obserwowały mnie uważnie, patrzyły i patrzyły, szeroko otwierając wielkie oczy, z otwartą buzią, zafascynowane, jakby były w wesołym miasteczku.

Pewnego ranka zaszyłem się w lesie. Podłożyłem sobie płaszcz pod głowę, grube spodnie chroniły mnie przed śniegiem, a skrzyżowane ramiona przed utratą ciepła. Uciałem sobie drzemkę, ale nie dali mi wiele pospać. Obudziły mnie szepty gdzieś w pobliżu.

Może było ich piętnascioro, może dwadzieścioro. Zwieszali się z gałęzi na różnych wysokościach i mierzyli mnie wzrokiem jak sowy. Nie wiedziałem, czy to jawa, czy sen. Drzewa nie były ich środowiskiem naturalnym, więc poruszali się na nich niezręcznie. Ich ciała były czymś tak kruchym, tak delikatnym, że nie chcąc zrobić im krzywdy, cierpliwie znosiłem ich ciekawość. Pomyślałem, że gdybym się nagle podniósł, przestraszyłbym ich, a uciekając, mogliby się pokaleczyć. Przetarłem oczy.

– Zmykajcie stąd – ponagliłem ich, nie podnosząc głosu. – Wracajcie do wody.

Nie ruszyli się z miejsca. Wstałem otoczony małymi szpiegami. Większość zachowywała się cicho i spokojnie. Niektórzy coś do siebie szeptali, inni siłowali się ze sobą w zabawie, ale nawet zajęci tą braterską niby-walką nie spuszczały ze mnie wzroku. Nie mogłem oprzeć się pokusie i połaskotałem najbliższego z nich w piętę. Siedział na grubym konarze, równoległym do ziemi, i machał nogami. Mój gest wywołał ogólny wybuch śmiechu, który rozniósł się po lesie.

Niewiele im było trzeba, żeby się ze mną spoufalić. Do tego stopnia, że szybko stali się uciążliwi. Gdziekolwiek się ruszyłem, łyse maluchy szły za mną krok w krok. Zachowywały się jak stadko gołębi, których przestrzenią życiową są place wielkich miast. Odwracałem się zniechęcony, a za sobą miałem las małych główek sięgających mi do pasa. Wymachiwałem rękami, żeby ich odstraszyć, ale cofali się najwyżej parę metrów. Koniecznie chcieli mnie dotknąć. Najodważniejsi łaskotali mnie w łokcie i kolana, po czym brali nogi za pas, żeby zaraz powrócić, zaśmiewając się przy tym jak kaczki. Najgorzej było gdzieś przysiąść, bo natychmiast nieskończenie wiele małych paluszków dobierało mi się do włosów, zarostu, piersi. Rozdzieliłem między nich parę klapsów, ale ta kara była bardziej upokarzająca dla mnie niż dla małych urwisów.

Ja też niewiele potrzebowałem czasu, żeby się do nich przyzwyczaić. Już po kilku dniach spokojnie bawiły się w okolicach latarni od rana do nocy. Trzeba było tylko pamiętać o zamykaniu drzwi, żeby nie myszkowały w środku. Jeśli zastawały drzwi otwarte, zabierały z magazynu, co się dało: a to świecę, a to kubek, ołówek, papier, fajkę, grzebień, siekierę, butelkę. Kiedyś nawet przyłapałem jednego z akordeonem. Uciekał obładowany jak mrówka – łup był większy od złodzieja. Innego znów dnia wytrzasnęły nie wiadomo skąd laskę dynamitu. Ku swemu przerażeniu zobaczyłem je grające w coś w rodzaju rugby, z pociskiem zamiast piłki. Ale trudno byłoby je oskarżyć o kradzież. W ich świadomości nie mieściło się znaczenie słowa „własność”. Istnienie jakiegoś przedmiotu było wystarczającym powodem, żeby go sobie wziąć. Kiedy je strofowałem, nie zwracały na mnie uwagi, jakby mówiły: skoro te rzeczy tu są, to je sobie biorę, i tyle; są niczyje. Jakiegokolwiek działania wychowawcze, straszenie na niby czy gesty łagodnej perswazji, nie odnosiły skutku. Magazyn mogłem jeszcze jakoś zabezpieczyć, pamiętając o zamykaniu drzwi; gorzej było z naszym zewnętrznym systemem obronnym, który dzieci ciągle niszczyły. Pod wpływem morskiej wody odłamki szkła, powbijane w szczeliny w murze, nabrały żywych kolorów – kusły żółcią, zielenią, czerwienią. Wyrwały je, żeby sobie z nich zrobić naszyjniki. Na nasze nieszczęście pewnego dnia odkryły, że zwisające z muru puszki zawieszane na sznurkach są idealne do zabawy, że można je ciągnąć za sobą powiązane w łańcuch. Wiadomo, że dzieci są jeszcze bardziej skłonne do naśladowania niż dorośli. Popularność tej zabawy sprawiła, że potem przez pół dnia musiałem naprawiać szkody. Jak udało mi się je na tym przyłapać, straszyłem je, udając złego wilka, ale już wiedziały, że nic im nie zrobię, i rozciągały sobie uszy dwoma palcami, co pewnie znaczyło tyle co nasze tere-fere-kuku.

Doceniłem dzieciarnię jako barometr przemocy. Dopóki tu są, myślałem, Citaukowie nas nie zaatakują. Martwiłem się bardziej o malców niż o nas. Nawet nie chciałem sobie wyobrażać, jak zareagowałby Caffó, gdyby urwisy odważyły się podnieść klapę prowadzącą do jego mieszkania. Najbardziej niesforny z nich wszystkich był mały, brzydki i wyglądał jak trójkąt. Robił takie wrażenie z powodu szerokich ramion i bardzo wąskich bioder, węższych niż u jego kolegów, tak jakby przyroda zastanawiała się

jeszcze, jaką nadać mu płęć. Jego brzydota wynikała z przesadnej mimiki – z nieprzebranego bogactwa grymasów, które szpeciły jego pyszczek nietoperza. Inne podchodziły do mnie tylko całym stadkiem, kiedy liczba była ich siłą. Ten nie. Często prowokował mnie, defilując mi przed nosem. Stawiał zdecydowane kroki, podnosił łokcie i kolana jak żołnierz. Nie zwracałem na niego uwagi. Widząc moją obojętność, przysuwał usta do moich uszu, żeby mi coś po swojemu opowiedzieć. W takich razach najlepiej było chwycić go za ramiona i obrócić małe ciało o sto osiemdziesiąt stopni w drugą stronę. Odchodził, skąd przyszedł, jak nakręcona zabawka. Ale któregoś razu nie dał za wygraną.

Pewnego popołudnia, siedząc na granitowej skale, zajmowałem się cerowaniem swetra, składającego się głównie z dziur. Dzieci już odpłynęły. Wszystkie poza Trójkąciem. Każdego ranka on pojawiał się pierwszy i znikał ostatni. Przyszedł brzęczeć mi nad uchem. Nie byłem mistrzem igły, a to jego trajkotanie dodatkowo mnie rozpraszało. Nagle poczułem, że się po mnie wspina. Objął mnie rączkami w pasie, później na wysokości klatki piersiowej. Na tym nie poprzestał: chwycił moje ucho ustami i przyssał się do niego. Oczywiście natychmiast za to oberwał klapsa.

Mój Boże, jak on się wtedy rozkleił! Biegł przed siebie i zalewał się łzami, kwiląc rozpaczliwie i przejmująco. Najpierw mnie to rozśmieszyło, ale zaraz się zreflektowałem. Łatwo było zgadnąć, że nie był takim samym dzieckiem jak inne. Pobiegł z płaczem w stronę północnego wybrzeża, ale zatrzymał się na granicy fal. Jakby sobie nagle przypomniał, że stamtąd nie otrzyma żadnego wsparcia. Nie tracąc ani chwili, ciągle zanosząc się od płaczu, pobiegł na południe, ale tym razem zatrzymał się, nie dobiegłszy do brzegu. Jego łkanie przeszło w skowyt rozpaczny. Bezradnie kręcił się w miejscu.

Czasem współczucie pojawia się niespodziewanie, jak pejzaż za zakrętem. Zadałem sobie pytanie, czy tamten podwodny świat rzeczywiście jest tak odmienny od naszego. Przecież musieli tam być ojcowie i matki, a istnienie Trójkącia potwierdzało, że również były tam sieroty. Nie mogłem znieść jego płaczu. Załadowałem go na plecy, jak worek. Zabrałem go na granitową skałę i wróciłem do cerowania. Znowu przytulił się do mnie, przyssał mi się do ucha i tak zasnął. Szylem dalej, jak gdyby nigdy nic.

Wiedziałem, że ten pokój to tylko tymczasowe zawieszenie broni, że każda godzina bez strzelaniny i wycia jedynie odracza to, co ma nadejść. Ale w miarę jak upływały kolejne dni i noce, Citaukowie wydawali się coraz odleglejsi. Wkładałem dużo wysiłku w odsuwanie od siebie myśli o tym, co nieuchronne, co wcześniej czy później musiało nadejść, cokolwiek by to było. Ot, taka ludzka słabość – rozbudzić w sobie i wciąż żywić nadzieję, tak że w końcu zaciera się granica między życzeniem a rzeczywistością.

Liczne zjawiska zapowiadały definitywne przejście antarktycznej zimy w żywiołową wiosnę. Uśmiech dnia trwał coraz dłużej, światło z każdą dobą wygrywało kolejnych parę minut w walce z ciemnością. Śnieżyce były mniej intensywne, płatki śniegu padały jakby od niechcenia. Trudno było określić, czy to jeszcze śnieg, czy już deszcz. Mgła nie pojawiała się prawie nigdy. Chmury wzniosły się jakby trochę wyżej; robiły też więcej zamieszania.

Odmówiłem Batisowi udziału w nocnych wartach. Przestały być konieczne. Wiedziałem, że to tylko chwilowy dar losu – obecność dzieci podczas tego zawieszenia broni pozwalała obu stronom wziąć głębszy oddech. Chciałem to uświadomić Batisowi.

– Nie zaatakują nas teraz. Dzieci są naszą tarczą. Dopóki one tu są, Citaukowie nie będą nas atakować, ani w dzień, ani w nocy. Niech pan odpocznie, Caffó.

On tymczasem przeliczał i polerował amunicję.

– Zaczniemy się martwić, gdy któregoś dnia nie wrócą na wyspę. Wtedy na pewno coś się wydarzy, nie wiem co.

Rozkładał jedwabną chusteczkę, liczył kule i ponownie zawiązywał supeł. Traktował mnie tak, jakbym nigdy nie przekroczył progu jego latarni.

Był jeszcze drażliwy problem Trójkącika. Od kiedy pozwoliłem mu na poufałość, nie mogłem się od niego opędzić. Co noc spał w moim łóżku, nieświadom naszych zmartwień. On sam był kłębkim nerwów, miotającym się niespokojnie pod przykryciem jak taka trochę większa mysz. Ciężko mu było się uspokoić. Wreszcie przysysał się do mego ucha i usypiał przytulony do mnie, w pozycji embriona, sapiąc przez nos niczym zatkana armata. Ale dla mnie był błogosławieństwem losu. Bliskość dziecięcego egoizmu na zasadzie kontrastu łagodziła ból jak balsam. Ja myślałem, jak się zakończy ta nasza wojna światów; on – że właśnie znalazł ciepłe legowisko.

Pewnego ranka byliśmy na zewnątrz latarni. Bawiłem się z Trójkącikiem i z Aneris. Obrzucaliśmy się śnieżkami i śmialiśmy jak dzieci. Caffó, który pojawił się w tym momencie, wyglądał jak zmokły kruk, ostro kontrastując z bielą śniegu długim, czarnym płaszczem, czarną brodą i czupryną. Obładowany karabinem, harpunem i polanami, które niósł przed sobą w obu rękach, musiał dźwigać spory ciężar. Powodowany odruchem bardziej niż złośliwością, przerwał nam zabawę, brutalnie odganiając malca kijem i pociągając za sobą Aneris do latarni. Trójkącik uciekł przerażony.

Batis w jakiś sposób wyczuwał ryzykowność tej sytuacji, na pozór tak niewinnej. Myśmy się tylko bawili, nic więcej, ale właśnie chodziło o zabawę. Zabawa, choćby najbardziej niewinna, odkrywa to, co wspólne, ustala równe prawa, bo kiedy podejmujemy z kimś grę, przestają istnieć granice, hierarchie, biografie – zabawa jest przestrzenią tworzoną przez wszystkich i dla wszystkich. Ta prostota i przyjacielskość oczywiście musiały bezpośrednio dotknąć Batisa Caffó.

Zanim sobie poszedł, rzuciłem w niego śnieżką, trafiając w pierś.

– No, Caffó, niech się pan rozluźni – zażartowałem. – Może nawet uda nam się wyjść z tego cało, kto wie?

Spojrzał na mnie tak, jak się patrzy na rewizjonistę. Jedna śnieżka więcej, a znalazłbym się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

* * *

Nie zdając sobie z tego sprawy i nie mając takiego zamiaru, nabrałem nowych przyzwyczajień. Rozpoczął się nowy dzień. Z pierwszymi promieniami słońca świat niższy i wyższy odrywały się od siebie po stoczeniu zaciętej walki. Już parę razy daliśmy się zaskoczyć w przykry sposób. Wyspa była w zasadzie martwa. Przy braku owadów i ptaków jakikolwiek dźwięk niezwiązany z nami musiał pochodzić bądź to z morza, bądź z powietrza. I Batís, i ja źle znosiliśmy ciszę na morzu. Kiedy wyrównywała się jego tafla i zamierały wiatry, nasze nerwy wystawione były na ciężką próbę. Wiedzieliśmy, że każdy odgłos może być spowodowany tylko przez Citauków, dlatego przy najlżejszym szmerze wystrzeliliśmy w niebo race. Stopniowo jednak zmieniało się moje nastawienie do świata. Nie mieściło mi się w głowie, że kiedyś, wcześniej, cisza mogła nie być groźna. Powoli światło brało w posiadanie wyspę. Z morza wynurzała się dzieciarnia i zaczynała się zabawa w okolicach latarni. Batís zamykał się w swojej twierdzy jak słoń uciekający przed komarami. W ten sposób odwracał się plecami do rzeczywistości.

Trójkącik zapewnił sobie książęce przywileje. Wieształ mi się na szyi albo na plecach, jak mu było wygodniej. Ciężko to było pojąć – najpierw przez całe miesiące utrzymywaliśmy z dala od latarni setki Citauków za pomocą strzałów; teraz nie mogłem się opędzić przed mikrusem, który mi nie sięgał nawet do pępka.

Miał nieokiełznany temperament, typowy dla tych, którzy się nie oszczędzają. W ciągu dnia był hersztem bandy małych Citauków, buszujących po całej wyspie, wzdłuż i wszerz. Kiedy reszta dzieciarni znikwała, padał ze zmęczenia, obojętnie gdzie, nie przejmując się niewygodami. Pod koniec dnia znajdowałem go gdzieś pod drzewem lub w granitowej niszy i zabierałem na swój materac. Nie wiem, po co przykrywałem go kocem. Citaukowie wydawali się odporni na zimno i na ciepło. Mimo to przykrywałem go.

Zachód słońca był moją wyłączną własnością. Miałem w zwyczaju odpoczywać na tej samej plaży, która mnie przywitała na wyspie. W małej zatoczce fale łagodniały. Antarktyda była sceną, a ja zasiadałem w honorowej łoży. Granica wiecznego lodu zaczynała się jakieś sto mil na południe, ale zamarznęty kontynent miał taką siłę dramatyczną, że można go było podziwiać również z tej odległości. Kiedy słońce gasło, na horyzoncie rozbłyskiwały sztuczne ognie. Błyskawice koloru siarki i promienie wiosennego złota przecinały niebo jak topór, na moją cześć. Pomarańczowe i fioletowe promienie ścierały się w walce wręcz, wijąc się na niebie jak powietrzne węże. Ostatni błysk światła przenosił mnie w sferę fikcji. Chciałem wierzyć, że przemawiają do mnie Citaukowie, że odpływ morza przynosi ich szept: nie, dzisiaj nie, dziś też was nie zabijemy. W końcu wracałem na noc do latarni.

W miarę jak topniał śnieg, rosły lody między mną i Batisem. Na tym etapie jedynym czynnikiem podtrzymującym nasze stosunki była, o dziwo, meteorologia. Dopóki dusiliśmy się oblężeni przez Citauków, nie zastanawialiśmy się nad bardziej subtelnymi niebezpieczeństwami, tak jak ciało zaatakowane bagnetem nie odczuwa ataku wyrostka

robaczkowego. Ale bez Citauków na horyzoncie wiosną, która dobierała się do nas z całą antarktyczną bezceremonialnością, trudno nam było znieść uciążliwe burze. Grzmoty rezonowały jak ostrzał artyleryjski. Drżały mury. Otwory strzelnicze coraz oślepiały blaskiem. Błyskawice rozrastały się na horyzoncie jak gigantyczne korzenie. Mój Boże, co to były za błyskawice! Nie przyznawaliśmy się, ale umieraliśmy ze strachu. Aneris nie. Być może nie była świadoma rzeczywistych rozmiarów niebezpieczeństwa. Nie wiedziała, że konstruktorzy nie zadali sobie trudu zainstalowania piorunochronu. Myśmy wiedzieli. W dowolnej chwili mogliśmy zostać porażeni ogniem, jak mrówki osaczone przez sadystyczne dziecko bawiące się lupą. Dlatego podczas gdy Aneris zachowywała wyniosłą obojętność, Batís i ja pochylaliśmy głowy i modliliśmy się w duchu, jak nasi prehistoryczni przodkowie, bezbronni wobec żywiołów.

Ale ta solidarność nie wykraczała poza chwile wspólnego lęku. Teraz, kiedy Batís zamykał się z nią u siebie, musiałem walczyć ze swoimi uczuciami. Czasami nie mogłem usnąć przez całą noc, wsłuchując się w chrapliwy głos Batisa za ścianą, znęcającego się nad swoją niewolnicą. Narastała we mnie bezsilna wrogość. Heroicznym wysiłkiem powstrzymywałem się, żeby nie zejść na dół i nie uwolnić Aneris z tamtego brudnego barłogu. Wtedy o wiele łatwiej byłoby mi strzelić do Batisa niż do Citauków. Nawet nie przypuszczałem, że najbardziej wybuchowym ładunkiem, jaki wyłonił się z portugalskiego statku, byłem ja. Teraz każdej nocy zapalał mi się lont i nie wiedziałem, jak długo zdołam dusić ten ogień w zarodku, żeby nie eksplodował. Moja namiętność do niej z trudem mieściła się na wyspie, która była jej tłem.

Zaletą pewnych gatunków muzyki jest zdolność zagłuszania myśli. To oczywiste, że Aneris była tego typu muzyką. Wątpię, czy w tym przypadku w ogóle jakikolwiek opór wchodził w grę. Jasne stawało się, dlaczego Caffó przykrywał ją byle łachem – jej ciało doprowadziłoby do szaleństwa najbardziej wstrzemięźliwego mnicha. Noszony przez nią sweter był teraz kamieniem obrazy. Kolor tej szmaty z poprutej wełny, dziura na dziurze, niegdyś biały, teraz przeszedł w coś między szarością i żółcią. Za plecami Batisa natychmiast go ścigała. Nagość była jej stanem naturalnym; poruszała się z zadziwiającym brakiem wstydu – nie znała tego słowa. Zmieniała się jak w kalejdoskopie, nie mogłem się napatrzeć. Była inna, kiedy naga szła przez las. Inna, kiedy siedziała na granitowej skale z podwiniętymi nogami. Kiedy wchodziła do latarni po schodach. Kiedy wystawiała się do naszego smętnego słońca na balkonie, jak jaszczurka, nieruchoma, z twarzą wzniesioną do nieba, z uniesioną brodą i zamkniętymi oczami. Kochałem się z nią, nie przepuszczając żadnej okazji.

A okazji nie brakowało – Batís ze swoim karabinem zachowywał się jak więzień, a Citaukowie nie pojawiali się na horyzoncie. Traktował ją teraz gorzej niż przedtem, ale był nieprzewidywalny – nie wiadomo było, dlaczego raz ją zatrzymuje, to znów o niej zapomina. W nocy cierpiała, w ciągu dnia nudziła się. Czasem byłem tego świadkiem. Przymuszony potrzebą, wchodziłem do mieszkania, coraz bardziej ponurego, żeby wziąć sobie coś do jedzenia. Podczas gdy Batís obserwował okolicę, Aneris zajmowała się sprzątaniami. Miała bardzo szczególną koncepcję porządkowania przedmiotów. W jej pojęciu półki były miejscem niepewnym, którego należało unikać. Upierała się, by układać rzeczy na ziemi, blisko siebie, przyciskając je kamieniami.

W dni, kiedy mogła wyrwać się na wolność, zaszywaliśmy się w lesie. Zobaczyły nas tam parę razy dzieci, ale nie przejęły się nami. Po dzieciach łatwo jest poznać, co myślą. Również ich tolerancja oparta jest na tym, co widzą, a nie na tym, w co wierzą. Dla

dzieci nie ma rzeczy dziwnych, są tylko rzeczy nowe. Kiedy tylko mogłem, ukradkiem obserwowałem, jakie relacje miała Aneris z dziećmiakami – praktycznie żadne. Traktowała je raczej jako dodatkowy kłopot. Mogły być nicią wiążącą ją z dawnym światem, mogły przekazywać jej wiadomości i wywoływać w niej wspomnienia. Nie okazywała im jednak najmniejszego zainteresowania. Traktowała je z taką obojętnością, z jaką my traktujemy mrówki. Któregoś dnia widziałem, jak krzyczała na Trójkącika. Jeśli dzieci były uciążliwe, on jeden wystarczył za wszystkie. Gdy go odpędzała, wracał niezrażony, jakby jakiś defekt słuchu czynił go głuchym na naganę. Dla mnie na tym polegał jego urok; dla niej to była wada, której nie można było tolerować. Ale gołym okiem było widać, że właściwym adresatem tej wrogości nie było to nieszczęsne dziecko, tylko ktoś całkiem inny. Ja odrzuciłem moich pobratymców, ona swoich. To wszystko. Jedyne różnica polegała na tym, że Aneris było do Citauków bliżej niż mnie do ludzi.

Po cóż miałem sobie zadawać pytania, na które nie mogłem odpowiedzieć? Żyłem. Mogłem już nie żyć, a jednak żyłem. Tylko tyle i aż tyle. Mogli mi powyrywać członki, a mój trup rozkładałby się teraz gdzieś na dnie Atlantyku. A tymczasem byłem przy niej i mogłem kochać się z nią bez ograniczeń i bez żadnych reguł. Mimo to nie udawało mi się do niej zbliżyć.

Czy mógł dziwić jej dystans, zważywszy na rodzaj egzystencji, jaką wiodła w latarni? Czy mi się to podobało, czy nie, historia tamtego związku nakładała się na moją. Uczestniczyłem w jego okrucieństwie. Z drugiej strony było oczywiste, że nikt tu jej nie zatrzymywał siłą. Wydaje się, że ani nie nienawidziła Caffona za przemoc, ani nie była mu wdzięczna za opiekę. Tak jakby tamten człowiek, który ją pieprzył, poniżał i bił, nie był niczym więcej jak złem koniecznym.

Uprawianie miłości otwierało jakieś drzwi. Mogłem wtedy czytać z jej twarzy. Patrzyła na mnie niczym przez grube szkło, z emfazą, którą łatwo było pomylić z uczuciem. To był zew natury, który – przy całej niedoskonałości – przypominał jednak miłość. To był tylko miraż. Domagać się od niej pieszczot oznaczało poddawać ją torturom. Gdy próbowałem rozmawiać z nią o porozumieniu najbardziej samotnych kochanków na całej planecie, kiedy dawałem jej zbyt wiele czułości, jej oczy stawały się nieobecne jak u martwego ptaka.

Ale czy warto opisywać historię, która nie miała żadnego scenariusza? Latarnia była domeną nieprzewidywalności, a meandry naszych losów robiły się coraz bardziej kręte.

Któregoś dnia dzieci nie stawily się na codzienne spotkanie. Przed południem, kiedy już było oczywiste, że nie wypłyną, Trójkącik wpatrywał się w ocean jak mały myszołów. Ale nie umiał się skupić przez dłuższą chwilę na żadnym problemie. Niebawem chwycił mnie za kolano, wyginając się jak akrobata, co oznaczało niecierpliwą zachętę do zabawy.

Było mi bardzo przykro z powodu zniknięcia dzieci. Stanowiły one jedyny powiew świeżości na tym gruncie spalonym prochem. Aneris zachowywała to swoje hermetyczne milczenie. Batisa ogarnął radosny witalizm, który w tych okolicznościach mógł się wydawać zaskakujący. Ale nie było w tym żadnej niekonsekwencji. Choć nigdy się do tego nie przyznał, wiedział, że dzieci są pewnego rodzaju znakiem. Teraz, kiedy znikły, jego porządek wracał do normy. Koniec, kropka. Nie przyszło mu do głowy, że za wycofaniem dzieci mogły iść kolejne kroki, nowe status quo.

Obserwowałem go, jak układa amunicję, naprawia zabezpieczenia, przygotowuje nową broń. Z pustych puszek zrobił coś w rodzaju organów, umieszczając w poszczególnych tubach ostatnie ognie bengalskie, żeby je wykorzystać jako pociski. Stał się gadatliwy, nawet śmiał się. Perspektywa zbombardowania napastników kolorowymi racami bardzo go ekscytowała. Nie śmieszył mnie jego czarny humor i żarty na ten temat.

Ale była to szarpanina konającego. Przegraliśmy wojnę. Obrona do ostatniej kuli może była zgodna z jego koncepcją życia, ale na pewno nie prowadziła do ocalenia.

Jedliśmy razem obiad.

– Całkiem możliwe, że nie będą czekać do nocy – rzuciłem.

– Niech się pan zda na mnie – on na to. – Już ja im popędzę kota.

Śmiał się jak królik.

– A jeśli nie będą chcieli nas zabijać, to też będzie pan do nich strzelał?

– A pan? – odpowiedział pytaniem. – Nie będzie pan wtedy strzelał?

Aneris siedziała na ziemi z podwiniętymi nogami. Miała otwarte oczy i puste, utkwione w martwym punkcie spojrzenie, jakby śniła na jawie. Pomyślałem wtedy, że nasze zbrodnie krążyły wokół niej jak planety wokół Słońca. Batis opadł na łóżko, aż zajęczały sprężyny. Jego wielki brzuch podnosił się i opadał. Nie spał i nie czuwał, podobnie jak Aneris. Co ja tam robiłem, uzbrojony w karabin? Głowa mi mówiła, że to ostrożność; serce, że obowiązek. Batis otworzył oczy. Nie mrugał. Patrzył w sufit, nie podnosząc się z łóżka, i w końcu się odezwał:

– Czy zamknął pan porządnie drzwi?

Zrozumiałem, co miał na myśli. Na swój sposób dawał do zrozumienia, że liczy się z możliwością ataku Citauków za dnia. Robił też aluzje do innych spraw. W ostatnich dniach przymknął oko na moją decyzję o adopcji Trójkącika. Gdzie on się podziewał? Caffonem kierowały wyłącznie względy praktyczne – żeby nam nie przeszkadzał podczas bitwy. Nie mogłem sobie wybaczyć, że to właśnie on mi o nim musiał przypomnieć.

Szybko zbiegłem po schodach. Nie było go na dole. Wybiegłem z latarni przerażony. Dostrzegłem go na skraju lasu. Światło słońca, które już się chyliło ku zachodowi, barwiło śnieg na niebieskawy odcień. Trójkącik trzymał palec w buzi. Uśmiechnął się na mój widok. Otaczało go kilku Citauków, którzy przykłękli, zniżając się do jego poziomu, i obejmowali go wpół, szepcząc mu coś łagodnie do ucha. W zaroślach

było ich więcej, sześciu czy siedmiu. Tamtych raczej wyczuwałem, niż dostrzegałem, rozpoznając ich obecność po fosforyzujących oczach i zarysach łąsych czaszek.

Ciarki przeszły mnie do szpiku kości. Ale to nie była zasadzka. Ręce Citauków wyciągnęły się, żeby lekko popchnąć Trójkącika w moją stronę. Podszedł do mnie. Zaczęło padać. Duże krople deszczu spadały, kap, kap, dziurawiąc śnieg jak małe meteoryty. Trójkącik chwycił mnie za kolano i śmiał się, domagając się, bym go wziął na barana. Wszystkie jego problemy sprowadzały się do jednego – jak sprowokować zabawę.

Myślę, że Citaukowie oczekiwali jakiegoś gestu w odpowiedzi na ten akt dobrej woli. Ale nagle poczułem, że mięśnie malca tężeją. Odwróciłem głowę. Batís był świadkiem całej tej sceny. Wychylał się z balkonu, ciesząc się na myśl o reakcji na przygotowaną przez siebie niespodziankę. Przywiązał do barierek swój wynalazek.

– Batís, oni są pokojowo nastawieni! – protestowałem. Jedną ręką osłaniałem Trójkącika, drugą machałem, dając znaki w powietrzu. – Nie chcą nam zrobić krzywdy!

– Niech pan ucieka do latarni, *Kollege!* Będę pana osłaniał!

Manipulował przy swoim wynalazku. Połączył lontem wszystkie umieszczone w puszkach race. Wycelował je prosto w nas.

– Niech pan tego nie robi, Caffó! Niech pan nie odpala!

Odpalił. Tuby nie były wystarczająco długie i ognie bengalskie poleciały w różnych kierunkach. Niektóre obsypały nas iskrami, przelatując nad naszymi głowami, inne odbiły się od ziemi, zanim wybuchły. Sztuczne ognie w ośmiu kolorach zadymiły cały teren. Upadłem na ziemię, osłaniając sobą Trójkącika, który w tym zamieszaniu wyślizgnął mi się jak mokra ryba.

Citaukowie podskakiwali i kulili się, kryjąc się przed racami i kulami wystrzeliwanymi przez Batisa. Strzały świstały tuż obok mojej głowy, jakby pszczoły założyły sobie ul w moim uchu, Trójkącik zatrzymał się między mną a tamtymi i płakał przerażony. Pochyliłem się, pokazując mu, żeby wracał, że ochronię go przed niebezpieczeństwem. Przez chwilę się wahał. Nie wiedział, czy szukać obrony u mnie, czy biec w stronę fal. Jego walka wewnętrzna sprawiła mi przykrość. Czułem, że dzieli nas szklana tafla, że nie znajdziemy w niej żadnej szczeliny, żeby znów być razem. Wreszcie cofnął się o parę kroków, a później definitywnie się oddalił. Widziałem jeszcze, jak się zanurzał w morzu. Bagnet między żebrami zadałby mi mniejszy ból. Z jakiegoś irracjonalnego powodu jego utrata była dla mnie bardziej bolesna niż samo zerwanie dialogu.

Kiedy już znalazłem się w latarni, wbiegłem po schodach, przeskakując po trzy stopnie. Wściekły rzuciłem się na Caffona. Złapałem go tak mocno, że guzik jego płaszczka został mi w dłoni.

– Ocaliłem panu życie! – zaprotestowałem.

– Ocalił mi pan życie?! – zawołałem. – Właśnie zaprzepaścił pan ostatnią szansę ocalenia!

Wyszedłem na balkon. Jak można było przewidzieć, Citaukowie znikli. Trójkącika też nie było. Wkrótce miało się zrobić ciemno. Przez strugi deszczu przebijał świst wiatru. Wynalazek Batisa, zwykły złom, stukał teraz w pręty barierek. Początkowo ten odgłos wyprowadzał mnie z równowagi, po chwili nappełnił mnie fatalistyczną melancholią. Jakie marne dzwony żałobne, pomyślałem. Batís obserwował okolicę i powtarzał podekscytowany: – Gdzie, gdzie oni są, no gdzie? – Mnie stać było tylko na spluwanie pod wiatr, z ręką na karabinie. Chwilami brała we mnie górę gorycz i obrzucałem go

wyzwiskami. Śledziliśmy siebie nawzajem, na poły ukradkiem, na poły jawnie. Zapadła noc, a wraz z nią sytuacja przekroczyła wszelkie granice absurdu. Nie odzywaliśmy się do siebie, każdy w swoim kącie balkonu. Nie wiadomo było, czy bronimy się przed ciemnością, czy nawzajem przed sobą. Do północy nic się nie wydarzyło. Deszcz powoli usuwał resztki śniegu, tworząc małe strumyczki, którymi spływały po granitowej skale suche gałązki.

W którymś momencie księżyc przedarł się przez zasłaniające go dotąd chmury i dzięki temu mogliśmy dostrzec kilku Citauków. Tkwili ciągle w tym samym miejscu, na skraju lasu. Nic nie zapowiadało, żeby mieli zamiar zbliżyć się do latarni. Rozglądałem się za Trójkąciem. Ale Batís natychmiast zaczął strzelać. Na odgłos strzału Citaukowie przywarli do ziemi. Niektórzy uciekali na czworakach.

– Niech no pan patrzy na tych swoich przyjaciół! – triumfował Batís. – Wiją się jak robaki. Widział kto gdzieś równie marne istoty?

– Owszem, na każdym polu bitwy, idioto! Ja sam uciekałem, czołgając się, kiedy kule świstały mi nad głową! – zaprotestowałem. – Niech pan nie strzela! Jak mamy się dogadać, skoro pan puszcza do nich serię z karabinu? Niech pan nie strzela!

Chwyciłem jedną ręką lufę jego remingtona, celując w niebo. Batís jednak odepchnął mnie z furją i znów pociągnął za spust.

– Nie strzelać! Nie strzelaj, ty austriacki wypierdku! – wrzasnąłem na niego, wyrывая mu broń.

Podobnie zareagowałyby, gdybym próbował wyrwać mu rękę; ogarnęła go furia. Ustawił karabin poziomo i wypchnął mnie z balkonu. To była jawna agresja. Zaczął wyzywać mnie od najgorszych. Krew uderzyła mi do głowy. Wściekły, opadłem na krzesło, zagryzając wargi. Nie warto było dyskutować z kimś, kto stracił rozum. Nie przestawał. Odstawił remingtona i rycząc jak potwór, wykrzykiwał swoje racje, dławiąc się własnymi słowami, przerywając sam sobie, bez związku, bez sensu. Ja mogłem tylko patrzeć, siedząc z założonymi rękami, jak więzień na ławie oskarżonych. Wymachiwał harpunem nad głową, zadowolony z siebie. Aneris siedziała na ziemi, przytulona do ściany, a jej skóra wydawała się ciemniejsza niż zwykle. Zaczęła śpiewać słabiutkim głosem.

Batís, w ataku szaleństwa, wymierzył jej kopniaka, na oślep, nie patrząc, gdzie trafia. W tamtej chwili bałem się go bardziej niż wszystkich Citauków razem wziętych; więcej też czułem do niego nienawiści, niż kiedykolwiek zdołali we mnie wzbudzić tamci. Wyładowując skumulowaną energię, Batís przewracał meble jak pionki. Jedną ręką złapał Aneris za szyję, wykrzykując jej przy tym do ucha Bóg wie co po niemiecku. Dusił ją tym swoim łapskiem. Już myślałem, że złamie jej kark jak szyjkę butelki. Ale nie. Pochylił się jeszcze niżej nad uchem Aneris, a jego głos przeszedł w pieśzczośliwy szept. To był całkiem nowy u niego ton, inny niż zwykle. Więcej, jego oczy nagle podpuchły, nabrzmiewając wzruszeniem, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem. Tak, ten człowiek, uosobienie bezduszości, był teraz bliski łez. Spod któregoś z przewróconych mebli wypadła książka. Podniosłem ją z ziemi. To było dzieło Frazera, które Batís przede mną ukrył.

– O mój Boże, to znaczy, że pan wiedział, prawda? – odezwałem się, otrzepując książkę z kurzu. – Cały czas pan wiedział.

Tam, na dole, Citaukowie wyli, wyrażając w ten sposób raczej swoje oburzenie niż agresję. Wszystko, co ludzkie w Batisie, legło w gruzach. Był załamany, więc wolałem

milczeć. To był najlepszy sposób, żeby mu udowodnić to, co oczywiste, pozbawić go argumentów. Po chwili przyjacielskim, nieco mentorskim tonem zasugerowałem:

– Batís, nie pozostaje nam nic innego, jak zaoferować im coś, co ułatwi zawarcie pokoju. To nie pruski regiment, nie będą od nas żądać bezwarunkowej kapitulacji.

Myślałem, że już się poddał. Ale ni stąd, ni zowąd obrócił moje słowa przeciw mnie. Wymierzył we mnie palec w geście oskarżenia. Zdobył się na złośliwą ironię, o jaką go nigdy nie posądzałem.

– Spał pan z nią, to jasne. Pan z nią sypia. To o to chodzi!

Ja tylko chciałem mu zaproponować rozsądne rozwiązanie – pokojowe negocjacje, żeby ocalić życie. Ale tak się złożyło, że doszedł do prawidłowych wniosków, wychodząc z błędnych przesłanek.

– Pańskie miłosne interesy nie kłócą się z moimi – odpowiedziałem dyplomatycznie.

– Miał ją pan! – zareagował wybuchem wściekłości. – Przywłaszczył ją pan sobie. Wiedziałem, wiedziałem od pierwszego dnia, kiedy tylko przekroczył pan po raz pierwszy próg tej latarni. Wiedziałem, że wcześniej czy później zaatakuje mnie pan z tyłu!

Naprawdę tak wielką wagę przywiązywał do tego, że byliśmy kochankami? Wątpię. To oskarżenie było dla niego okazją wyładowania na mnie całej swojej nienawiści. Nie, nie byłem zwykłym zdrajcą. Byłem czymś o wiele gorszym. Byłem głosem, który naruszył fundamenty jego prostego świata, wolnego od niuansów. Świata, który mógł trwać dopóty, dopóki rozdzielone w nim było to, co czarne, od tego, co białe. Kolba, którą mnie okładał jak pałką, nie wyrażała nienawiści, lecz strach. Strach, że te jego żabole mogłyby się okazać w minimalnym stopniu podobne do nas, że żądałyby czegoś, co dałoby się jakoś zaakceptować. Strach, że wysłuchując ich, musielibyśmy odłożyć strzelby. Karabin, przed którym udawało mi się uchylić, którym chciał mi rozbić czaszkę i połamać żebra, przekonywał bardziej niż wszystkie przemowy. Mówił mi, że Batís, Batís Caffó, zapędził się tak daleko, starając się zdystansować od żaboli, że sam stał się najgorszym żabolem, jakiego można sobie wyobrazić – potworem, z którym jakakolwiek dyskusja była niemożliwa.

W którymś momencie musiałem popełnić fatalny błąd – nie należało wystawiać jego wytrzymałości na taką próbę. A teraz gotów był mnie zabić. Nie mam pojęcia, jak udało mi się prześlizgnąć przez klapę do dolnego pomieszczenia i czy znalazłem się w nim, zbiegając czy raczej spadając po schodach. Ale Batís i tam mnie dogonił, rycząc jak goryl. Bez przerwy walił pięściami. Ciosy spadały na mnie jak uderzenia młotem. Na szczęście miałem na sobie grube ubranie, amortyzujące nieco ich impet. Zorientował się, że w ten sposób nie da mi rady, i złapał mnie obiema rękami za barki, przyciskając do ściany. Głosem wydobywającym się z głębokości swojego życiorysu wyrzygał:

– Pan nie jest Włochem, o nie, żadnym Włochem. Tym razem się nie pomyliłem. Na tym polega mój błąd, że choć poznałem się na panu, nie zrobiłem nic, żeby pana powstrzymać! Zdrajca! Zdrajca! Zdrajca!

W jego rękach byłem zwykłą marionetką. Po prostu walił mną o ścianę. Czułem, że lada moment rozwali mi czaszkę lub złamię kręgosłup. Dla niego byłem zwykłym szczurem. Mogłem tylko wydlubać mu oczy. Ale kiedy poczuł moje palce na twarzy, rzucił mną o ziemię i zaczął mnie deptać jak słoń karalucha. Udało mi się odczołgać na odległość kilku kroków, a przewróciwszy się na bok, zauważyłem, że Batís trzyma w ręku siekiere.

– Batís, niech pan tego nie robi! Pan nie jest mordercą!

Nie słuchał mnie. Znalazłem się na progu śmierci i głowa odmówiła mi posłuszeństwa. Pojawiały mi się tylko przed oczami jakieś absurdalne fragmenty ze starego, głupiego snu. Ale kiedy Batís podniósł siekiere, stało się z nim coś dziwnego. Zadziałała jakaś wewnętrzna słabość pospołu z przebłyskiem inteligencji, który rozjaśnił jego rysy jak meteoryt przeszywający atmosferę. Trzymając jeszcze w uniesionych rękach broń, popatrzył na mnie z tragiczną satysfakcją uczonego, który wystawił swoje oczy na działanie słońca, aż spaliło mu źrenice, żeby sprawdzić, jak długo ludzki wzrok jest zdolny znieść silne światło.

– Miłość, miłość – powiedział.

Opuścił siekiere z wyrazem łagodnego smutku. Wsłuchiwał się w muzykę skrzypiec, był jak ojciec ostrożnie zamykający drzwi sypialni, w której śpią jego dzieci.

– Miłość, miłość – powtarzał cicho, a na jego twarzy pojawiło się coś, co przypominało uśmiech.

Ale za chwilę był znowu dzikusiem, tyle że ja już dla niego nie istniałem. Odwrócił się do mnie plecami i otworzył drzwi. Co to miało znaczyć? O mój Boże, otwarte drzwi! Leżąc zmalretowany na ziemi, przyglądałem się i nie wierzyłem własnym oczom.

Natychmiast jeden z Citauków spróbował wdrzeć się do środka i od razu otrzymał cios siekiere, który był przeznaczony dla mnie. Caffó chwycił w drugą rękę kłodę drewna, jak pałkę, i wyszedł na zewnątrz.

– Batís! – zawołałem z progu. – Niech pan wraca do latarni!

Biegł prosto przed siebie wzdłuż granitowej skały. Potem rozpostarł ramiona i rzucił się w dół jak na skrzydłach. Citaukowie otoczyli go ze wszystkich stron. Wynurzali się z ciemności i krzyczeli dziwnym głosem, w którym pobrzmiwał nowy ton zaspokojonej żądzы krwi. Dwóch z nich dopadło go, ale Batisowi jeszcze tym razem udało się wymknąć. Uskoczył w błoto. Zamknął się wokół niego krąg. Citaukowie próbowali się do niego zbliżyć; on robił młynka, trzymając w jednej ręce siekiere, a w drugiej kłodę. Jeden z Citauków uwiesił mu się na plecach, co natychmiast ośmieliło innych. Batís próbował go dosięgnąć, ale było to bardzo trudne. Stracił tylko bezcenne sekundy, które zadecydowały o jego życiu. Krąg się zacisnął. Okropność! Z Citauką uwieszonym na plecach, zadającym mu rany, Batís uderzał na oślep, trzymając pozostałych na dystans. Nie mógł liczyć na zmiłowanie.

Traciłem tylko czas. Wdrapałem się po schodach, jedną ręką trzymając się poręczy, z drugą na obolałej wątrobie, zmalretowany przez Batisa. Sięgnąłem po karabin. Uzbrojony wyszedłem na balkon. Nie było już nikogo. Ani Citauków, ani Caffona. Tylko cisza i lodowaty wiatr nad wyspą.

– Batís! – krzyknąłem w pustkę. – Batís, Batís!

Batís zniknął i nigdy już nie miał powrócić.

Od kiedy znalazłem się w latarni, doświadczyłem na własnej skórze wszystkich rodzajów cierpienia. Tak mi się przynajmniej wydawało. Dni, które nastąpiły po śmierci Batisa, przyniosły jednak nowy rodzaj udręki. Burzliwość naszych relacji nie ułatwiała mi teraz dojścia do ładu z samym sobą. Ścisnął mnie żal, jakbym się upił czymś słonym. Czułem się zagubiony, smutny bez określonej przyczyny. Czasem płakałem jak dziecko, czasem śmiałem się, pewny siebie, a najczęściej robiłem i jedno, i drugie jednocześnie. Sam siebie nie potrafiłem zrozumieć.

Czy można żałować kogoś, o kim nie da się powiedzieć jednego dobrego słowa? Tak, ale tylko w latarni, gdzie rozbitkowie wznoszą się tym wyżej, im większe są ich wady. W latarni, gdzie zbliżały ludzi nawet najbardziej odległe cechy. Batis był dla mnie kimś całkowicie obcym. Ale był też ostatnią osobą, jaką miałem kiedykolwiek oglądać. Teraz, kiedy go zabrakło, nabierał wartości jako towarzysz broni, twardy jak skała. Pod ciężarem tego nieokreślonego żalu, w którym było i podniecenie, i apatia – przestałem dostrzegać granicę między śmiercią a rzeczywistością. Kiedy naprawiałem szkody i uzupełniałem, czym mogłem, dziury w umocnieniach, prowadziłem z nim głośne rozmowy. Tak jakbym ciągle musiał znosić jego ponury głos, jego prymitywne maniery, jego wieczorne *zum Leuchtturm!* Często rozglądałem się za nim, żeby uzgodnić coś w sprawie warty czy naprawy, i natrafiałem na pustkę. Kiedy docierało do mnie, że go już nie ma i nigdy nie będzie, schodziło ze mnie całe powietrze jak z przekłutego balonu.

Nie wiem, ile dni czy nawet tygodni żyłem ogarnięty tym paraliżem, dręczącym bardziej ducha niż ciało. Myślę, że funkcjonowałem tylko dzięki nabytej inercji. Batis już nie żył; ja straciłem chęć życia. W obliczu przeciwności dwóch ludzi to już wojsko – myślę, że udowodniliśmy to z nawiązką – natomiast pojedynczy człowiek niewiele znaczy. Całą nadzieję pokładałem w nawiązaniu dialogu z wrogiem. Ale samobójstwo Batisa podkopywało fundament tej strategii. Dlaczego miałoby im zależeć na pokoju teraz, kiedy tak łatwo mogli mnie zabić? Dlaczego mieliby negocjować po tym, jak Batis ich ostrzelał? Zapasy amunicji były już na wyczerpaniu. Z całego systemu obronnego nie została nawet połowa. Jedno czy drugie natarcie i latarnia zamieni się w kupę gruzu. Byłem samotny i praktycznie bezbronny.

Dlatego tak się bałem reakcji Citauków. Po śmierci Batisa zapanowała cisza. Nie atakowali wyspy. Ale nie wierzyłem w spokój łagodnych fal. Noce mijały bez żadnych niespodzianek. Spędzałem je na balkonie, opierając karabin o balustradę. Żabotka ciągle milczała, chwala Bogu. Kiedy nadchodził świt, czułem się, jakbym był opróżnioną butelką.

W ciągu pierwszych dni mojej prywatnej żałoby nie zwracałem uwagi na Aneris. Nawet jej nie dotykałem, mimo że spaliśmy razem w łóżku Batisa. Jej chłód i dystans pogłębiały mój kryzys samotności. Przygnębiało mnie zachowanie Aneris. Zbiera drewno i znosi do latarni, jakby nic się nie stało; to samo z wiadrami wody. Ogląda zachody słońca. Śpi. Budzi się. Jej działania nigdy nie wykraczają poza podstawowe czynności. Na co dzień funkcjonuje jak robotnica przy taśmie produkcyjnej, mechanicznie wykonując wiecznie te same ruchy, jak to się widzi nieraz w domu wariatów.

Któregoś ranka obudził mnie nieznany dźwięk. Leżąc w łóżku, przyglądałem się Aneris. Siedziała na stole z podwiniętymi nogami. Trzymała w ręce jeden z drewniaków

Batisa i zajęta była zabawą tyleż prymitywną, co bezsensowną: podnosiła go w wyciągniętej na całą długość ręce, a następnie upuszczała. Klap, stukał o drewniany stół, posłuszny sile grawitacji. Nigdy nie miała się przyzwyczać do gęstości naszego powietrza, o wiele lżejszego niż jej środowisko naturalne.

Kiedy obserwowałem tę zabawę, przez moją głowę przemknęła myśl jak chmura po niebie. Jej osobowość się rozwinęła, ale w złym kierunku. Problemem było nie to, co robiła, ale to, czego nie robiła. Batís stracił życie, a ona nie zareagowała w żaden sposób – ani pozytywny, ani negatywny. W jakim świecie żyła?

Nie trzeba być jasnowidzem, żeby zrozumieć, że żyła poza światem Batisa i że będzie żyła poza moim światem. Wydawało mi się, że tyrania Batisa była tamą, która powstrzymywała ludzkie odruchy Aneris. Ale zburzenie tej tamy nie uwolniło w niej niczego. Nie byłem nawet pewien, czy jej wrażenia z tego, co razem przeżyliśmy w latarni, były choć trochę zbliżone do moich. Przyszło mi nawet do głowy, czy przypadkiem ten konflikt nie był po jej myśli, czy w swoim samolubstwie nie była zadowolona z owej wojny dwu światów, w której stawką była ona.

Wyrzuciłem but przez balkon. Ująłem jej policzki w kleszcze obu rąk. To była pieśczoła, ale chciałem, żeby poczuła siłę tego uścisku. Chciałem, żeby zrozumiała, że krzywdziła mnie bardziej niż wszyscy Citaukowie razem wzięci. Na świętego Patryka, chciałem tylko, żeby na mnie spojrzała, niechby wreszcie otworzyła oczy, a wtedy być może dostrzegłaby uczciwego człowieka, bez wielkich pretensji do świata. Człowieka, który tylko chciał znaleźć miejsce, gdzie mógłby żyć w spokoju, z dala od wszystkiego i wszystkich, od okrucieństwa i od okrutników. Ani ona, ani ja nie wybraliśmy sobie tej wyspy, brzydkiej, zimnej, a teraz jeszcze na dodatek spalonej. A jednak to miała być nasza ojczyzna, póki tu mieszkaliśmy, czy to nam się podobało, czy nie, i naszą rolą było stworzyć na wyspie warunki do życia. Ale żeby tego wspólnie dokonać, musiała dostrzec we mnie coś więcej niż dwie uzbrojone ręce.

Nie wiem, w którym momencie przestałem jej wymyślać. Ściskając jej policzki, zostawiłem na nich ślady moich dłoni. Byłem taki wściekły, że granica pomiędzy zniewagą a przemocą stała się cienka jak kartka papieru. Doczekałem się reakcji z jej strony. Kiedy ona uderzała mnie swoimi błoniastymi dłońmi, miałem wrażenie, jakby ktoś mi smagał twarz mokrym ręcznikiem. Kiedy ja biłem ją po twarzy, nie była to nienawiść, raczej bezsilność. Ostatnim wysiłkiem pchnąłem ją na materac. I tam została, czuwając z paznokciami gotowymi do ataku, skulona jak kot.

Miałem już dość. Po co się wysilać? Co by mi z tego przyszło, gdybym ją pobił? Jej brak reakcji, jej pogarda, wszystko świadczyło o tym, że byłem dla niej tylko drogą do celu, i nie miałem być niczym więcej. W końcu uświadomiłem sobie dzielącą nas przepaść – ja szukałem schronienia u niej, a ona w latarni. Nigdy nie zderzyły się cele tak sobie bliskie i zarazem tak wzajemnie sprzeczne. Ale czy wiedząc o tym, mniej jej pragnąłem, mniej potrzebowałem? Nie. Niestety, nie. Działała na moją miłość jak wulkan na Pompeje – niweczyła ją, a jednocześnie zachowywała nienaruszoną.

Z pewnością jednak ta gwałtowna scena odblokowała mi umysł. Po raz pierwszy od śmierci Batisa porzuciłem swoją wewnętrzną izolację. Nogi same mnie poniosły z latarni. Tak prosta czynność jak oddychanie pełną piersią znakomicie mnie odświeżyła. Nawet policzki skorzystały na dobroczynnym działaniu świeżego powietrza. Nie musiałem tego widzieć, żeby poczuć, że się zaróżowiły. Minęła dłuższa chwila, zanim sobie uświadomiłem, że jestem obserwowany.

Ponownie pojawili się na skraju lasu. Sześciu, siedmiu, ośmiu, może nawet więcej. Mogli skorzystać z okazji, żeby się na mnie rzucić w morderczym odruchu, ale nie zrobili tego. Byłem zdany na ich wspaniałomyślność. Mimo że Batís strzelał do nich podczas zawieszenia broni, pomimo całej naszej perfidii, dawali mi ostatnią szansę.

Dotychczasowa historia latarni nie była całkiem racjonalna. Można by pomyśleć, że szedłem do nich zadowolony, że mam wreszcie okazję zrealizować w praktyce swoją politykę negocjacji. Faktycznie tak było. Choć trzeba przyznać, że pierwszy odruch, który mnie popchnął w ich kierunku, był innej natury – zobaczyłem ich i poczułem nadzieję na odzyskanie Trójkątka. Podniosłem nieuzbrojone ręce. Skierowałem się na skraj lasu, niespiesznie, ale zdecydowanie, słysząc tylko trzask śniegu pod stopami. Byłem przygotowany, by wykorzystać wszystkie swoje umiejętności mimiczne.

O co im chodziło? Ciekawość dodawała blasku ich oczom. Była w nich impertynencka chęć poznania, typowa dla dzieci. Ich ciała były czujne, ale odprężone. Jedni patrzyli mi w oczy, inni obserwowali moje ręce. Mogłem interpretować na tysiąc sposobów każde drgnienie ich powiek. Pomyślałem, że wzajemna ciekawość mogła być wspaniałym antidotum na przemoc.

Ale latarnia była przybytkiem lęku. Nagle i boleśnie użądliło mnie zwątpienie, jak insekt brzęczący w uchu. Zacząłem zadawać sobie pytania, i pytania te miały większą siłę niż moi rozmówcy: a jeśli walczyli o coś więcej niż posiadanie tej oceanicznej wyspy? Bogiem a prawdą czemu miałoby im zależeć na tej jałowej ziemi, jej absurdalnej roślinności, jej obmytych przez morze kamieniach? Być może – to tylko takie przypuszczenie – zależało im na czymś o wiele ważniejszym. Na tym samym, czego i ja pragnąłem.

Nagle uświadomiłem sobie, że przestałem być w centrum zainteresowania Citauków. Odwróciłem głowę. Za mną, na balkonie, pojawiła się Aneris. Citaukowie wpatrywali się teraz w nią, nie we mnie. Czuję niemal fizycznie jej zaniepokojenie. Trzymała się balustrady obiema rękami, bezsilna wobec tego, co się działo. Może obawiała się, że ją wydam Citaukom, że łączące nas więzi nie okażą się dostatecznie mocne. Oczywiście myliła się.

Myśl o tym, że mogą ode mnie zażądać Aneris, sprawiła, że zwolniłem. Im bardziej się do nich zbliżałem, tym trudniej mi było iść naprzód. Stopy poruszały się coraz wolniej, same z siebie, zanim jeszcze im to nakazałem. Śnieg już nie skrzypiał pod butami.

Nad nami unosił się na niebie mały, złoty krążek słońca w aureoli chmur. Byłem blisko lasu, tuż przy nich. Z ziemi wystawał gruby korzeń, który reagował na każdy ruch, wyginając się jak wąż. Znalazłem się na jednym jego krańcu. Drugi koniec tego samego korzenia ugiął się, przydeptany przez Citauków. Nigdy nie byliśmy tak blisko. Ale to było wszystko.

Stałem tam dłuższą chwilę, jakbym wrósł w ziemię. Citaukowie czekali. Na co? Żeby im wydał Aneris? Nie mogłem im dać tego jednego, czego ode mnie chcieli. Jakiegokolwiek mieli konflikty z Aneris, nie do mnie należało ich rozwiązywanie. Przenigdy. Gdybym mógł, powiedziałbym im, że owszem, moje życie może być przedmiotem negocjacji. Ale życie bez Aneris – nigdy. Mogłem wyrzec się miłości, na zawsze, jeśli okazałoby się, że tak trzeba, ale nie mogłem się wyrzec Aneris. Co mnie czekało, gdybym ją stracił? Śmierć za życia, życie w stanie śmierci. I wieczne zastanawianie się, co gorsze: lato, które mrozi, czy zima, która parzy?

Ona pozwoliła mi zobaczyć, co ukrywały światła latarni; dzięki niej dostrzegłem, że nieprzyjaciel może być wszystkim, tylko nie dziką bestią. Nigdy i w żadnych okolicznościach, a zwłaszcza tam, na wyspie. Bez niej nigdy bym nie poznał prawdy i tylko ona mogła mi ją uświadomić. Ale pokonując tę drogę do prawdy z Aneris, nie mogłem nie poczuć do niej namiętności, nie mogłem jej nie pokochać tak, jak kochają życie rozbitkowie – desperacko. Dlatego było to takie smutne. Latarnia uprzytomniła mi, że poznanie prawdy nie odmienia życia.

Gdybym w tym momencie podniósł rękę, spadłyby na nas gromy ze wszystkich stron wszechświata. Nie podniosłem ręki, oczywiście, zamiast tego wycofałem się.

Zwróciłem uwagę na nieistotny szczegół – śnieg już nie skrzypiał pod nogami, tak jak przed chwilą, kiedy szedłem do nich. Nic dziwnego, był już ugnieciony. Wracałem, stąpając po własnych śladach.

Przez pozostałą część dnia doprowadzałem mieszkanie do porządku. Po kłótni z Aneris dom zamienił się w skład śmieci. Posprzątałem, jak umiałem. Aneris nie było. Znikła, jak tylko wszedłem do latarni. Wróci.

Przed zmierzchem, onieśmielona i przestraszona, wślizgnęła się przez otwartą klapę. Jeśli bała się gwałtownej reakcji, czekała ją niespodzianka. Nie zwracałem na nią uwagi. Dłuższą chwilę nie odrywałem się od piły i młotka. Potem zasiadłem przy naprawionym już stole, paląc i popijając dzin, jakbym był sam. Aneris przycupnęła za żelaznym piecykiem. Kątem oka widziałem jej profil – stopy, kolana, ręce, którymi otaczała nogi. Co chwilę wychylała głowę, żeby mnie śledzić.

Skończyła mi się butelka. Trzymaliśmy je w wielkiej skrzyni, która była naszym barkiem, ustawionej w pomieszczeniu z reflektorami. Mogli zaatakować jeszcze tej nocy, a mimo to wołałem się upić. Jednak zanim wszedłem po drabinie po nową butelkę, zastanowiłem się chwilę, co zrobić z Aneris. Za nogę wyciągnąłem ją z kryjówki. Kazałem jej wstać i znów powaliłem ją jednym uderzeniem, tak silnym, że jeszcze następnego dnia miała zaczerwieniony policzek. Pozostała na ziemi. Płakała zwinięta w kłębek.

Boże, jakże ja jej wtedy pragnąłem! Ale tamtej nocy najgłębiej mogłem ją obrazić, nie dotykając jej.

Leżałem pijany trzy dni i trzy noce, może nawet dłużej. Alkohol prowadził własną grę z czasem. W zamroczeniu wydarzenia zakręcały się w spiralę. Nic więcej nie pamiętam. Piłem i dzięki temu mogłem pozostawać za kurtyną, jakby przedstawienie nigdy nie miało się rozpocząć. Któregoś dnia o zachodzie słońca przypomniałem sobie, że trzeba bronić balkonu, ale skończyło się na tym, że znów pogrążyłem się w etylowych oparach. Rano miałem siną rękę. Trzymając przez całą noc palec na cynglu, tyle tylko osiągnąłem, że w zasadzie nadawał się już jedynie do amputacji. Przeżyłem wyłącznie dlatego, że Citaukowie bardzo starannie przygotowywali decydujące uderzenie; przeżyłem, ponieważ moje uzbrojenie budziło w nich respekt. Marna pociecha.

Ale pijaństwo przynosiło więcej korzyści niż strat. Przede wszystkim jakbym trochę mniej pożądał Aneris. Nawet kazałem jej się ubrać, żeby oszczędzić sobie widoku tej olśniewającej nagości. W sweter z czarnej wełny, z dużymi łatami z podartego worka. Rękawy były za długie, a sam sweter sięgał jej aż do kolan. Kiedy była blisko, częstowałem ją kopniakami, nie podnosząc się z miejsca.

Wszystkie te środki nie przynosiły żadnego rezultatu. Brutalność demaskowała wątłe fundamenty mojej władzy, bardziej kruchej niż imperium za dymną zaporą, bronione przez ołowianych żołnierzyków. Kiedy byłem za bardzo albo niedostatecznie pijany, wszystkie moje sztuczki wychodziły na jaw. Aneris nie broniła się przed moją napastliwością, bo i po co? Im uporczywiej rościłem sobie nieograniczone prawa, tym bardziej oczywista stawała się moja nędza. Za każdym razem, kiedy ją brałem, sam siebie osadzałem w więzieniu, w którym pustynia zastępowała kraty. Gdyby tylko kierowała mną zwykła lubieżność! W większości wypadków, zanim jeszcze do czegokolwiek doszło, już wybuchałem żalonym płaczem. O tak, to pijaństwo musiało trwać więcej niż trzy dni, o wiele więcej.

Ostatniego ranka pijackiego ciągu Aneris zdobyła się na odwagę i próbowała mnie zbudzić. Z całych sił ciągnęła moją stopę, ale ciężko mnie było zmusić choćby do otwarcia powiek. Oddychanie przez nos sprawiało ból, jak zawsze po nadużyciu dżinu. Czułem przykry smak cukru. Półprzytomny, wydedukowałem, że odpędzanie natręta kosztowałyby zbyt wiele wysiłku; łatwiej było go zignorować. Ale nie dała za wygraną, tym razem ciągnąc mnie za włosy. Ból mnie rozwścieczył. Próbowałem wymierzyć jej cios, ciągle nie otwierając oczu. Robiła uniki i cały czas brzęczała mi nad uchem, jak telegraf podniecony wiadomością. Rzuciłem butelką w kierunku, gdzie zarysowywał się jej rozmazany kontur, jedną, a potem drugą. Wreszcie uciekła przez klapę w podłodze, a ja popadłem w gorzkie i dokuczliwe odrętwienie.

Nie mogłem ani spać, ani całkiem się przebudzić. Ile czasu straciłem, usiłując wyjść ze stanu zawieszenia? Mój mózg zamienił się w plac publiczny zaludniony prorokami i demagogami. Jasne poglądy mieszały się tam z horrendalnymi bzdurami, bez żadnej hierarchii, bez możliwości ich rozróżnienia. Powoli w tym chaosie przebijał sobie drogę błysk zdrowego rozsądku, mianowicie że Aneris musiała mieć bardzo poważne powody, żeby zadzierać z tak nieobliczalnym pijakiem.

Świt nieśmiało zaglądał przez balkon, spoglądając rozumnie, jakby słońce teraz dopiero odkryło wyspę. Wtedy ich usłyszałem, jak już byli w latarni, tuż pode mną – kakofonia głosów, zbliżających się po schodach. Moje usta były tą częścią ciała, która

najdłużej się broniła przed powrotem do rzeczywistości. Artykułowałem słowa jak w agonii: karabin, kłódka, race. Jednak pozostałem beczynny. Mogłem tylko patrzeć na przymkniętą klapę jak w hipnozie.

Otworzyła ją jedna ręka. Dwie złote obwódki na mankiecie. Potem pojawiła się kapitańska czapka z insygniami republiki francuskiej. A potem oczy, w których nie było przyjacielskich uczuć – tylko nietolerancyjne przekonania – i nos, długi i mięsisty, w asyście jasnych baczków, też przesadnie długich. Usta paliły hawańskie cygaro. Indywiduum wsuwało się do środka, nie zwracając szczególnej uwagi na moją osobę. Mężczyzna wynurzył się już prawie cały, kiedy przyhamowała go wystająca z kieszeni butelka, która zahaczyła o próg. Rozwiązał problem, wydzierając się na mnie:

– Techniku sygnalizacji morskiej! Dlaczego nie odpowiada pan, jak się pana woła? Co się stało na tej piekielnej wyspie? Jakaś katastrofa? Trzęsienie ziemi? O ile wiem, to nie jest rejon sejsmiczny.

Jego broda wyglądała jak kawałek papieru ściernego przyklejony do twarzy, co nie dodawało mu powagi. Niebieska kurtka nosiła ślady zębów licznych gryzoni, jakby jej właściciel od lat nie miał okazji wymienić garderoby, zawijając do portu. Sprawiał wrażenie dezertera, który przeszedł na stronę piratów. Jego podwładni cuchnęli tanimi, koszarowymi środkami dezynfekcji czy czymś równie ohydny. To byli marynarze z kolonii, w większości Azjaci i Metysi. Każdy z nich miał inną fryzurę i nieregulaminowy mundur. Sprawiali wrażenie żołnierzy zaciężnych. Nigdy by nie zrozumieli, jakie poruszenie wywołała we mnie sama ich obecność. Od ponad roku żyłem odizolowany od świata; moje zmysły nastawiły się na powtarzalność znanych bodźców, a tu nagle oszołomił mnie tuzin nowych twarzy, hałaśliwych głosów, woni, o których istnieniu dawno już zapomniałem. Przez nikogo niezachęcani, zaczęli myszkować po kątach, z zamiarem splądrowania mieszkania. W tym gronie wyróżniał się jeden bardzo młody, o wyraźnie semickich rysach, czarnych kędzierzawych włosach, w okularach w metalowej oprawce. Ten niczego nie chciał. Nie był marynarzem; wyróżniał się porządnym ubraniem. Wyglądał jak urzędnik, a nie ktoś przyzwyczajony do warunków panujących na morzu. Wystający z kieszonki kamizelki łańcuszek zdradzał obecność zegarka. Pozostali mieli rysy, jakie wyciska na twarzach stałe lekceważenie dyscypliny. Łagodna twarz Żyda znamionowała natomiast człowieka, który przeczytał wiele niepotrzebnych książek. Kaszłał głośno.

– Z kim mówię? Jaki jest pański stopień? – przesłuchiwał mnie kapitan. – Niemowa, ranny, chory, a może pan mnie nie rozumie? Jak pan się nazywa? Proszę odpowiedzieć! Stracił pan zmysły? No jasne, to wariat – przerwał sam sobie, wciągając głęboko powietrze. – Skąd się bierze ten smród? Gdyby ryby mogły się pocić, tak by właśnie śmierdziały. Cały dom cuchnie.

Niektórzy marynarze zaśmiali się z dowcipu kapitana. Śmiali się ze mnie. Sprawdzili, że nie było tu czego kraść, i teraz na mnie przenieśli swoją uwagę. Żyd przeglądał jakieś sfatygowane pisma urzędowe i komentował:

– Przed opuszczeniem Europy poprosiłem w ministerstwie o kopię międzynarodowego rejestru placówek zamorskich. Tu figuruje niejaki Caffó, Batis Caffó – podniósł wzrok znad kartki z powątpiewaniem. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Caffó? Technik sygnalizacji morskiej Caffó? – upewnił się kapitan.

– Tak przypuszczam, niczego nie jestem pewien – asekurował się Żyd, poprawiając okulary. – Na oficjalnej liście pojawia się tylko to nazwisko. Ale tu nie ma mowy o

narodowości ani o stopniu. Nawet nie wiadomo, jaka instytucja go tu przysłała i w jakim dokładnie charakterze. Tylko tyle, że został oddelegowany na tę wyspę. To wszystko z winy Korporacji Żegluga Morskiej, w której wyłącznej gestii leży informowanie administracji publicznej o specjalistach wysyłanych za granicę. Robi to opieszale i byle jak. Jak tylko wrócę, złożę skargę. Taka polityka odbija się na innych pracownikach. To znaczy na mnie. Nie, doprawdy! Wszystkie państwa informują się nawzajem o międzynarodowych stacjach, natomiast Korporacja ukrywa nazwiska swoich ludzi. I to w jakiejś nędznej stacji meteorologicznej!

Interesy Żyda i kapitana były jednak odmienne i porozumienie między nimi było możliwe tylko przez chwilę. Kapitan był człowiekiem praktycznym. Szczegóły go nie interesowały. Wrócił do przerwane przesłuchania.

– Techniku sygnalizacji morskiej, panie Caffó: ten człowiek przybył tu, by zastąpić poprzedniego meteorologa. Nie wiemy tylko, gdzie on się podziewa. Jeśli nie doczekam się od pana satysfakcjonującej odpowiedzi, będę zmuszony uznać, że jest pan odpowiedzialny za jego zniknięcie. Czy rozumie pan, o co jest pan oskarżony? Proszę natychmiast odpowiedzieć! Odpowiadać mi, do diaska, no już! Stacja meteorologiczna to pańskie sąsiedztwo, siłą rzeczy musi pan wiedzieć, co tam się stało! Myśli pan, że ja tu przyjechałem dla przyjemności? Płynąłem sobie spokojnie z Indochin do Bordeaux, a tu nagle Korporacja zmusza mnie do zboczenia z kursu o tysiąc mil morskich, żeby stąd kogoś zabrać. Tylko jednego człowieka. A teraz okazuje się, że go nie ma. Że też musiał się gdzieś zapodziać właśnie tu, na wyspie wielkości pocztowego znaczka!

Patrzył na mnie z furją, oczekując, że zastraszy mnie energią emanującą z oczu, że zdecyduję się przerwać pełne napięcia milczenie i zacznę mówić. Nie udało mu się osiągnąć żadnej z tych rzeczy. Machnął ręką z rezygnacją. Jego autorytet w poważnej części opierał się na posiadaniu cygara. Wypuścił obłok dymu tak gęsty, że można go było gryźć. Zwrócił się do młodego Żyda:

– Milczenie oskarża tego, kto je zachowuje. Myślę, że on jest winny. Zabiorę go ze sobą i niech go powieszają.

– Milczenie może też być zasadniczym argumentem obrony – odpowiedział mu młody człowiek, kartkując książkę. – Niech pan nie zapomina, panie kapitanie, że otrzymał pan rozkaz przewiezienia mnie na wyspę, ponieważ statek, którym płynąłem, został uszkodzony przez tajfun. Spowodowało to kilkumiesięczne opóźnienie. Nie wiadomo, jak znosił samotność poprzedni meteorolog. A jeśli wydarzyło się jakieś nieszczęście, ten człowiek wygląda raczej na świadka tego, co się stało, niż na kogoś, kogo można by obciążyć odpowiedzialnością.

Nagle uwagę kapitana przyciągnął pewien Azjata z jego załogi, który ciągle przeszukiwał szuflady. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, oberwał trzykrotnie pięścią po karku. Kapitan odebrał mu skradzioną srebrną papierośnicę, obejrzał ją z uwagą, nie wyjmując cygara z ust, a w chwilę potem papierośnica znikła w przepastnych kieszeniach jego płaszcza. Młody Żyd nawet nie mrugnął. Pewnie już zdążył się przyzwyczaić do tego rodzaju scen. Zwrócił się do mnie bardzo ceremonialnie, podsuwając mi pod nos książkę Frazera:

– Nie miał pan żadnej innej lektury w tym czasie? Musi pan wiedzieć, że świat literacki zmierza teraz w innym kierunku. Odwołuje się do szczytniejszych zasad intelektualnych.

Nie. Mylił się. Nic się nie zmieniło. Wystarczyło popatrzeć na horde tych brudasów, którzy zrobili mi bałagan w latarni. Na tych ludzi, którzy samym swoim dotykiem brukali wszystko wokół, podczas gdy on mówił o szczytach intelektu. Wystarczyło spojrzeć na mnie, człowieka, który dałby się powiesić, żeby tylko nie znosić ich towarzystwa. Człowieka, który przedłożył wygnanie nad nieporządek i który nie przeżyłby powrotu do tego, co opuścił. Biedny chłopak. Taki pewny siebie. Gdybyśmy mieli wagę, wyzwałbym go na pojedynek – wszystkie jego książki na jednej szali, a na drugiej Aneris.

Oczywiście groźby kapitana to były puste słowa. Byłem dla niego tylko przeszkodą i tak mnie traktował. W którymś momencie ściągnął czapkę i poganiając nią swoich ludzi, zaczął się na nich wydzierać w łamanym dialekcie francusko-chińskim, czy jakimś tam, i nim się spostrzegłem, już ich nie było. Jeszcze ich słyszałem na schodach. Rozkazy, przekleństwa i protesty następowały po sobie bez ładu i składu. A potem pustka. Odeszli tak samo, jak przyszli. Morze było bardziej wzburzone niż zwykle. Niektóre fale uderzały o latarnię z takim hukiem, jakby się zderzyły młyńskie kamienie, inne ryczały jak lwy. Wielu ludziom zdarzyło się zobaczyć ducha, ale ja miałem wrażenie, jakby mi się ukazał cały ich tabun. A może to ja byłem widmem?

Przez cały dzień nie ruszyłem się z balkonu, powodowany ciekawością. Od dawna nie widziałem tylu ludzi naraz i dlatego wszystko, co robili, było dla mnie niezwykle. Przed odpłynięciem musieli wyremontować stację meteorologiczną. Pracowali bez przekonania, zmuszeni przez kapitana. Kiedy wiatr wiał w moją stronę, słyszałem stukające narzędzia i groźny głos tamtego, ale nawet i on sam nie przykładał do tej pracy większej wagi. Jego przekleństwa brzmiały zbyt teatralnie. Można było wyczuć, że obowiązek walczy w nim o lepsze z chęcią jak najszybszego opuszczenia tego miejsca. Widziałem wątlą smugę dymu i zarysy ludzkich postaci. Później kapitan przestał palić; pił coś. Nie zwracał najmniejszej uwagi na sugestie młodego Żyda. Pociągał z piersiówki i odwracał się do niego tyłem, kiedy tamten robił się zbyt natrętny. Chciał jak najszybciej stąd odpłynąć.

Czym są uczucia? Wiadomościami, które informują nas o nas samych. Szalupy opuściły plażę przed zapadnięciem zmroku, a ja nie czułem nic, absolutnie nic, ani cienia nostalgii. Statek zniknął za horyzontem. Z komina na stacji meteorologicznej wydobywał się dym. Za mną skrzypnęła podnoszona klapa. Nie musiałem się odwracać, żeby wiedzieć, że to była ona. Ciekawe, gdzie się ukrywała.

Fasola z puszki pozwoliła mi zregenerować siły. Cmoknąłem, a Aneris w lot zrozumiała. Posprzątała ze stołu i błyskawicznie się rozebrała. Była zadowolona, na swój sposób. Myślę, że moje pijaństwo trochę ją zbiło z tropu. Ale nic się nie zmieniło. Znów miała mnie dla siebie. Byłem wierny i nie oczekiwałem od niej nic poza tym, co mi mogła dać. Zacząłem się rozbierać. Ściągałem już ostatni sweter, kiedy zmieniła pozycję. Zelektryzowana, usiadła na podwiniętych nogach. Przemówiła, śpiewając, czy śpiewała, mówiąc.

Znów poczułem pulsowanie krwi w żyłach. Szybko, zabarykadować drzwi, zapalić reflektory, przygotować resztki amunicji. Potrzebna mi raca, a już niewiele ich zostało. Wszystko gotowe? I tak, i nie. Tak, gotowe. Przygotowania były tak zorganizowane, że ja sam nie byłem potrzebny.

Citaukowie zaatakowali wyspę jednocześnie od strony wschodniej i zachodniej, w dwu niewielkich grupach, które przed atakiem zebrały się w lesie. Skokami zbliżyli się do latarni. Co chwilę reflektor wyławiał z mroku jakąś parę oczu, niektóre z nich metaliczne,

zielone. Celując do nich, przypomniałem sobie zasady wyłożone w starym partyzanckim podręczniku: partyzanci atakują ufortyfikowaną pozycję tylko wtedy, gdy dysponują przewagą liczebną, i nocą, zwłaszcza jeśli są gorzej uzbrojeni. A jeśli mogą wybierać między dwiema wrogimi pozycjami, zawsze powinni zdecydować się na tę, która jest słabiej ufortyfikowana. To wszystko może się wydawać sprawą zdrowego rozsądku, ale ideowym bojownikom potrzebna jest porządna lekcja zdrowego rozsądku.

Znikli, a chwilę później ich wycie dochodziło już z drugiego krańca wyspy. Porządek rzeczy nie wymagał zaangażowania drugiego człowieka, czyli mojej osoby, kogoś, kto teraz spokojnie czyścił broń, przysłuchując się strzałom. Ów człowiek udawał głuchego, podczas gdy inna istota ludzka walczyła o życie tuż obok, w sąsiedztwie. Ale, jak się dobrze zastanowić, co miałyby zrobić? Poinformować francuskiego kapitana, że osaczają nas miliony Citauków? Wyjść z latarni, teraz, w środku nocy? Doliczyłem się co najmniej dziewięciu strzałów i pomyślałem sobie, że marnowanie amunicji bez sensu powinno być zabronione.

* * *

Wybrałem się tam następnego dnia. Gęsta mgła nie pozwoliła mi go dostrzec, dopóki nie stanąłem przed samymi drzwiami. Z tego, co widziałem, wynikało, że był mniej więcej cały i zdrowy. Włosy poskręcane w strąki, oczy podkrążone. Ciągłe miał na sobie garnitur agenta ubezpieczeniowego. W całej swojej historii wyspa nie oglądała czegoś równie niestosownego. Gdyby pozostał mi choć cień poczucia humoru, musiałbym się roześmiać na widok białej koszuli pozbawionej guzików, czarnej marynarki i czarnych spodni, pomiętych i poszarpanych w trakcie walki. Wokół szyi okręcał się jeszcze jakiś mizerny krawacik. Jedno szkło w okularach pod wpływem upadku zamieniło się w pajęczynę; buty nosiły ślady błota. W ciągu jednej nocy z mieszczucha stał się pariasem bez ojczyzny. W prawej ręce trzymał rewolwer, który jeszcze dymił. Ta śmieszna broń paradoksalnie podkreślała tylko jego bezradność. Przydreptał w moją stronę, brnąc we mgle.

– To pan, panie Caffó, dzięki Bogu! Myślałem, że nigdy już nie zobaczę ludzkiej istoty.

Nic mu na to nie odpowiedziałem. Był przecież tylko zjawą w ludzkim ciele. Kiedy oglądałem jego dom, siedł za mną jak pokojowy piesek. Niektóre osoby na progu przepaści wpadają w niepohamowane gadulstwo. Mówił i mówił, nie słuchałem, o czym. Dwie skrzynie z amunicją znajdowały się pod workami jarzyn. Wyglądały jak dwie małe trumienki. Używając żelaznego pręta jako dźwigni, podniosłem wieko pierwszej z nich i wtedy zapadła cisza, jakbyśmy otworzyli grobowiec świętego. Zanurzyłem rękę w nabojach.

– O Boże, faktycznie! – wyszeptał, klęcząc obok mnie. – Karabin też gdzieś tu musi być, w którejś skrzyni. Regulamin zobowiązuje meteorologów na służbie w zagranicznych placówkach do posiadania podstawowego arsenału. Wczoraj wieczorem zupełnie o tym zapomniałem. Nie mogłem o niczym myśleć. Dobrze, że miałem przy sobie ten rewolwer do obrony przed pedałami na statku. Kto mógł przypuszczać, że ta wyspa będzie siedliskiem demonów?

– Człowiek nigdy nie wie, jak skończy – wygłosiłem sentencję. – Lepiej wiedzieć, jakim bagażem się dysponuje.

– No tak, pan zrobił dobry użytek ze swojego. – I dodał nieśmiało: – W przeciwnym razie już by było po panu.

Miał rację. Co nie zmieniało faktu, że poczułem się nieco urażony. Nie spuszczałem oczu z miedzianych kul, zanurzając obie ręce w skrzyni.

– Rzecz w tym, żeby teraz pan umiał z nich zrobić dobry użytek. Jeśli chodzi o mnie, mogę panu odstąpić połowę wyspy. Ma pan dwie skrzynie amunicji. Oczywiście nie ma pan nic przeciw temu, żebym sobie jedną zatrzymał.

Zamrugał powiekami, nic nie rozumiejąc. Wyprostował się. Jednym kopnięciem zamknął otwartą skrzynię. Mało brakowało, a zmiażdżyłby mi palce.

– Chce pan zabrać amunicję do latarni? O czym pan mówi? To mnie, mnie pan ma zabrać do latarni!

Mówił teraz innym tonem. Po raz pierwszy przyjrzałem mu się dokładniej. Należał do tych, którzy umierają z nadzieją na ustach.

– Pan tego nie może zrozumieć – wykręciłem się. – Tu wszystko wygląda inaczej.

– O tak, o tym już zdążyłem się przekonać! Tajemnicze głębiny pełne rekinów chodzących na tylnych łapach!

– Faktycznie, nic pan nie rozumie.

Jedną ręką chwyciłem go za szyję i pociągnąłem na plażę. Nie byłem wiele od niego silniejszy, ale on był w szoku, a moje mięśnie były dostosowane do warunków wyspy. Wziąłem jego głowę w obie ręce i zwróciłem w stronę morza.

– Niech pan patrzy – wyrzuciłem z siebie. – Tej nocy dali się panu we znaki, co? A teraz niech się pan przyjrzy: cały ocean. I co pan widzi?

Wyjęczał coś niewyraźnie i padł na piasek jak spuszczone ze sznurka marionetka. Zaczął płakać. Mogłem się domyślać, co zobaczył. Oczywiście, że mogłem. Gdyby należał do ludzi zdolnych dostrzec coś innego, nigdy by nie przybył na tę wyspę. Lodowaty wiatr rozwiął mgłę. Słońce było niżej, niż przypuszczałem. Powstrzymał łzy.

– Od kiedy jestem na tej wyspie, przestałem cokolwiek rozumieć. Ale wiem jedno: nie chcę tu umrzeć. – Zacisnął pięść. – Nie chcę.

– To niech się pan stąd zabiera – odpowiedziałem. – Ta latarnia to tylko miraż. Wewnątrz nie będzie pan bezpieczny. Lepiej tam nie wchodzić. Niech pan ucieka, wraca do domu.

– Uciekać? A niby jak miałbym to zrobić? – rozpostarł ramiona. – Niech się pan rozejrzy. Widzi pan jakiś statek? Jesteśmy na peryferiach planety.

– Niech pan się nie łudzi co do latarni – przekonywałem. – Ludzie, którzy tu przybywają, utracili wiarę i wyciągają ręce w stronę złudy. Ale nikomu nie udało się jej dotknąć. – Po chwili dodałem innym tonem: – Gdyby miał pan wiarę, chodziłby pan po wodzie i wrócił tam, skąd przybył.

– Kpi pan sobie ze mnie, prawda? A może mam do czynienia z wariatem?

– Spędził pan tu noc i jeszcze mnie pan uważa za wariata? – poczułem, że bolą mnie kości. – Jestem zmęczony.

Usiadłem na kamieniu. Patrzył na mnie zdumiony. Byłem tylko brzuchomówcą, moje własne pęta nie pozwalały mi wierzyć w to, co powiedziałem. Ale ku memu zdziwieniu w jego oczach nagle zaświeciły się jasne iskierki. Nawet nie mrugnął. Wyprostował się, jakby wstąpiła w niego pierwotna energia. Ściągnął buty. Zamaszystymi ruchami podciągnął nogawki spodni. Zdjął marynarkę i okulary.

Tak, zbliżał się do wody. Bez wahania i bez zastanowienia. Patrzyłem na plecy tego delikatnego, ale zdecydowanego chłopaka i nie mogłem oprzeć się wzruszeniu. Zatrzymał się na granicy ziemi i morza. Któraś z dłuższych fal obmyła mu stopy. Nawet ja poczułem wtedy dreszcz, wrażenie chłodu przekazane mi przez jakąś niewidoczną nić. Zawahałem się. A jeśli odejdzie?

Karabin wypadł mi z rąk. Nie wierzyłem własnym oczom. Naprawdę szedł po wodzie. Zrobił jeden krok, i następny, a morze podtrzymywało jego stopy jak płynny most. Odchodził, przekreślał latarnię i wszystkie grzechy, od których wzięła początek nasza wojna. Zrozumiał, że z mirażami się nie dyskutuje, że trzeba je zignorować. Przekreślał wszelkie namiętności i perwersje, ponieważ odrzucał je już w punkcie wyjścia. Ten chłopak balansował teraz na powiekach świata – jeszcze jeden krok, a obudzimy się z koszmaru.

Zdegustowany, odwrócił głowę w moją stronę.

– Do diabła, co ja robię! – zawołał, trzymając szeroko rozłożone ramiona. – Myśli pan, że jestem dobrym Jezusem?

I zawrócił. Kiedy znów stanął na twardej ziemi, był już w bojowym nastroju. Chciał walczyć do ostatniej kropli krwi. Mówił o „rekinolach”, proponował, żeby zatruć wodę arsenikiem, otoczyć wybrzeże sieciami wypełnionymi potłuczonymi muszelkami, ostrymi jak noże; miał w zanadrzu tysiąc morderczych strategii. Podeszedłem do wody. Tuż pod jej taflą widać było płaskie skały, po których stąpał przed chwilą.

Usiadłem na plaży, tuląc w ramionach karabin, jakby to było małe dziecko. Opadłem do tyłu, aż plecy oparły się na twardym materacu z piasku. Ostatecznie świat okazał się przewidywalny i bez niespodzianek. Wtedy zadałem sobie jedno z tych niepotrzebnych pytań, na które możemy odpowiedzieć, zanim padną: Gdzie mógł być teraz mój Trójkącik, no gdzie?

Słońce chyliło się ku zachodowi.